

Jack London

Córka śniegów

ROZDZIAŁ I

— Wszystko gotowe, panno Welse, żałują tylko, że nie mogą służyć jedną z naszych łodzi.

Frona Welse wstała żywo i podeszła do pierwszego oficera.

— Jesteśmy bardzo zajęci — tłumaczył — niestety, poszukiwacze złota są towarem, który ogromnie łatwo się psuje. Na gwałt trzeba wyładowywać...

— Rozumiem — przerwała — sama zachowuję się podobnie, bardzo mi przykro, że sprawiam panu tyle kłopotu, ale... ale — odwróciła się szybko i wskazała na brzeg. — Widzi pan ten wielki dom drewniany? Pomiedzy sosnowym laskiem a brzegiem? Urodziłam się tutaj.

— Nie wątpię, że spieszyłbym również — rzucił życzliwie, przeciskając się przez natłoczony pokład i prowadząc za sobą panienkę.

Każdy tu wlaził w drogę każdemu; nie było też nikogo, kto by zaniedbał wrzasku na ten temat. Tysiąc kopaczy żądało natychmiastowego wyładowania bagaży na brzeg. Wszystkie luki były szeroko otwarte i z głębin podpokładowych skrzypiące bloki wlokły ku górze obfitą kolekcję manatków. Po obu stronach parowca, szeregi dużych płaskodennych łodzi przyjmowały ciśnięte toboły, na łodziach zaś tłum spoconych ludzi chwycił skrzynie, kosze i tłumoki w szaleńczej pogoni za własnością swoją lub swego klienta. Pasażerowie, wymachując w powietrzu kwitami bagażowymi, wrzeszczeli z pokładu ku barkom. Czasem dwóch lub trzech przyznawało się do tego samego bagażu i natychmiast wybuchała wojna. Każda skrzynka znaczone „dwoma kółkami” albo „kółkiem i kropką” wywoływała nieskończone kłótnie, a po każdą piłę zgłaszało się od razu z tuzin amatorów.

— Kasjer twierdzi uparcie, że już wariuje — mówił starszy oficer, pomagając pannie Welse zejść ze schodków ku pomostowi. — Obsługa pozostawiła rzeczy pasażerom, a sama umyła ręce. Ale u nas nie jest jeszcze tak źle jak na „Betlejemskiej Gwieździe” — upewniał wskazując parowiec, zakotwiczony o ćwierć mili dalej. — Połowa pasażerów

wiezie konie dla Skaguay i Białej Przełęcz, druga połowa spieszy przez Chilcoot. Tymczasem obsługa statku zbuntowała się i wszystko utknęło na martwym punkcie.

— Hej! Wy! — krzyknął kiwając na małą łódkę, kołyszącą się dyskretnie" poza pływającym chaosem.

Drobny holownik, zaprzężony bohatercko do ogromnej barki, próbował znaleźć dla siebie przejście, ale właściciel małej łódki rzucił się pośpiesznie na wołanie oficera licząc, że zdąży jeszcze przeciąć drogę stateczka. Był już blisko, kiedy na swoje nieszczęście... złapał kraba. Ruch ten półobrótł łódkę i wstrzymał ją na kilka sekund.

— Uwaga tam! — huknął pierwszy oficer.

Dwie siedemdziesięciostopowe żagłówki, naładowane bagażami, podróżnymi i Indianami parły pod pełnymi żaglami w przeciwną stronę. Jedna skręciła ostro ku brzegowi, ale druga przygniotła łódeczkę do barki. Wioślarz w porę odczepił wiosła, ale wąż skorupa jęczała pod ciśnieniem i groziła pęknięciem. Wobec tego wioślarz zerwał się na równe nogi i w krótkich dosadnych słowach skazał wszystkich kapitanów holowników i załogi wszystkich żagłówek na potępienie wieczne. Jakiś człowiek wychylił się z barki i ochrzcił tamtego niegorszą litanią wyzwisk przy akompaniamencie indyjsko - białego chóru śmiechu na żagłównce.

— Ech, niedojdo! — huknął któryś z podróżnych. — Czemuś się nie nauczył wiosłować?

Pięść wioślarza wylądowała w oka mgnieniu na szczęce swego krytyka i powaliła go ogłuszonego na zwał tobołów. Nie zaspokojony tym sumarycznym aktem zemsty, gorący wioślarz wybierał się w ślad za swoją pięścią na żagłównkę. Siedzący najbliżej podróżny targać począł gwałtownie rewolwer, który ugrzązł uparcie w zbyt ciasnym skórzanym futerale, zaś bracia-argonaucci, pokładając się ze śmiechu, czekali, co będzie dalej. Tymczasem żagłównka już parła naprzód i siedzący u steru Indianin pchnął niefortunnego łódkarza wiosłem w pierś, aż ten runął jak długi na dno swojej skorupy.

W chwili gdy fala krzyku i przekleństw wezbrała najbujniej, a gwałtowna bójka i nagła śmierć zdawały się nieuniknione, pierwszy oficer rzucił okiem na stojącą przy nim panienkę. Spodziewał się ujrzeć zgorszone i zalęknione zmieszanie dziewczęce i nie był bynajmniej przygotowany na to, co spotkały jego oczy: zarumienioną, żywo rozciekawioną twarz.

— Żałuję bardzo... — zaczął.

Ale przerwała mu, jakby gniewna, że jej przeszkadza patrzeć.

— Me, nie; nie ma czego. Było bardzo zabawnie. Co prawda rada jestem, że tamtemu ugrzązł rewolwer. Gdyby nie ugrzązł...

— Musielibyśmy nieco odłożyć jazdę na brzeg — roześmiał się oficer taktownie.

— To istny rabuś — ciągnął wskazując na łódkarza, który już śmigał wiosłami po wodzie i sunął wzdłuż statku. — Zgadza się przyjąć tylko dwadzieścia dolarów za odwiezienie pani na brzeg. Powiada, że od mężczyzny wzięłby dwadzieścia pięć. To pirat, proszę mi wierzyć; na pewno będzie wisiał pewnego pięknego dnia. Dwadzieścia dolarów za pół godziny pracy! Niesłychane rzeczy!

— Zabaweczka! Sport! Hę? — zauważył wilk morski, o którym była mowa, wyłażąc tymczasem niezdarnie na pomost i puszczając jedno wiosło do wody. — Pan nie ma prawa wymyślać ludziom — dodał wyzywająco zawijając rękawy koszuli, zmoczone przy ratowaniu wiosła.

— Nieźle uszy Bozia dała — zaczął oficer.

— Pięści też niezgorsze — warknął tamten.

— Widzę, że jęczyczek również.

— Wszystko potrzebne w moim fachu. Niedaleko bym zaszedł bez tego, między wami, rekinami. Ja pirat, ja? A któż wy, z waszym tysiąckiem pasażerów, napchanych jak sardynki? Każecie sobie zapłacić podwójną pierwszą, życie byle czym, trzymacie niczym świnie w chlewie, a potem okazuje się, że ja jestem pirat? Ja?

Jakiś czerwoniczy jegomość przechylił się przez górną poręcz i wrzeszczał, co miał sił:

— Wyładować moje rzeczy! Chodź pan na górę, panie Thurston! Natychmiast! W tej chwili! Pięćdziesiąt moich koni zjada własne głowy w tym waszym brudnym pudle! Kiepska będzie z wami sprawa, jeśli ich zaraz nie spuścicie na brzeg. Tracę tysiąc dolarów na każdym dniu zwłoki i nie zgadzam się tracić dłużej! Słyszysz pan? Nie życzę sobie! Obdzieraliście mnie na prawo i lewo od chwili kiedyśmy ruszyli z Seattle i — do stu tysięcy diabłów — nie życzę sobie więcej! Rozbiję tę zakazaną spółkę, jakem Thad Ferguson! Słyszysz pan? Jestem Thad Ferguson i jeśli pan sobie zdrowia życzysz, pośpiesz się, a żywo! Słyszysz pan?

— Pirat, hę? — warknął raz jeszcze łódkarz. — Kto? Ja?

Thurston kiwnięciem ręki doradził spokój czerwonicemu jegomościowi, a sam raz jeszcze zwrócił się do pani. — Rad byłbym odprowadzić panią na brzeg i aż do sklepu, ale widzi pani, jak jesteśmy zajęci. Do widzenia. Szczęśliwej podróży. Zaraz

odwołam kilku ludzi i każę wydobyć pani bagaż. Jutro rano zostanie dostarczony do sklepu. Na pewno.

Lekko dotknęła jego ręki wchodząc do łodzi. Pod ciężarem jej ciała wątpa skorupa zaczerpnęła wody. Fala zalała buciki, ale panienska przyjęła to obojętnie, sadowiąc się na rufie i podkurczając nogi.

— Czekać tam! — huknął oficer. — Tak być nie może, panno Welse. Proszę wrócić, a ja postaram się zdobyć dla pani jak najprędzej jedną z naszych łódek.

— Najpierw zobaczysz pan samego siebie w... niebie — krzyknął wioślarz odbijając. — Puść pan! — zagroził]

Thurston chwycił mocno za burtę, ale w nagrodę za rycerskość dostał tęgo wiosłem po palcach. Wtedy zapomniał o sobie, zapomniał o pannie Welse i kłął, kłął zapalczywie.

— Pozwolę sobie zauważyć, że nasze pożegnanie mogłoby być nieco godniejsze! — krzyknęła ku niemu, śmiejąc się głośno poprzez fale.

— Na Jowisza! — mruknął zdejmując grzecznie czapkę. — Oto kobieta! — I nagle chwyciło go ostre, szarpiące pragnienie, żeby zawsze móc widzieć własne odbicie w siwych oczach Frony Welse. Nie miał skłonności do analizy; nie pytał dlaczego; wiedział tylko, że z tą dziewczyną mógłby wędrować na koniec świata. Poczuł niesmak do swego zawodu, chęć ciśnięcia tego wszystkiego precz i ruszenia do Klondike — za nią; ale rzucił okiem na przechyloną ścianę statku, dostrzegł czerwoną twarz imć Fergusona i zapomniał o marzeniu, które śnił przez chwilę.

Chlap! Oporne wiosło w niezdarnej dłoni chlusnęło wodą prosto w twarz dziewczyny. — Mam nadzieję, że pani się nie zagniewa — przeproszał przewoźnik. — Robię, co mogę, ale jakoś niewiele mogę.

— Widzę to właśnie — odpowiedziała dobrodusznie.

— Wcale nie z miłości do morza — ciągnął gorzko — muszę jakoś wykręcić te kilka uczciwych dolarów na życie. Byłbym już w Klondike do tego czasu, gdybym nie miał pecha. Opowiem pani, jak to było. Przebrnąłem z ekwipunkiem przez przełęcz, a potem straciłem wszystko na czysto przy Ramieniu Wiatrów.

Chlap! Pęc! Starła wodę z oczu, ale dygotała przez chwilę, kiedy zimne krople pocięły wzdłuż ciepłych pleców.

— Zuch z pani — pocieszał przewoźnik. — W sam raz do tego kraju. Jedzie pani w głąb, aż na samo miejsce?

Wesoło skinęła głową.

— Powiedzie się na pewno. Więc, jakem mówił, po stracie rzeczy wróciłem na brzeg, żeby zarobić na nowy ekwipunek. Dlatego biorę tak drogo. Mam nadzieję, że pani nie gniewa się za to. Nie jestem gorszy niż inni, panienko, na pewno. Musiałem wyłożyć całą setkę za tę skorupę, która u nas w Stanach nie byłaby warta nawet dziesiątki. Tu na wszystko takie ceny. Tam w górze, na szlaku do Skaguay, hacele do podków sprzedają po ćwierć dolara sztuka. Wejdzie sobie człek do szynku i zażąda wódki. Pół dolara kieliszek! Dobra, wypijasz wódkę, kładziesz dwa gwoździe i kwita. Nikt nic nie gada, bo wiadomo, że nie ma drobnych.

— Jesteście dzielnym człowiekiem, skoro chcecie ryzykować podróż jeszcze raz, po takim niepowodzeniu. Powiedzcie mi swoje nazwisko. Może się spotkamy gdzieś w głębi kraju.

— Czyje nazwisko? Moje? O, ja sobie jestem Del Bishop, górnik. Jeśli kiedy zejdą się nasze drogi, proszę pamiętać, że oddam ostatnią koszulę — to znaczy... chciałem właściwie powiedzieć — proszę pamiętać, że mój ostatni kawałek chleba należy do pani.

— Dziękuję — odpowiedziała ze słodkim uśmiechem; była bowiem kobietą, a kobiety lubią wszystko, co idzie prosto z serca.

Przestał wiosłować na chwilę i rękami wylawiać zaczął z wody nagromadzonej na dnie łódki jakąś starą puszkę od konserw.

— Mogłaby pani trochę wody wyczerpnąć — rozkazał podając puszkę. — Skorupa gorzej nabiera od czasu tej chryi z barką.

Frona uśmiechnęła się w myśli, podetkała spódniczkę za pasek i zabrała się do roboty. Przy każdym kołychnięciu łódki wznosiły się i zapadały przed oczyma potężne góry w lodowych czapach, niby wielkie fale na linii widnokręgu. Od czasu do czasu dziewczyna prostowała się i spoglądała na złotodajny brzeg, ku któremu zdążali, i dalej na ujęte we dwa łądy ramię morza; ze dwadzieścia dużych parowców stało tam na kotwicy, a od każdego z nich ku wybrzeżu i z powrotem krzątało się mnóstwo holowników, barek, czóten i wszelkiego rodzaju pomniejszych skorup. — Człowiek, potężny pracownik, atakuje wrogi kraj — pomyślała dziewczyna, wracając myślą ku wielkim twórcom, którzy udzielili jej okrucichów swojej mądrości w" liczne dni spędzone po salach wykładowych, w długie samotne noce przesiedziane nad książką. Była dojrzewającym dziecięciem stulecia i jasno rozumiała świat przyrody i pracę na nim człowieczą. Żywiła dla świata miłość i głęboki szacunek.

Przez dłuższy czas Del Bishop wykropkował ciszę tylko uderzeniami wiosel; ale przyszła mu nowa myśl.

— Pani nie powiedziała mi swego nazwiska — upomniał się delikatnie.

— Nazywam się Welse — rzekła. — Frona Welse. Zdumienie odbiło się na jego twarzy i rosło coraz bardziej.

— Pani — jest — Frona — Welse? — wymówił powoli. — Jakub Welse jest pani ojcem, czy tak?

— Tak, jestem córką Jakuba Welse'a, do usług. Zwinął wargi w przeciągłym, znaczącym gwizdnięciu i przestał wiosłować.

— Proszę mi zaraz wracać na rufę i nogi pozabierać z tej wody — rozkazał. — A blaszankę oddać mnie.

— Co? Może źle wybieram? — spytała obrażona.

— Nie. Zupełnie dobrze. Ale pani jest... pani jest...

— Ta sama co przed chwilą. Proszę no wiosłować, to wasza robota, a moja — wybierać wodę. Już ja swojej dopilnuję.

— O, pewnie! — mruknął zachwycony, pochylając się znowu nad wiosłami. — Więc Jakub Welse to pani ojciec? Że też się od razu nie domyśliłem!

Kiedy dotarli do piaszczystego brzegu, zarzuconego grudami wszelkich towarów i mrowiącego się od ludzi, panna Welse podaniem ręki pożegnała swego przewoźnika. I chociaż podobny postępek nie był rzeczą zwykłą pośród kobiecej klienteli, Del Bishop przypisał go skwapliwie faktowi, że ta właśnie kobieta była ni mniej ni więcej tylko córką Jakuba Welse'a.

— Proszę pamiętać: mój ostatni kawałek chleba należy do pani — zapewnił, wciąż jeszcze trzymając jej rękę.

— Ostatnia koszula również — proszę nie zapominać.

— Dobra! Pani jest doprawdy, doprawdy pierwsza klasa! — wybuchnął przy ostatnim uścisku ręki. — Daję słowo!

Krótką spódniczka nie hamowała swobodnych ruchów i Frona niespodziewanie a z radością zauważyła, że jej drobny chód miejski znikł tu od razu, ustępując miejsca rozkołysaniu wyciągniętych rytmicznych kroków, rodzących się na szlaku po długich wysiłkach. Niejeden poszukiwacz złota, obrzuciwszy szybkim spojrzeniem jej kostki i łydki opięte w szare getry, potwierdzał z cicha zdanie Dela Bishopa. Niejeden też spoglądał później na twarz, po czym spojrzeć musiał raz jeszcze; tak jasne i szczere były oczy dziewczyny, po prostu, po koleżeńsku szczere; pobłyskiwały też ciągle świetlistym uśmiechem, drżącym ciągle na granicy bujnej zorzy; jak tylko uśmiechał się patrzący — natychmiast oczy śmiały się również. Światło tego uśmiechu było mieniące — to wesołe,

to życzliwe, to radosne, to swawolne — zależnie od przyczyny, która je wzniecała. Niekiedy rozbłyskiwało na całej twarzy, by potem dopiero skropić się w uśmiech. Ale zawsze tylko prosty, szczery, koleżeński.

Tym razem przyczyn do uśmiechów nie brakło dziewczynie spieszącej przez tłum po piaszczystym wybrzeżu i po zielonej równinie ku drewnianemu domowi, który wskazała była Thurstonowi. Cofnęły się stulecia: lokomocja i transport znalazły się znowu na najpierwotniejszym stopniu rozwoju. Ludzie, którzy nigdy w życiu nie nosili nic, prócz małych paczek, stali się teraz tragarzami. Nie szli. już prosto z głową ku słońcu, ale wlekli się pochyleni, zgarbieni, patrzący w ziemię. Każdy grzbiet stał się objuczonym siodłem, napiętnowanym pręgami od sznurów i rzemieni. Ludzie ślaniali się pod nadmiernym wysiłkiem, nogi chwiały się z osłabienia niczym z pijaństwa i zataczały na cztery strony świata, dopóki słońce nie poczęło mierzchnąć i tragarz wraz z ładunkiem nie runął w pył drogi. Inni, kryjąc uciechę, pakowali swoje manatki na dwukołowe wózki ręczne i wyruszali zuchwale, by po kilkuset krokach utknąć przed wielkim kamieniem, barykadującym drogę. Wtedy teoretyzowali na nowo na temat zasad podróżowania po Alasce, wyładowywali wózek albo też wlekli go z powrotem na wybrzeże, sprzedając za bajeczną cenę temu, kto wyładował ostatni. Żółtodzioby, obwieszane u pasa dziesięciofuntowymi rewolwerami Colta, nabojami i nożami myśliwskimi, ruszały zawadiacko w górę szlaku, ale pokornie pełżyły z powrotem, ciskając rewolwery, naboje i noże w krzaki, rozpaczliwie a dyskretnie. Tak oto zdyszani, gorzkim okryci potem, cierpieli synowie Adama za adamowy grzech.

Frona czuła się nieswojo w tym roju obcych ludzi, ogarniętych gorączką złota. Dawno znajoma okolica, pełna wzruszających wspomnień, została zbezczeszczona przez tych zdyszanych przybyszów. Nawet odwieczne zarysy ziemi zdawały się dziwnie obce. Były te same, a przecież inne. Tu, na zielonej równinie, gdzie bawiła się jako dziecko i uciekała nieraz, strwożona echem własnego głosu, odbitego o ścianę lodowców — dziesięć tysięcy ludzi wędrowało nieustannie tam i z powrotem, wdeptując wiotką trawę w ziemię i wyzywając kamienną ciszę. O staję w górę szlaku mrowiło się nowe dziesięć tysięcy, zaś przez przełęcz Chilcoot pełzło tyleż raz jeszcze. Wzdłuż ogrodzonego łańcuchem wysp wybrzeża Alaski i hen, daleko aż do przylądka Horn, roiło się jeszcze dziesięć tysięcy, wprzęgając do pomocy wiatr i parę i spiesząc z krańca ziemi. Rzeka Dyea, jak ongiś, grzmiała hucznie ku morzu, ale jej dawne brzegi wydeptały stopy licznych ludzi, pracujących teraz zwartymi szeregami przy holowniczych linach, zaczepionych o ciężko ładowne barki. Ludzie wywalczyli sobie drogę w górę rzeki i wola człowieka zderzała się z

wolą żywiołu. Ludzie śmieli się ze starej Dyea i mocniej udeptywali jej brzegi pod stopy tych, którzy nadejdą.

Drzwi sklepu, przez które Frona wbiegała niegdyś i wybiegała po tyle razy, albo wyglądała zdumiona i pełna szacunku ku jakiemuś nieznanemu myśliwemu albo handlarzowi futer — drzwi te były teraz zatarasowane przez żądający czegoś tłum. W miejscu, gdzie dawniej leżał jeden list i budził sensację, obecnie ujrzała Frona przez okno stos poczty od podłogi do sufitu. Owej poczty właśnie domagali się tak gwałtownie ludzie. Przed sklepem, koło wagi mrowił się drugi tłum. Jakiś Indianin rzucił swój toból na wagę, biały właściciel zapisał w notesie ilość funtów, po czym rzucono następny. Każdy toból owiązany był rzemieniami, przygotowany na grzbiet Indianina i na ciężką przeprawę przez Chilcoot. Frona podeszła bliżej. Zaciekawiły ją ceny. Pamiętała, że dawniej samotny pionier lub kupiec płacił za przeniesienie ekwipunku po sześć centów — czyli sto dwadzieścia dolarów za tonę.

Nowicjusz, ważący swoje rzeczy, zajrzał do przewodnika. — Osiem centów — powiedział do Indianina. Indianie roześmieli się pogardliwie i odparli zgodnym chórem: — Czterdzieści! — Twarz żółtodzioba wyraziła zakłopotanie. Rozejrzał się trwożnie dookoła. Życzliwe światełko w oczach Frony przyciągnęło jego spojrzenie. Popatrzał na nią pustymi oczyma. W rzeczywistości pochłonięty był w tej chwili rachowaniem, ile zapłacić ma za swój trzytonowy ekwipunek, licząc po czterdzieści dolarów za sto funtów.

— Dwa tysiące czterysta dolarów za trzydzieści mil! — krzyknął wreszcie. — Cóż ja teraz pocznę?

Frona wzruszyła ramionami. — Radzą zapłacić po czterdzieści centów — powiedziała — bo inaczej oni zdejmą rzemienie. Żółtodziób podziękował, ale zamiast zdecydować się od razu ciągnął dalej narzekanie. Jeden z Indian zaczął rozluźniać pasy. Nowicjusz właśnie miał się poddać, kiedy tragarze podnieśli cenę do czterdziestu pięciu. Uśmiechnął się gorzko i skinął głową na znak zgody. Ale w tej samej chwili podbiegł jakiś Indianin i rzucił coś podnieconym szeptem. Zawrzało i, zanim podróżny zdołał pojąć o co chodzi, tragarze pozdzierali rzemienie i rozbiegli się na wszystkie strony, głosząc nowinę, że cena do Jeziora Linderman wynosi pięćdziesiąt centów.

Nagle tłum stojący przed sklepem zakotłosał się podniecony. Coś sobie szeptano i wszystkie spojrzenia skierowały się ku trzem mężczyznom, idącym z góry szlaku. Trójka wyglądała nader pospolicie i odziana była ubogo, można rzec nawet: obdarcie. W bardziej ustalonym społeczeństwie natychmiast policja zaarrestowałaby takich przybyszów za włóczęgostwo.

— To Francuz Louis — szeptał w prawo i w lewo nowicjusz.

— Właściciel trzech działek Eldorado w jednym kawałku — zwierzał się Fronie przygodny sąsiad. — Wart co najmniej z dziesięć milionów!

Francuz Louis, idący o kilka kroków przed towarzyszami, bynajmniej nie wyglądał na magnata. Gdzieś po drodze rozstał się był z kapeluszem i owiązał głowę starą chustką jedwabną. Pomimo swoich dziesięciu milionów dźwigał na własnym grzbiecie swój pakunek podróżny.

— Tamten z brodą to Swiftwater Bil, również jeden z królów Eldorado.

— Skąd wiecie? — powątpiewała Frona.

— Skąd wiem! — zawołał sąsiad. — Skąd wiem! A po cóż wszystkie gazety przez ostatnie sześć tygodni podawały jego fotografie? O! — rozwinął gazetę. — Doskonale uchwycone podobieństwo. Przyglądałem mu się tyle razy, że rozpoznam tę fizjognomię pośród tysiąca.

— A któż jest ten trzeci? — zagadnęła panienka, taktownie uznając sąsiada za autorytet.

Informator wspiął się na palce, żeby lepiej widzieć.

— Nie wiem — wyznał stroskany, po czym trzepnął po ramieniu drugiego sąsiada. — Kto jest ten chudy, wygolony? W niebieskiej koszuli i z łatą na kolanie?

Ale w tej samej chwili Frona krzyknęła radośnie i skoczyła naprzód.

— Matt — zawołała — Matt Mc Carthy! Człowiek z łatą na kolanie serdecznie trząstł palcami panienki, ale jej nie poznawał i tylko utkwiał w niej oczy pełne wątpliwości.

— O! nie poznajesz mnie! — zaterkotała. — Ośmielasz się mnie nie poznawać? Gdyby nie tylu widzów, to bym cię wyłukła, stary niedźwiedziu! „I tak Stary Niedźwiedź wrócił do legowiska, gdzie czekały Małe Niedźwiadki— recytowała uroczyście. — I Niedźwiadki były bardzo głodne. I Stary Niedźwiedź powiedział: zgadnijcie, co wam przynoszę, moje dzieci. I jeden Niedźwiadek zgadł: jagody, a drugi Niedźwiadek zgadł: łososia, a trzeci Niedźwiadek zgadł: jeżozwierza. Wtedy Stary Niedźwiedź roześmiał się i zawołał: Uf! Uf! Pięknego, Dużego, Tłustego Człowieka!”

W miarę słuchania jakieś dawne wspomnienie stawało mu w oczach, a kiedy dziewczyna skończyła, kąciki oczu uniosły się w górę i całą twarzą owładnął swoisty, cichy, bezdźwięczny śmiech.

— Tak, znam na pewno — wytłumaczył. — Ale zabijcie mnie, nie wiem, kto taki.

Wskazała palcem na sklep i patrzyła niespokojnie prosto w oczy.

— Mam cię! — Odsunął się nagle, obejrzał dziewczynę od stóp do głowy, po czym zdziwił się jeszcze więcej, zbity z tropu do reszty. — Nie może być. To nieporozumienie. Pani nie mogła mieszkać tu, w tej chacie.

Frona z zapalem pokiwała głową.

— Więc to doprawdy ty, we własnej osobie? Maleńkie, śliczne stworzenie, które nie miało matki i któremu tyle razy rozczesywałem złote kudełki? Maleńka czarownica, która tu latała boso i z gołymi udkami?

— Tak, tak — dopomagała mu uszczęśliwiona.

— Mały szatanek, który buchnął zaprzęg i pośród głębokiej zimy ruszył z psami na przełęcz po to tylko, żeby zobaczyć, gdzie świat się kończy, bo stary Matt opowiadał o tym piękne bajki?

— O Matt, kochany, stary Matt! Pamiętasz, jak poszłam pływać z małymi Siwaszkami koło indyjskiego obozu?

— I ja musiałam wyciągać cię z wody za włosy!

— I postradałeś wtedy jeden ze swoich gumowych butów!

— Niestety! Kosztowały całe dziesięć dolarów, tu, w sklepie twego ojca.

— A potem ruszyłeś przez przełęcz w głąb kraju i słuch o tobie zaginął. Wszyscy myśleli, żeś umarł!

— Doskonale pamiętam dzień odjazdu. Płakałaś w moich ramionach i ani rusz nie chciałaś pocałować starego Matta na do widzenia. Ale przecież na koniec pocałowałaś — zawołał triumfalnie — kiedy uwierzyłaś, że naprawdę jadę. Takie to maleństwo było!

— Miałam osiem lat.

— To dwanaście lat temu. Dwanaście lat przesiedziałem w dziczy i ani razu nie wyjrzałem na świat boży. Teraz masz dwadzieścia?

— I jestem twego wzrostu! — stwierdziła Frona.

— Ładna kobieta z ciebie wyrosła, wysoka, w sam raz i w ogóle. — Obejrzał ją krytycznie. — Co prawda warto by może trochę utyć, zdaje mi się.

— Ani myślę — odparła. — Me w dwadzieścia lat, mój miły, nie w dwadzieścia lat. Spróbuj no moje muskuły, to się przekonasz. — Zgięła ramię, aż biceps zarysował się krągłym węzłem.

— Tak, muskulik niczego — przyznał, z podziwem dotykając krzepkiej wyniosłości — jakbyś co najmniej ciężko pracowała na chleb.

— O, spróbowałam rzutów, boksu, fechtunku — wołała przybierając kolejno typowe pozycje; — umiem pływać, nurkować, skakać przez płotki i — i nawet chodzić na rękach. Żebyś wiedział!

— Tego cię tam uczone? He? Myślałem, że cię ojciec posłał, żebyś nabrała rozumu z książek — zauważył sucho.

— Ależ teraz mają nowe sposoby uczenia, Matt, nie nabijają głowy, żeby aż spuchła...

— I żeby słabe nogi nie mogły jej unieść, co? No, niech tam, już ci przebaczam nawet muskuły.

— A jakżeż twoje sprawy, Matt? — zapytała Frona. — Jakże ci się życie układało przez te dwanaście lat?

— Ho, ho! — rozstawił szeroko nogi, odrzucił głowę i wydał pierś. — Nie byle co! Jestem sobie teraz jaśnie wielmożny Mac Carthy, król dynastii Eldorado z łaski tych oto własnych dziesięciu palców. Królestwo moje nie ma granic. Kopię przez jedną minutę więcej złota, niż dawniej widziałem na oczy przez całe życie. Wybieram się teraz do Stanów, żeby poszukać, czy nie mam przypadkiem jakich antenatów. Żywię błogą nadzieją, że przecież jacyś się znajdują. Tu w Klondike można znaleźć złoto, ale ani kropli dobrej wódki. To jest druga przyczyna, dla której daję sobie urlop. Postanowiłem raz jeszcze skosztować przyzwoitego alkoholu, zanim umrę. Potem mam najszczerzy zamiar wrócić do swego północnego królestwa. Daję słowo, jestem królem Eldorado i jeśli życzysz sobie kawałek złotej ziemi, to ci osobiście ofiaruję.

— Zawsze ten sam stary, stary Matt, który się nigdy nie zestarzeje — parsknęła wesoło Frona.

— A ty jesteś nieodrodna Welse! Muskuły atlety i łeb filozofa. Ale chodźmy no do sklepu. Louis i Swiftwater już tam weszli. Podobno Andy wciąż jeszcze sterczy za ladą, ciekaw jestem czy mnie pamięta.

— I mnie też. — Frona wzięła go za rękę. Miała złe przyzwyczajenie chwywania za rękę każdego, kogo lubiła. — Dziesięć lat nie byłam w tych stronach!

Irlandczyk począł wyorywać sobie drogę w tłumie niby pług. Frona szła z łatwością pozostawioną przez niego bruzdą. Nowicjusze przyglądali się z szacunkiem owym bóstwom Północy. Gwar zaszemrał na nowo.

— Kto jest ta dziewczyna? — zapytał głos w tłumie i Frona zamykając już za sobą drzwi sklepu, dosłyszała czyjąś dobitną odpowiedź:

— Córka Jakuba Welse'a. Nie słyszeliście nigdy o Jakubie Welsie? Gdzieżeście się uchowali?

ROZDZIAŁ II

Wybiegła z gaju lśniących brzoź i pod pierwszymi promieniami słońca, grającymi w fali rozpuszczonych włosów, pomykała lekko przez rosistą łąkę. Ziemia była aż tłusta od wilgoci i miękka pod stopą, bujne trawy chłostały kolana, płynne diamenty rosy odbijały migotliwe iskry słońca. Rumieniec poranka krasił policzki, jasność poranka płonęła w oczach, młodość i miłość przeświałała ciało. Bo Frona wyrosła na piersi ziemi — nie znając piersi matki — i kochała namiętnie stare drzewa i wszelaką zieloność; głuchy poszept rosnącego życia radosny był jej uszom i wilgotne wonie ziemi słodkie jej nozdrzom.

Gdzie górny zasięg łąki ginął pod ciemnym i stromym skrzydłem lasu, pośród smukłych śliskołodygich mleczów i barwnych smólek — Frona napotkała krzak dużych fiołków Alaski. Rzuciwszy się na ziemię jak długa, wtuliła twarz w wonną świeżość i rękoma przytuliła do głowy śliczne purpurowe półkole małych główek. Nie wstydziła się swego wzruszenia. Wyruszyła była stąd ongiś w tumult, kurz i trujące upały szerokiego świata i oto powróciła: prosta, czysta i zdrowa.

Cieszyła się tym, leżąc pośród łąki i goniąc wspomnieniem dawne dni, kiedy to wszechświat kończył się na linii widnokregu i trzeba było wędrować na przełęcz, żeby zobaczyć, czy jest piekło.

Tak, pierwotne było życie jej dzieciństwa, nielicznymi zamknięte granicami zasad i wymagań, te jednak, które istniały, były surowe. W skrócie można by je nazwać — jak przeczytała kiedyś później Frona — „braterstwem chleba i płaszczą”. Braterstwa tego dochował ojciec — myślała wspomniawszy, jak dobrze wymawiali ludzie jego imię. Tę to wiarę przyjęła i niosła ze sobą Frona poza linię widnokregu i hen w szeroki świat, gdzie ludzie porzucili stare prawdy i wymyślili sobie nowe, samolubne, przewrotne i podobno „wyższe”. Tę to wiarę przyniosła dziś ze sobą, wciąż świeżą, młodą i radosną. Wszystko jest takie proste — myślała. Czemuż ludzie nie przyjmą tej wiary: braterstwa chleba i płaszczą. Braterstwa na szlaku i w obozie. Wiary, z którą silni, czyści mężczyźni spotykają nagle niebezpieczeństwo i gwałtowną śmierć na rzece lub w polu. Czemu? Wiarę Jakuba

Welse'a? Wiarę Matta Mac Carthy? Chłopaków indyjskich, z którymi bawiła się niegdyś? Dziewcząt tubylczych, które wodziła na wojnę amazonek? Albo nawet psów-wilczurów, pracujących w uprzęży co sił i swawolących w śniegu? To jest zdrowe, to jest istotne, to jest dobre — myślała i pełna była radości.

Bogata piosnka ptaszęca powitała ją z głębi lasu i zbudziła słuch na dźwięki dnia. Kuropatwa nawoływała gdzieś z oddali i mała wiewióreczka miotła się wysoko w przestrzeni od pnia do pnia, od gałęzi do gałęzi, wdzięcznie terkocząc. Od strony niewidzialnej rzeki dochodziły pokrzyki spracowanych łowców fortuny, którzy już zerwali się ze snu i wywalczali dalej drogę swą ku biegunowi.

Frona wstała, wstrząsnęła włosy i odruchowo poszła dawną ścieżką pośród drzew ku obozowi wodza George'a z plemienia Dyea. Spotkała jakiegoś chłopaka; był muskularny i nagi, niby mały miedziany bożek. Zbierał chrust i popatrzał ku niej bystro przez brązowe ramię. Rzuciła mu grzeczne „dzień dobry” w języku Dyea, ale chłopak potrząsnął głową, zaśmiał się obelżywie i zaprzestał roboty, żeby ciskać za idącą bezwstydną słowa. Nie rozumiała, o co chodzi. Dawniej tak nie bywało. Więc już mijając ogromnego, jaskrawo przybranego Indianina — zatrzymała język za zębami.

Na skraju lasu stanęła przed obozowiskiem zdumiona. Nie była to już wioszczyna z kilkunastu szałasów, trwożliwie stłoczonych na polanie, jakby dla dodania sobie wzajem odwagi. Było to potężnie rozrosłe osiedle. Zaczynało się tuż za lasem, rozpościerało po równinie, pośród rzadkich drzewin i biegło aż na sam brzeg rzeki, obarczonej licznymi rzędami czółen. Roilo się tu zbiegowisko plemion, jakiego nigdy dawniej nie bywało. Powsząd siedzieli obcy, nietutejsi ludzie, z kobietami, dziećmi i psami. Frona idąc, mijala przybyszów z plemienia Juneau i Wrangla, potracali ją dzikoocy Stikowie spoza przełęczy, zuchwali Chilcaci i wyspiarze Królowej Karoliny. Spojrzenia, które jej rzucali, były ciemne i ponure, prócz tych — stokroć gorszych — wyzywających i pogardliwych ciskanych prosto w twarz, wraz z bezwstydnym chichotem.

Nie przeraziła Frony ta zuchwałość, ale rozgniewała, zaboląła i zatrąła radość powrotu do domu. Szybko pojęła dziewczyna, co tu zająć musiało: stare, patriarchalne stosunki z czasów jej ojca minęły, cywilizacja zaś, jak zaraza, spadła na ten kraj w jeden dzień. Rzuciwszy okiem pod uniesioną połę namiotu. Frona. dostrzegła kilku mężczyzn o złowrogich twarzach; leżeli kołem, u wejścia zaś stos rozbitych flaszek wymownie opowiadał o zabawach nocy. Biały człowiek, wymokły i sprytny rozdawał karty; złote i srebrne monety pobrzękiwały po brzegach rozestanej kołdry. O kilka kroków dalej Frona usłyszała skrzyp „koła szczęścia” i zobaczyła Indian, mężczyzn i kobiety, ciskających

łapczywie ciężko zarobione pieniądze na zawodne szale gry. Z szałasów i chat pobrzmiwały ochryple dźwięki tanich gramofonów.

Stara kobiecina, zdzierająca korę z wierzbowego pręta u wejścia do namiotu, podniosła głowę i nagle krzyknęła przenikliwie:

— Hi-Hi! Tenas Hi-Hi! — bełkotała tak pospiesznie i tak wyraźnie, jak tylko pozwoliły bezzębne szczęki.

Frona drgnęła na ten okrzyk. Tenas Hi-Hi! Maleńki Śmieszek! Jej własne imię z dawno minionych, indyjskich czasów. Zawróciła natychmiast i podbiegła do kobiety.

— Czy już tak prędko zapomniałaś, Tenas Hi-Hi? — szepleniła stara. — Oczy masz młode i bystre! Nie tak prędko zapomina Neepoosa!

— Więc to ty, Neepoosa — wołała Frona, chociaż język nie chciał się poddać brzmieniu słów, od tylu lat niewymawianych.

— Tak, to jest Neepoosa — odpowiedziała starowina, wciągając gościa do namiotu i po coś pospiesznie wysyłając chłopaka. Usiadły obie na ziemi, stara poklepywała serdecznie rękę Frony i oglądała twarz zamglonymi, zaropiałymi oczyma.

— Tak, to jest Neepoosa, wcześniej stara, jak wszystkie nasze kobiety. Neepoosa, która cię nosiła na ręku kiedy byłaś malutka, Neepoosa, która się nazwała po swojemu Tenas-Hi-Hi, która walczyła o ciebie ze Śmiercią,

Kiedy byłaś chora, która zbierała korzenie w lesie i zioła na łące, warzyła i dawała ci pić. Mała się zmieniłaś, poznałam cię od razu. Jak tylko zobaczyłam twój cień na ziemi, zaraz podniosłam głowę. Mała się zmieniłaś, jesteś wysoka, piękna jak młoda wierzba, słońce całowało twoje liczko mniej niż kiedyś, ale włosy są te same, nieposłuszne, rozwiane i koloru tych brązowych wodorostów, które przyptływ wyrzuca, i te same usta, skore do śmiechu, niechętne do płaczu. I oczy są takie same jasne i prawdziwe jak w tamtych czasach, kiedy Neepoosa karciała cię za złe postęпки, a ty nigdy nie położyłaś fałszywych słów na język swój. Aj! Aj! Inna jesteś niż te kobiety, które teraz przyjeżdżają do naszego kraju.

— A czemuż to biała kobieta jest teraz bez szacunku w waszych oczach? — zapytała Frona. — Wasi mężczyźni i nawet chłopcy mówili do mnie złe słowa, kiedy szłam przez obóz i przez las. Takich rzeczy nie było dawniej, kiedy bawiłam się z nimi.

— Tak! Tak! — odrzekła Neepoosa. — To prawda. Ale to nie ich wina. Nie rzucaj swego gniewu na ich głowy. Bo winne są te kobiety, które przyjeżdżają teraz do naszego kraju. Nie mogą wskazać na żadnego mężczyznę i powiedzieć: „Oto jest mój mężczyzna”. A to źle, jeśli kobiety są takie. One patrzą na wszystkich mężczyzn zuchwale,

bezwstydny oczyma, języki mają nieczyste i serca złe. Dlatego są bez honoru w oczach naszych. A chłopaki — są tylko chłopaki. A mężczyźni, skądże mogą wiedzieć?

Zasłona u wejścia uchyliła się i wszedł stary Indianin. Mruknął powitanie w stronę gościa i usiadł. Tylko pewien odcień żywości w ruchach wskazywał, jak jak miłą mu była obecność Frony.

— Więc Tenas Hi-Hi powróciła do nas na te kiepskie czasy? — zagadnął przenikliwym, drżącym głosem.

— Czemu kiepskie czasy, Muskim? — pytała Frona. — Czy kobiety nie noszą barwniejszej odzieży? Czyż żołądki wasze nie są pełne słoniny, mąki i wszelkiej żywności białego człowieka? Czyż młodzi mężczyźni nie ciągną wielkiego bogactwa z rzemieni i wiosel? I czyż po dawnemu nie otrzymujesz od ludzi mięsa, ryb i kołder? Czemuż ciężkie czasy, Muskim?

— To prawda — odrzekł wyszukany słowy, jak na kapłana przystało, i przeblask dawnego ognia mignął mu w oczach. — To święta prawda. Kobiety noszą barwniejszą odzież. Ale znalazły łaskę w oczach białych mężczyzn i nie chcą już patrzeć na mężczyzn własnej krwi. Więc plemię nie rozmnaża się jak dawniej i małe dzieci nie płaczą się już pod nogami. Tak, tak, żołądki są pełne żywności białego człowieka, ale pełne są również złej wódki białych ludzi. Tak, a nie inaczej, młodzi mężczyźni zgarniają dużo pieniędzy, ale całe noce siedzą nad kartami i bogactwo odpływa. Jeden drugiemu ciska złe słowa i biją się w gniewie i zła krew plami ich ręce. A stary Muskim otrzymuje mało ofiar mięsa, ryb i kołder. Albowiem młode kobiety zeszyły ze ścieżek ojców swoich, więc młodzi mężczyźni nie czczą już starego obyczaju, ni starych bogów. Złe są to dni, Tenas Hi-Hi i stary Muskim zstąpi do grobu troski pełen.

— Tak! Tak! Prawda! — zawodziła Neepoosa.

— Od szaleństwa twego narodu oszalał również mój naród — mówił dalej Muskim. — Nadeszli tamci spoza słonego morza, niby morskie fale i wędrują — ach! któż wie dokąd?

— Tak! Któż wie dokąd? — lamentowała Neepoosa, kiwając się w przód i w tył.

— Idą ciągle ku mrozom i śniegom; i wciąż przychodzą nowi, fala za falą!

— Tak! Tak! Ku mrozom i śniegom. Droga jest długa, ciemna i chłodna! — Zadrzała, potem nagłym ruchem dotknęła ramienia Frony. — I ty idziesz?

Frona skinęła głową.

— I Tenas Hi-Hi idzie! Tak! Tak! Tak!

Zasłona namiotu uchyliła się znowu i Matt Mc Carthy zajrzał do wnętrza.

— Tu jesteś, Frona, we własnej osobie? Śniadanie czeka już od pół godziny, a stary Andy gderze i zrzędzi jak baba. Dzień dobry wam, Neepoosa — zwrócił się do Indian — i wam, Muskim, chociaż wątpię bardzo, czy mnie jeszcze pamiętacie.

Para staruchów odmruknęła powitanie i natychmiast zamilkła chmurnie.

— Prędeż, prędeż, dziewczyneczko — zwrócił się Matt do Frony. — Mój parowiec odchodzi o dwunastej, a jeszcze się na ciebie wcale nie napatrzył. Prócz tego Andy i śniadanie gotują się wspólnie i kipią.

ROZDZIAŁ III

Frona skinęła ręką staremu Andy i posuwistym krokiem wyszła na szlak. Na plecach przytroczony miała aparat fotograficzny i małą walizeczkę podróżną. Za „kij alpejski” służył jej wierzbowy pręt starej Neepoosy. Suknię miała sportową, krótką i skąpą, dającą największą użyteczność przy najmniejszej ilości materiału, szarą i skromną.

Ekwipunek na grzbietach dwunastu Indian i pod opieką Dela Bishopa wyruszył w drogę o parę godzin wcześniej. Poprzedniego dnia Frona, wróciwszy z Mattem Mc Carthy z obozu Indian, zastała w sklepie czekającego na nią Dela. Interes ubito szybko, bowiem propozycja była wyraźna i szczegółowa: Frona wybiera się w głąb kraju. Będzie potrzebowała kogoś do pomocy. On również wyrusza do Klondike. Byłby dla niej pomocnikiem w sam raz, jeśli jeszcze nikogo nie znalazła. Zapomniał jej powiedzieć wtedy na wodzie, że był już kiedyś w głębi kraju i zna tamtejsze stosunki. Co prawda nienawidzi wody (a szlak jest prawie cały wodny), ale wcale się wody nie boi. Nie boi się w ogóle niczego. Poza tym będzie walczył za nią, za Fronę, aż do... aż do czubka kapelusza. Co do zapłaty, to wystarczy w Dawson dobre słówko do Jakuba Welse'a, żeby zechciał mu wydać ekwipunek i zapasów żywności na rok. Nie, nie, nie darmo, tylko na kredyt. Za wszystko zwróci, jak mieszek napelni sobie złotym piaskiem. Jakież jest zdanie panny Welse? Zdanie panny Welse było takie, że zanim zdążyła zjeść śniadanie, Del Bishop biegał już w poszukiwaniu tragarzy.

Okazało się, że Frona chodzi szybciej niż większość jej towarzyszy podróży, objuczonych ciężkimi tobołami, które musieli zrzucać na ziemię co kilkaset jardów! Ale trudno jej było dotrzymać kroku gromadce Skandynawów, idących przed nią. Byli to olbrzymi, jasnowłosi, śmigli mężczyźni. Każdy dźwigał na plecach przynajmniej ze sto funtów, prócz tego wszyscy zaprzężeni byli do wózka, naładowanego chyba ze sześciuset funtami. Twarze mieli jak słońce, radość życia grała im we krwi. Praca wydawała się dziecinną igraszka, prostą i łatwą. Żartowali jeden z drugim i rzucali żarciki mijanym ludziom w swoim niezrozumiałym języku, a ogromne ich piersi rozbrzmiewały echem

potężnego śmiechu. Ludzie pozostawali za nimi w tyle i spoglądali ku nim zazdrośnie, jak kłusem wbiegali pod górki, kłusem śmigali w dół, grząc po skalistej drodze żelaznymi kołami wózka. Zapuściwszy się w ciemną głąb lasu, wychynęli na brzegu rzeki, koło brodu. Na piasku leżał topielec, patrząc w słońce niewidzącymi oczyma. Jakiś człowiek stał opodal i pytał przechodniów gniewnym głosem: „Gdzie jest jego towarzysz? Przecież on miał towarzysza!” Jacyś dwaj ludzie zrzucili swoje tłumoki i z chłodnym spokojem robili inwentarz rzeczy martwego człowieka. Jeden wywoływał głośno nazwy przedmiotów, drugi zapisywał je na skrawku brudnego papieru. Listy i kwity, mokre i podarte zaśmiecały piasek. Kilka złotych monet ułożono starannie na rozesełanej białej chustce. Inni podróżni, jadący czołnami w dół i w górę rzeki, nie zwracali na tę scenę najmniejszej uwagi.

Skandynawczycy spojrzeli i twarze ich zasępiły się na chwilę. „Gdzie jego towarzysz? Przecież on miał towarzysza!” — rzucił ku nim irytujący się człek. Potrząsnęli głowami. Nie rozumieli po angielsku. Weszli odważnie w wodę, chcąc przebyć rzekę w bród. Ktoś krzyknął ostrzegawczo z przeciwległego brzegu, wobec czego przystanęli i naradzali się chwilę między sobą. Potem ruszyli znowu. Dwaj ludzie, porządkujący rzeczy trupa, odwrócili się i spoglądali na grupę młodych olbrzymów. Nurt sięgał im zaledwie do połowy łydek, ale tak był ostry, że poczęli chwiać się na nogach, wózek zaś coraz to ześlizgiwał się z falą. Podchodzili do najgorszego miejsca — Frona wstrzymała oddech. Woda dosięgła kolan dwóch ludzi idących z przodu, kiedy nagle pękł rzemień u plecaka tego człowieka, który był najbliżej wózka. Plecak przeważył gwałtownie w bok i przewrócił chłopca. W tej samej chwili drugi towarzysz pośliznął się i podbił nogi trzeciemu. Dwóch następnych zniósł prąd, wózek zaś zsunął się z brzegu brodu w głęboką wodę. Dwaj, którzy zdołali się właśnie wynurzyć, z całych sił natarli na liny. Wysiętek był bohaterski, lecz nawet na mięśnie olbrzymów zbyt ciężki. Cał po calu wlokła ich woda i wreszcie połknęła.

Ciężkie plecaki przybiły do dna wszystkich, prócz tego jednego, któremu pękł rzemień. Zdołał wypłynąć, co prawda nie na brzeg, lecz z biegiem rzeki i próbował ratować towarzyszy. O kilkaset stóp poniżej — niewielki wodospad ciskał się z zębatego progu. Tam — w owym miejscu — ukazały się za chwilę ciała tonących. Wózek, wciąż jeszcze wyładowany, ale ze druzgotanym kołem sunął pierwszy i koziołkował po kamieniach. Ludzie za nim w straszliwym splocie. Uderzyło ich o skały pod wodospadem i poniosło dalej wszystkich prócz jednego. Frona w łodzi (z tuzin łódek wyruszyło na pomoc) ujrzała, jak chwycił się skały krwawiącymi palcami. Ujrzała zbielełą twarz i śmiertelny spazm wysiętku, ale wkrótce palce rozluźniły skurcz i ciało połknęła woda w tej

właśnie chwili, kiedy wolny towarzysz już dosięgął ręką. Niewidzialnych niosło ich do następnego progu, po czym wynurzyli się znowu na chwilę, wciąż jeszcze walczący.

Jedno z czołen zabrało płynącego człowieka, ale pozostali znikli w długiej smudze głębokiej wody. Przez dobry kwadrans czołna krzątały się nadaremno, po czym odnalazły pięć trupów, łagodnie złożonych na mieliźnie; Z jakiejś barki holowanej pod prąd pożyczono linę, od jakiegoś wozu, wlokącego się brzegiem, odprężnięto parę koni i wyciągnięto na piach straszliwy ładunek śmierci. Frona patrzyła na pięciu młodych olbrzymów, złożonych wśród mułu, potraskanych, bezwładnych, obojętnych. Wciąż jeszcze wplątani byli w uprząż wózka i biedne, nic już nie warte, toboły wciąż jeszcze lgnęły do ich pleców. Szósty siedział pośrodku, oszołomiony, tępy, bez jednej ły. O kilka stóp dalej uparta fala życia płynęła naprzód: Frona ruszyła wraz z nią.

Ciemne, lesiste góry zsunęły się ciasno w wąwozie Dyea i liczne stopy człowiecze udeptały mokrą, nie znającą słońca ziemię na grząskie, głębokie błocko, po czym poszukały sobie nowych ścieżek. Wobec tego ścieżek było wiele. Na takiej to ścieżce Frona trafiła na człowieka, rozpostartego niedbale w błocie. Leżał bokiem, nogi rozrzucił, jedno ramię podłożył pod grzbiet, obciążony tobołem. Policzek wtulony miał spokojnie w miękkie błoto, na twarzy — wyraz błogości. Człowiek ów na widok Frony uśmiechnął się radośnie i wesoło błysnął oczyma.

— Czekam na panią już dobrą godziną — przywitał.

— Właśnie, właśnie — dodał, kiedy Frona pochyliła się nad nim. — Proszę no rozwiązać ten podły sznur. Ani rusz nie mogłem go dostać.

— Ranni jesteście? — zapytała.

Wydostał się z rzemieni i sznurów, zrzucił tobole, otrząsnął się i dotknął zgiętego ramienia. — Nie, zdrów jestem jak dolar dziękuję. Nie mam nawet guzów do policzenia.

— Wytarł zabłocone ręce o niską choinkę. — Ale mam pecha! No, co prawda tom sobie krzyne odpoczął, więc nie ma o czym gadać. O, widzi pani, potknąłem się o ten korzeń i dopiero pęc, trach, bac — leżę — jak długi, a do toboła sięgnąć ani rusz. I takem tu leżał okrągłą godzinkę, bo wszyscy szli dolną ścieżką.

— Czemuście nie zawołali ludzi?

— Żeby tu do mnie leżli na górę? Każdy zajęty sobą i każdy coś dźwiga. Nigdy w życiu! Przecie nic poważnego. Gdyby mnie tak kto kazał piąć się pod górę tylko dlatego, że sam zjechał w dół, to bym go wyciągnął, a potem bym go znowu nosem w błoto tknął. Wiedziałem, że przecież ktoś się kiedyś zjawi.

— Tak, wy jesteście w sam raz dla tego kraju — powtórzyła Frona dawne wyrażenie Dela Bishopa.

— Racja — odkrzyknął, zarzucając tobół na ramię i ruszając zwawym krokiem. — A przecież sobie odpocząłem.

Szlak biegł przez grząskie bagno ku brzegowi potoku. Smukła zgięta sosna chyliła się aż ku pienistej fali. Nurt bił o wąski pień i kołysał go rytmicznie, stopy ludzkie wyslizgały gładko jego wilgotną powierzchnię. Z osiemdziesiąt stóp długości miał ten chwiejny mostek. Frona stąpiła. poczuła jego rozkołysanie nad huczącym potokiem, zmierzyła oczyma szybkość prądu — i cofnęła się. Pochylona długo i starannie zawiązywała rozwiązany umyślnie bucik patrząc, jak gromadka Indian wędruje przez bagno ku brzegowi. Trzech czy czterech mężczyzn szło naprzód, kilka kobiet za nimi. Wszyscy uginali się pod ciężarem wiuków. Na końcu kroczyły dzieci, obładowane mniej lub więcej, zależnie od wieku, wreszcie pochód zamykał z tuzin objuczonych psów, prących przed siebie z wywieszonymi językami.

Mężczyźni popatrzyli z ukosa na białą kobietę i jeden powiedział coś półgłosem. Frona nie dosłyszała, ale chichot, który wybuchnął w gromadce, oblał ją rumieńcem i wytłumaczył więcej niż słowa. Wstyd ją palił, ale udała, że nic nie dostrzega. Starszy spośród Indian stanął na uboczu i wpuszczał na niebezpieczną kładkę po jednej osobie. W wygięciu pnia, pośrodku potoku ciężar ludzki zanurzał drzewo i trzeba było brodzić aż po kostki w zimnej porywczej wodzie. Małe dzieci uczyniły to jednak bez wahania i nawet psy, skamłając trwożnie, poddały się woli człowieka. Kiedy ostatni przeszedł, starszy Indianin zwrócił się do Frony.

— Tam droga dla koni — wskazał ku górze. — Lepiej wy iść tam. Dalej bardzo. Lepiej bardzo.

Ale Frona potrząsnęła głową i poczekała, aż przejdzie na drugi brzeg. Poczowała wyzwanie, rzucone nie tylko jej własnej dumie, lecz dumie jej rasy. I żądanie rasy silniejsze było niż jej własne o tyle, o ile rasa większa jest niżli człowiek. Więc Frona weszła spokojnie na pień czując na sobie oczy obcego plemienia, i zanurzyła nogi w biały, pienisty nurt.

Przy drodze siedział jakiś człowiek i chlpał. Tobół, związany niezdarnie, leżał opodal. Człowiek zdjął jeden but. Naga stopa była czerwona i opuchnięta.

— Co się stało? — zagadnęła przystając Frona.

Spojrzał ku niej w górę, potem w przestrzeń, gdzie Dyea wstęgą żywego srebra przecinała ponury zmierzch. Oczy miał pełne łez i jęczał.

— Co się stało? — powtórzyła. — Czy mogę w czymś pomóc?

— Nie — odparł. — Cóż tu można pomóc? Nogi mam poranione, grzbiet prawie połamany i cały jestem wycieńczony do cna. Cóż tu można pomóc!

— No — odparła rozsądnie — przypuszczam, że bywa gorzej. Proszę pomyśleć o tych, którzy dopiero teraz wylądowują na brzegu. Będą musieli męczyć się jeszcze dziesięć dni albo dwa tygodnie, żeby dotrzeć do tego miejsca, gdzie my już jesteśmy.

— Ale moi towarzysze mnie opuścili i poszli sobie — wyjąknął głosem błagającym o litość. — Jestem sam jeden i nie czuję się na siłach ruszyć nogą. Myślę też o mojej żonie i dzieciach. Zostawiłem ich w Stanach. O, gdybyż mogli zobaczyć mnie teraz! Nie mogę wrócić do nich i nie mogę iść dalej. To ponad moje siły. Nie mogę wytrzymać tej końskiej pracy. Nie jestem do tego stworzony. Umrę, wiem, że umrę, jeśli tak dalej będzie. O, cóż mam począć? Cóż mam począć?

— Czemuż opuścili was towarzysze?

— Bo nie byłem tak silny, jak oni. Bo nie mogłem nieść tak wiele i tak daleko. Śmieli się ze mnie i zostawili mnie tu przy drodze.

— Wyglądacie tęgo i zdrowo. Waga chyba ze sto sześćdziesiąt pięć?

— Sto siedemdziesiąt — poprawił.

— Chorowaliście często? Może inwalida?

— N-nie.

— A towarzysze? Czy są kopaczami z zawodu?

— Nic podobnego. Pracowaliśmy razem w fabryce. Właśnie to mnie wścieka. Zналиśmy się od lat. I żeby mnie tak podle rzucić tylko dlatego, że już nie mogłem...

— Słuchajcie no, przyjacielu — Frona czuła, że mówi w niej głos rasy. — Jesteście równie silni jak tamci. Możecie tak samo pracować i tyle samo dźwigać. Ale jesteście słabi duchem. Ten kraj nie jest miejscem dla ludzi słabych duchem. Nie możecie pracować jak koń, po prostu dlatego że nie chcecie. Więc nic wam z tego kraju. Północ przyjmuje tylko silnych ludzi — silnych duchem, nie ciałem. Ciało się nie liczy. Wracajcie do Stanów. Nic tu po was. Jeśli zostanieie, zginiecie marnie, a cóż pocznie wtedy żona i dzieci? Radzę wam, sprzedajcie ekwipunek i wracajcie. Będziecie w domu za trzy tygodnie. Do widzenia.

Mijała Owczy Obóz. Gdzieś wysoko potężny lodowiec pod ciśnieniem podziemnego zbiornika pękł był z grzmotem i cisnął w gardziel skalną sto tysięcy ton lodu i wody. Szlak był jeszcze śliski od mułu wylewu, zaś chwilowi mieszkańcy Obozu krzżeli się zatroskani pośród szczątków przewróconych namiotów i zniszczonych szałasów. Tu i ówdzie pracowali jednak z nerwowym pośpiechem, trupy zaś, ułożone szeregiem przy drodze,

niemo utwierdzały żywych w tej pracy. O kilkaset jardów dalej wrzała nieprzerwana i niezmacona gorączka złota. Ludzie opierali toboły o sterczące gzymsy skalne i chwyтали dech, żeby za chwilę znowu ruszyć naprzód.

Południowe słońce biło w skałę zwaną „Wagi”. Las już tu nie sięgał zawrotne gorąco wiało z nagich kamieni. Po obu stronach wznosiły się wygładzone przez lody żebra ziemi, obnażone i surowe w tym obnażeniu. Wyżej widniał Chileoot, chłostany przez burze. Po jego stromym i poszarpanym stoku pełzł wążutki łańcuszek ludzi. Łańcuszek ten nie miał końca. Wyłaniał się z głębi lasu, ciągnął czarną linią przez oślepiające pola lodowe, sunął obok Frony, jedzącej śniadanie przy drodze, i biegł dalej w górę po stromym stoku, zwężając się i wążując w pochód mrówek, aż. znikł za zakrętem w gardzieli przełęczy.

W oczach Frony Chilcoot okrył się kłębamii mgieł i skrętnych, poszarpanych chmur. Nawałnica igieł śnieżnych i wiatru runęła na pracowitych pigmejów. Światło dnia zdmuchnęły niewidzialne usta, zapadł głęboki mrok. Frona wiedziała jęsinak, że gdzieś tam w górze, przywarty do skały, walczy nieśmiertelnie, zawzięcie, niepokonanie łańcuch wążłych mrówek, pnący się ku niebu. Dreszcz ją przeszył na myśl o tym, mocny dreszcz prastarej miłości człowieka do władzy. Wstąpiła w szereg wychodzący z burzy, która szalała poza nim, i nikiący w burz, która wyła przed nim.

Przez gardziel przełęczy przewiało ją w wirze chmur, na czworakach spelzła w dół wulkanicznych zwałów potężnego dziada Chileoot i stanęła nad ponurym brzegiem jeziora, wypełniającego zagasty krater. Jezioro było gniewne, okryte pianą i chociaż ze sto ładunków czekało przeprawy, nie krzątała się żadna łódka. Jakiś dziwaczny szkielet drewniany, obciążony przetłuszczonym płótnem, leżał na kamieniach. Frona odszukała właściciela, jasnoliciego młodego chłopca o czarnych bystrych oczach i mocnych szczękach. Tak, był przewoźnikiem, ale na dzisiaj skwitował z roboty. Woda jest zbyt sroga. Bierze dwadzieścia pięć dolarów od pasażera, ale dzisiaj nie chce żadnych pasażerów. (Przecież powiedział wyraźnie, że woda jest dzisiaj za sroga. Więc dlatego.

— Ale mnie przewieziecie, prawda? — zapytała Frona. Potrząsnął głową i spojrzał na jezioro. — Przy tamtym brzegu jest jeszcze gorzej niż tutaj. Nie ryzykują nawet dwie drewniane łodzie. Ostatnią, która spróbowała, zwiąło na zachodni brzeg; wiozła kilku tragarzy. Ledwieśmy ich mogli dostrzec. A że nie ma dookoła drogi lądowej — będą musieli czekać tam, aż wiatr ustanie. — Ale są dalej niż ja. Mój ekwipunek jest już w Szczęśliwym Obozie, więc jakże tu zostanę? — Frona uśmiechnęła się pociągająco, ale w uśmiechu tym nie było prośby ani bezbronności kobiecej, wzywającej siły i rycerskości mężczyzny.

— Przyjmijcie to pod uwagę i zawieźcie mnie.

— Nie.

— Dam pięćdziesiąt.

— Nie, powiedziałem.

— Ależ ja wcale się nie boję.

Oczy młodzika błysnęły gniewnie. Odwrócił się ku niej gwałtownie, ale przygryzł język i nie rzucił tych słów, które miał gotowe.

Dziewczyna zrozumiała ciśniętą mimo woli obelgę i chciała się wytłumaczyć. Ale ze swej strony ona również przygryzła język i zmilczała; odgadła tego chłopca i pewna była, że dotknięcie jego dumy jest jedynym sposobem osiągnięcia celu. Stali tak oboje, podani całym ciałem w kierunku wiatru, niczym marynarze na pochylonym pokładzie, patrząc sobie wprost w oczy nieustępliwymi oczami. Jego włosy w mokrych kosmykach przylgnęły do czoła, jej dłuższymi pasmami dziko trzepotały na wietrze i biły o policzki.

— Jak tak, to jechać! — gniewnie kopnął łódź na wodę i cisnął wiosła. — Włazić! — Przewiozę, ale nie za żadne pięćdziesiąt dolarów. Pani zapłaci zwykle dwadzieścia pięć i koniec.

Podmuch burzy schwytał lekką łupinę i powłókł ją na boku z dwadzieścia stóp. Fala natychmiast chlusnęła do wnętrza. Frona chwyciła za czerpak.

— Zdaje się, że znosi na zachodni brzeg — huknął biorąc wiosła. — Będzie to dość kłopotliwe... dla pani — spojrzał jej dziko w twarz.

— Nie — poprawiła — będzie to bardzo przykre dla nas obojga: noc bez namiotu, koców i ogniska. Zresztą nie wiadomo jeszcze, czy nas zwieje.

Wyskoczyła na śliskie kamienie, pomogła mu wciągnąć płócienny statek i wyczerpać wodę. Na wszystkie strony sterczały wysokie, nagie ściany skalne. Ciężkie, mokre płyty śnieżne padały uparcie, pośród nich zaś widniały gdzieniegdzie w zapadających ciemnościach sylwety nielicznych namiotów.

— Niech no pani lepiej rzuci to i biegnie prędzej — radził dziękując Fronie za pomoc przy łodzi. — Stąd dwie mile skalistej drogi do Szczęśliwego Obozu. Drew nigdzie, aż dopiero tam, więc trzeba biec dla rozgrzewki. Do widzenia.

Frona podała mu rękę i powiedziała: — Jesteście dzielnym człowiekiem.

— Hm, bo ja wiem — oddał z naddatkiem uścisk ręki i zapatrzył się z zachwytem.

Z tuzin namiotów Szczęśliwego Obozu trzymało się wątłe drewnianych kołków na samym skraju linii lasów. Frona, znużona dniem, wędrowała od namiotu do namiotu. Mokra odzież przyległa ciężko do zmęczonych nóg i wiatr chłostał brutalnie całą postać.

Przez płócienną ściankę któregoś namiotu usłyszała Frona gardłowy bas męski, rozprawiający zawzięcie, i pewna była, że to Del Bishop. Ale spojrzenie do wnętrza powiedziało co innego; wędrowała więc daremnie dalej, aż doszła do ostatniego namiotu. Odwiązała płócienną klapę i zajrzała. Kołochliwy płomyk świecy ukazywał jedynego mieszkańca, mężczyznę, klęczącego i dmuchającego zawzięcie w palenisko yukońskiego piecyka.

ROZDZIAŁ IV

Odchyliła dalej płócienną klapę namiotu i weszła. Mężczyzna nie przestał dmuchać w piec, nieświadomy faktu posiadania towarzystwa. Frona kaszlnęła, wobec czego podniósł na nią zaczerwienione od dymu oczy.

— Owszem, owszem — powiedział dość stosownie. — Proszę uwiązać płótno i rozgościć się. — Po czym wrócił znowu do swej podbiegunowej roboty.

— Bądź co bądź, gościnnie — zauważyła w myśli Frona, przyjmując zaproszenie i podchodząc do pieca.

Stos gałązek karłowatej sosny, krzywych, mokrych i porąbanych stosownie do długości paleniska leżał na podorędziu. Frona знаła dobrze ten gatunek sośniny, płożącej się po skałach i zapelniającej szczeliny złóż polodowcowych, niby jej prototyp, rzadko kiedy wznoszący głowę wyżej niż o kilka cali od ziemi. -Zajrzała do pieca, zobaczyła, że jest niepełny, dołożyła mokrego drzewa. Mężczyzna wstał, kaszlnął od dymu, ale pokiwał głową z uznaniem. Złapawszy dech powiedział: — Niech pani usiądzie i wysuszy suknie. Zajmę się kolacją.

Postawił garnczek od kawy na fajerce piecyka, chlusnął z wiaderka i wyszedł, żeby przynieść jeszcze wody. Kiedy znikł, Frona pośpiesznie sięgnęła do walizeczki i mężczyzna, wróciwszy za chwilę, zastał gościa w innej spódnicy; dawna została właśnie wyciśnięta starannie. Gospodarz namiotu wyjmować począł naczynie ze skrzyni z zapasami, Frona zaś rozciągnęła między kołkami namiotu kawałek sznurka i rozwiesiła mokrą spódnicę. Naczynia były brudne, pochylił się więc i mył je starannie, co dało dziewczynie możliwość dyskretnego zmienienia pończoch. Doświadczenie lat dziecinnych nauczyło ją znaczenia pielęgnowania nóg w podróży. Przemoczone buciki postawiła na stosie drewek koło pieca, sama zaś wciągnęła parę miękkich, ozdobnych mokasynów domowych indyjskiej roboty. Ogień rozpałił się dobrze i Frona rada była, że może wysuszyć na sobie bieliznę.

Przez cały czas oboje nie przemówili ani słowa. Mężczyzna nie tylko milczał, ale zdawał się tak pochłonięty swoimi zjawęciami, jakby nie życzył sobie usłyszeć tych kilku słów wyjaśnienia, które chciałyby wymówić Frona. Zachowanie jego robiło takie wrażenie, jak gdyby było najzwyklejszą pod słońcem rzeczą, iż młoda kobieta wyłania się nagle z burzy i wichru, by dzielić w nocy jego namiot. Do pewnego stopnia podobało się to dziewczynie, ponieważ jednak nie rozumiała tego, czuła się więc zmieszana. Najwyraźniej coś przyjęte zostało za pewnik, coś, czego nie mogła pojąć. Kilkakrotnie zwilżała wargi, żeby przemówić, ale milczała, bo zupełnie nie dostrzegano jej obecności.

Otworzywszy siekierą puszkę wołowiny w konserwie, gospodarz podsmażył kilka grubych plastrów boczku, odstawił patelnię i zagotował kawę. Potem wyłonił ze skrzyni połowę zimnego, ciężkiego placka z jabłkami, obejrzał go z powątpiewaniem i rzucił szybkie spojrzenie na dziewczynę. Wyrzucił nadpsuty przysmak za drzwi, po czym wytrząsnął z pudełka na kawałek płótna resztkę sucharów morskich, rozgniół je, rozkruszył i wystawił na deszcz. Okruchy obficie nasiąkły wodą, aż stały się pulchną brudno-białą masą.

— Nie mam innego „pieczywa” — mruknął — Ale proszą siadać i posilić się jak można.

— Chwileczkę — odpowiedziała Frona i zanim zdołał zaprotestować, rzuciła rozmiękłe suchary na patelnię w tłuszcz. Do tego dołała kilka kubków wody i postawiła na dużym ogniu. Po kilku chwilach parowania i bulgotania całej masy dorzuciła do niej drobno pokrajaną wołowinę i wszystko zamieszała łyżką. Potem hojnie posoliła i popieprzyła, aż smakowita para wznosić się poczęła z mieszaniny.

— Muszę przyznać, że wcale niezła potrawa — powiedział kołysząc talerz na kolanach i chciwie pożerając jego zawartość. — Jak to się nazywa?

— Slumgullion — odrzekła grzecznie Frona, po czym kolacja ciągnęła się już w milczeniu.

Frona pomogła przygotować kawę, jednocześnie bacznie przyglądając się nieznajomemu. I okazało się, że twarz ta nie tylko nie jest niemiła, ale jest pociągająca i silna. Silna raczej biernie niż czynnie. Zapewne student — pomyślała Frona — widywała bowiem oczy studentów, zawsze zmęczone nocnym ślęczeniem nad książkami. Te oczy miały również ów wyraz znużenia. Brązowe oczy — dodała — i piękne, o ile męskie oczy mogą być piękne. Ale po chwili, nakładając mu na talerz drugą porcję slumgullionu, zauważyła z przyjemnością, że brązowość tych oczu nie była pospolita, lecz raczej orzechowa. Przy dziennym świetle — poczuła — i w natężeniu zdrowia oczy te mienić się

będą siwo, a nawet siwo-niebiesko. Wiedziała o tym dobrze. Jej jedyna i najmilsza przyjaciółka miała właśnie takie oczy.

Włosy mężczyzny były ciemno-orzechowe, lśniące miedzią przy blasku świecy i lekko sfalowane, wąs maleńki, złotawy. Cała twarz poza tym była czysto wygolona i wedle pięknego, prawdziwie męskiego wzoru rzeźbiona. Z początku nie podobały się Franie zbyt zapadłe policzki, ale kiedy oceniła spojrzeniem muskularną, śmigłą postać, głęboką pierś i ciężkie ramiona, odkryła nagle, że chude policzki są ładne. W każdym razie nie pochodzą z niedożywienia; przeczy temu budowa ciała, policzki za to bronią od zarzutu otyłości. Wysokość pięć stóp dziewięć — oceniła wedle swego szkolnego doświadczenia; wiek: ze dwadzieścia pięć, trzydzieści, ale raczej to pierwsze.

— Koców mam mało — powiedział nagle i zamilkł, żeby wychylić filiżankę kawy i postawić ją przewróconą na skrzynię. — Nie przypuszczam, żeby moi Indianie wrócili przed ranem znad jeziora Linderman, a szelmy popakowali wszystko, prócz kilku worków mąki i prymitywnego obozowego ekwipunku. Mam też dwa ciężkie płaszcze, które doskonale zastąpią koldrę.

Odwrócił się, jakby nie oczekując żadnej odpowiedzi, i rozwiązywać począł zwój koców, owiniętych w nieprzemakalny brezent. Potem wyciągnął z walizki dwa płaszcze i rzucił do stosu.

— Kabaretowa aktorka zapewne, co?

Pytanie rzucił zupełnie obojętnie, żeby tylko coś powiedzieć. Wiedział z góry, jaka odpowiedź nastąpi. Za to dla Frony pytanie to zabrzmiało jak policzek. Przypomniała sobie filipikę starej Neepoosy przeciwko białym kobietom, przyjeżdżającym do Klondike, i zrozumiała nagle fałszywość swego położenia i sposób, w jaki patrzył na nią ten obcy mężczyzna.

Mówił dalej, zanim zdołała odpowiedzieć.

— Zeszłej nocy miałem tu w gościnie dwie gwiazdy, a poprzedniej nocy aż trzy. Było wtedy trochę więcej pościeli. Dziwnie zręcznie umieją te panie rozmijać się ze swymi tragarzami i z własnym ekwipunkiem — nieprawdaż? Za to nie udało mi się nigdy spotkać samych tragarzy. I wszystkie są gwiazdami, co do jednej. Żadna nie siedzi na małych rólkach, broń Boże. Pani zapewne jest również gwiazdą?

Gorąca krew zalała policzki Frony, co rozgniewało ją jeszcze więcej niż jego słowa. Była pewna, że potrafi panować nad sobą, ów zaś rumieniec mógł świadczyć przeciwnie.

— Nie — odrzekła chłodno — nie jestem w ogóle kabaretową aktorką.

Ułożył kilka worków mąki po jednej stronie pieca, kilka zaś po drugiej. Nie odpowiedział nic.

— W każdym razie jest pani jakimś rodzajem artystki — nastawał skończywszy robotę. Na słowie „artystki” położył wyraźnie wzgardliwy akcent.

— Niestety, nie jestem żadnym rodzajem artystki. Wypuścił z rąk koldrę, którą kładł, i wyprostował się pośpiesznie. Dotychczas obrzucił był nieznaną tylko przelotnym spojrzeniem; za to teraz obejrzał ją starannie od stóp do głowy; nawet krój sukni i sposób czesania. Zajęło mu to dłuższą chwilę.

— O, przepraszam — zabrzmiał wreszcie wyrok, któremu towarzyszyło jeszcze jedno długie spojrzenie. — W takim razie jest pani szaloną kobietą, marzącą o fortunie, a nie widzącą niebezpieczeństw wędrówki po nią. Do tego kraju przyjeżdżają tylko dwa typy kobiet. Żony i córki kopaczy, które szanujemy, oraz wszelkie kabaretowe „gwiazdy”, mianujące się artystkami, czemu my z kurtuazji zdajemy się wierzyć, ale ich nie szanujemy. Tak, tak, kobiety, które jadą tym szlakiem, należeć muszą do jednego z owych dwu typów.

Każda próba stworzenia trzeciego typu musi skończyć się niepowodzeniem. Pani jest bardzo, bardzo nierozsądną dziewczyną. Radzę zawrócić z drogi, dopóki można. Jeżeli pani zechce usłuchać rady obcego, pożyczę pani pieniędzy na powrót do Stanów i dam jutro jednego Indianina, żeby odprowadził panią do Dyea.

Frona dwukrotnie próbowała mu przerwać, ale kategorycznym ruchem ręki poprosił o milczenie.

— Dziękuję panu bardzo — zaczęła wreszcie, ale jej przerwał; — O, nie ma za co, nie ma za co.

— Dziękuję bardzo — powtórzyła — ale wydaje mi się, że... że pan się myli. Właśnie przyszedłem z Dyea i mam zamiar doczekać się tutaj swego ekwipunku. Moi tragarze wyruszyli o kilka godzin przede mną, więc nie rozumiem, jakim sposobem jeszcze ich tu nie ma. Aha! Już wiem! Jakąś łódkę zwiąło na zachodni brzeg jeziora Crater dzisiaj po południu. Musieli jechać tą właśnie łódką Dlatego minęłam ich i wyprzedziłam. Co zaś do mego powrotu, oceniam słuszność poglądów pana, ale ojciec mój mieszka w Dawson i nie widziałam go już od trzech lat. Poza tym, cały dzień dziś wędrowałam z Dyea, jestem zmęczona i chciałabym odpocząć. Jeżeli więc nadal ofiaruje mi pan swą gościnność — idę spać.

— Niepodobieństwo! — kopnął koce na bok, usiadł na workach i zmieszane spojrzenie wbił w dziewczynę.

— Czy... czy w innych namiotach są kobiety? — zagadnęła wahająco Frona. — Co prawda nie zauważyłam żadnej, ale mogłam przeoczyć...

— Był jakiś mężczyzna z żoną, ale dzisiaj rano poszli dalej. Nie, nie ma tu żadnych kobiet, prócz... prócz dwu lub trzech w jednym namiocie, które... które nie nadają się dla pani.

— Pan myśli, że będę się bala przyjąć ich gościnność? — rzuciła porywczo. — Są przecież kobietami wedle własnych pana słów.

— Ale powiedziałem też, że się nie nadają — odrzekł chłodno, patrząc na płótna namiotu, napięte od wichru i nasłuchując ryku burzy. — W taką noc można umrzeć na otwartym polu.

— Inne namioty są przepelnione — ciągnął. — Sam widziałem. Z powodu deszczu wszystkie rzeczy zwalono do wnętrza i ludzie nie mają gdzie się obrócić. Przywędrowało też ze dwunastu obcych, przygnanych przez burzę. Dwu czy trzech pytało, czy może rozłożyć posłanie u mnie, jeżeli gdzie indziej nie będzie miejsca. Widocznie znalazło się miejsce. Nie znaczy to jednak bynajmniej, że jeszcze zostało coś niezajętego. Zresztą...

Przerwał bezradnie. Położenie było bez wyjścia.

— Czy dojdę tej nocy do Głębokiego Jeziora? — zapytała Frona poddając się jego sposobowi patrzenia na sprawę. Lecz nagle opamiętała się i wybuchnęła śmiechem.

— Przecież nie przebrnie pani rzeki po ciemku — zmarszczył się na widok tej wesołości. — A żadnych osiedli po drodze nie ma.

— Czy pan się boi? — zapytała z ledwie dostrzegalnym odcieniem złościwości.

— Nie o siebie.

— A więc, uważam, że mogę iść spać.

— Będę siedział i dokładał dREW do ognia.

— Tam do licha! — krzyknęła. — Jak gdyby to miało ocalić mizerny kodeks towarzyski! Nie jesteśmy pośród cywilizacji. Tu jest droga do bieguna. Proszę iść spać.

Wzruszył ramionami na znak rezygnacji.

— Zgoda. Więc cóż mam robić?

— Pomóc mi ułożyć posłanie, rzecz prosta. Co? Worki ułożone na krzyż? Dziękuję uprzejmie, ale moje kości i mięśnie zaczną się buntować. Ot tak, proszę je ułożyć w ten sposób.

Pod kierunkiem Frony ułożył worki w dwa rzędy w długość. Pośrodku został niewygodny rowek z odstającymi rogami worków, ale dziewczyna natychmiast ubiła je

płasko bokiem siekiery i tak samo wyrównała rowek. Potem zwinęła jeden koc w długi rulon i do reszty wypełniła nim wklęsnięcie.

— Hm! — mrucał sam do siebie. — Teraz widzę, czemu sypiałem tak podle. No, będzie lepiej — i szybko przebudował własne worki.

— Zaraz widać, że pan nieprzyzwyczajony do podróży — poinformowała go, rozkładając ostatni koc i siadając na wierzchu.

— Może i tak — odpowiedział mężczyzna. — Ale co pani wie o życiu na szlaku? — zagderał po chwili.

— W sam raz tyle, ile trzeba — odparła wymijająco, wydostając z pieca suche drzewo i zastępując je mokrym.

— Ależ burza! Słyszysz pani? Robi się coraz gorzej, jeśli już może być gorzej.

Namiot giął się pod parciem wichru, płótna biły głośno przy każdym uderzeniu, deszcz i śnieg grzmiały jak ogień małej potyczki rosnącej w wielką bitwę. W chwilach ciszy słyszeć mogli, jak ruczajki wody spływały wzdłuż płóciennych ścian z szumem maleńkich wodospadów. Mężczyzna sięgnął ciekawie ku górze i dotknął mokrego sufitu. Natychmiast dotknięty punkt trysnął fontanną wody prosto na skrzynię z żywnością.

— Nie wolno tego robić! — zawołała Frona skoczywszy na równe nogi. Dotknęła palcem przemokłego miejsca sufitu i, nacisnąwszy mocno, prowadziła palcem po bocznej ścianie aż do ziemi. Struga wody znikła natychmiast. — Nie wolno nigdy tego robić, uważa pan — powiedziała z wyrzutem.

— Na Jowisza! — odparł. — Pani dzisiaj przywędrowała z Dyea? I jeszcze mięśnie nie zesztyniały?

— O, nawet bardzo — wyznała. — I spać się chce.

— Dobranoc! — zawołała ku niemu w chwilę później wyciągając się wygodnie pod ciepłym kocem. Ale po kwadransie zawołała nagle: — Ach! Byłabym zapomniała! Czy pan już śpi?

— Nie — odpowiedział spoza pieca męski głos. — O co chodzi?

— Przygotował pan łuczywo?

— Łuczywo? — pytał sennie. — Jakie znów łuczywo?

— Na ogień do śniadania, rzecz prosta. Trzeba wstać i narąbać.

Posłuchał bez słowa. Ale zanim skończył robotę, Frona przestała słyszeć jego poruszenia.

Woń smażonego boczku syciła powietrze, kiedy Frona otworzyła oczy. Zaświtał ranek, ustała burza. Mokre słońeczko świeciło wesoło nad zroszoną okolicą i popod

szeroko rozsunięte zasłony namiotów. Rozpoczęła się już krzątanina ludzka. Gromadki objuczonych podróżnych przechodziły obok, Frona przewróciła się z boku na bok. Śniadanie było już gotowe. Gospodarz namiotu wpakować chciał właśnie do pieca boczek i smażone kartofle, wobec czego zajęty był podpieraniem drzwiczek dwoma kawałkami drzewa.

— Dzień dobry — rzuciła powitanie.

— Dzień dobry pani — odpowiedział miękko, wyprostowując się i biorąc wiaderko. — Nie mówię: „mam nadzieję, że pani dobrze spała”, bo widziałem na własne oczy, że tak było.

Frona roześmiała się.

— Idą po wodę — oświadczył. — Przypuszczam, że pani będzie gotowa do śniadania, kiedy wrócę.

Po śniadaniu Frona, grzejąc się na słończku, zauważyła znajomą gromadkę ludzi, wychylającą się spoza zakrętu drogi do jeziora Crater. Klasnęła w dłonie.

— O, idą moi tragarze i z nimi na pewno Del Bishop najzupełniej niezawstydzony tym, że przegapił spotkanie — zwróciła się do mężczyzny, zarzucając sobie na plecy rzemyk aparatu fotograficznego i walizeczki. — Więc pożegnam pana, nie zapominając podziękować uprzejmie za gościnę.

— O, nie ma za co, nie ma za co. Nie warto o tym mówić. Zrobiłbym to samo dla każd...

— Dla każdej kabaretowej aktorki!

Spojrzał z wyrzutem, ale mówił dalej. — Nie znam pani imienia i nawet nie chcę wiedzieć...

— O, ja bynajmniej nie będę taka zawzięta, bo ja doskonale znam pańskie imię, panie Vance Corliss! Tak, tak, kartki okrętowe na skrzyniach, rzecz prosta — dodała. — Chciałabym, żeby pan mnie odwiedził w Dawson. Nazywam się Frona Welse. Do widzenia!

— Pani jest może córką Jakuba Welse'a? — wołał za nią, kiedy biegła lekkim krokiem w dół, ku drodze.

Odwróciła się i skinęła głową.

Del Bishop ani się wstydził, ani nawet martwił.

— Każdy Welse spada zawsze jak kot na cztery nogi — pocieszał się idąc spać poprzedniego wieczoru. Ale gorzki był jak chmiel, wedle jego osobistego słownika.

— Szanowanie — powitał pannę Welse. — Widać po twarzy, że pani spędziła noc wygodnie, chociaż nie dzięki mnie.

— Nie bardzoście się martwili, prawda? — zapytała Frona.

— Martwić? O Welse'a? Kto? Ja? Nigdy w życiu! Byłem zbyt zajęty opowiadaniem jezioru Crater, co o nim myślę. Nie lubię wody. Jużem to pani mówił. I zawsze zrobi mi jakiś podły kawał, chociaż nie boję się, niech. Bóg broni.

— Ej ty, Pete! — huknął na Indian. — Dalej! Musimy odwalić jezioro Linderman do południa.

— Frona Welse? — powtarzał sam sobie Vance Corliss.

Cała przygoda wydawała, się snem, obejrzał się więc dla pewności i odnalazł spojrzeniem oddalającą się postać. Del Bishop wraz z tragarzami skrył się już za skalną ścianą. Frona właśnie podeszła do zakrętu. Słońce oświecało jej sylwetkę, zarysowaną promiennie na tle cienia wysokich przeciwległych skał. Skinęła w stronę Corlissa. Zerwał czapkę. Dziewczyna znikła za zakrętem.

ROZDZIAŁ V

Stanowisko Jakuba Welse'a było niewątpliwie wyjątkowe. Był wielkim kupcem w kraju pozbawionym handlu, dojrzałym wytworem dziewiętnastego wieku, owocującym w społeczeństwie tak pierwotnym, jak gromady nadśródziemnomorskich — ongiś — barbarzyńców. Był wodzem przemysłu, choć wspaniale monopolizować umiał jego gałęzie, opanować potrafił najbardziej niezależny i niesforny zlepek ludzi, przybyłych ze wszystkich krańców ziemi: Apostoł rozwoju ekonomicznego — święty Paweł przemysłu — głosił wiarę celowości i siły. Uznając naturalne prawa człowieka i sam będąc dzieckiem demokracji, ugiął jednak wszystkich pod władzę swego absolutyzmu. Rządy Jakuba Welse'a dla Jakuba Welse'a i narodu przez Jakuba Welse'a — oto było jego niepisane hasło. Dziesięcioma własnymi palcami rozszerzał dziedzinę swego władztwa, aż zagarnął przestrzeń dobrych kilku prowincyj rzymskich. Stosownie do jego „ukazów” ludność cofała się i napływała poprzez setki tysięcy mil, osiedla wytryskały z ziemi lub ginęły marnie na jedno jego skinienie.

A jednak był zwykłym człowiekiem. Po raz pierwszy płuca jego wciągnęły powietrze świata na rozległej prerii nad La Platą. Błękitne niebo jaśniało nad głową, zielona trawa ziemi kłuła delikatną nagość. Oczy otwały się wprost na konie, osiodłane i spoglądające z łagodnym zdziwieniem na cud, który zaszedł. Albowiem ojciec Jakuba Welse'a — traper — zjechał był właśnie nieco z drogi, żeby dać żonie krzywą spokoju i umożliwić urodzenie dziecka. Po godzinie czy dwóch ci dwoje, którzy tymczasem stali się trojgiem, siedzieli już mocno w siodłach i dopędzali gromadkę traperów-towarzyszy. Wyprawa nie została odłożona, nie stracono czasu. Rano matka Jakuba Welse'a uwarzyła śniadanie przy ognisku, po czym uwieńczyła to raidem pięćdziesięciomilowym aż do zachodu słońca.

Ojciec traper pochodził z tęgiego walijskiego rodu, który przywędrował do pustego jeszcze Ohio z tłoczego Wschodu. Matka była koczowniczą córą emigrantów irlandzkich, osiadłych w Ontario. Z obu rodów pochodziła „Wanderlust”, grająca we krwi, gorączka ruchu, pragnie nie docierania do samego brzegu, do samego krańca rzeczy. W

pierwszych latach życia, niepewny jeszcze na własnych nogach, Jakub Welse przemierzył konno tysiące mil dzikiego stepu i zimował w szałasie myśliwskim u źródeł Czerwonej Rzeki Północy.

Jego pierwszym obuwiem były mokasyny, pierwszym przysmakiem — tłuszcz jeleni. Pierwsze poglądy stwierdziły, że świat składa się z wielkich pustych przestrzeni i białych równin, zamieszkałych przez Indian oraz białych jak ojciec myśliwców. Miastem była gromada szałasów z Jeleniej skóry; placówka handlowa — ośrodkiem cywilizacji, zaś jej kierownik — zwany „faktorem” — był Wszechmogącym Bogiem we własnej osobie. Rzeki i jeziora istniały głównie dla pożytku podróżnych. Z tego punktu widzenia góry były zjawiskiem zastanawiającym, zaklasyfikował je przecież szybko do rzeczy Niewytłumaczalnych i nie martwił się nimi więcej. Ludzie umierali niekiedy. Ale mięso ich nie nadawało się do jedzenia, skóry nie posiadały wartości, dlatego zapewne, że nie obrastały sierścią. Cenne były za to futra i za kilka zwojów ciepłych skór można było zakupić świat. Zwierzęta stworzone są po to, żeby człowiek miał na co polować. Nie wiedział tylko, po co stworzeni zostali ludzie. Chyba może dla faktora.

W miarę dorastania Jakub Welse modyfikował swoje koncepcje, lecz jego proces myślowy pozostał zawsze nieprzebrany źródłem zdumienia i naiwnych stwierdzeń. Dopiero gdy jako dorosły człowiek przejechał przez większość, miast Stanów Zjednoczonych, znikło dziecinne zdumienie i oczy stały się w całej pełni ostre i bystre. Podczas pierwszego, chłopięcego zetknięcia z miastem Jakub zaniechał swoich dawnych uogólnień, ale za to stworzył sobie nowe. Ludność miast była zniewieściała. Nie mieli czemuś kompasu we własnej głowie i błędzili łatwo. Dlatego właśnie woleli pozostawać w miastach. Bali się chłodu, lękali ciemności — spać więc musieli pod dachem i na noc zaryglowywać drzwi. Kobiety były delikatne i piękne, ale niewysoko unieść mogły nartę w całodziennej podróży. Wszyscy mówili zbyt wiele. Dlatego właśnie kłamali i dlatego niewiele pracy dokonać mogli rękami. Poza tym w miastach istniała jeszcze jedna siła ludzka, zwana „bluff”. Człowiek, który popełnia „bluff”, musi być albo śmiertelnie pewny siebie, albo kuty na wszystkie cztery nogi. „Bluff” jest doskonałą rzeczą, o ile użyć go dyskretnie.

Z czasem, chociaż Jakub Welse żył przeważnie w lasach i górach, doszedł jednak do wniosku, że miasta nie są wynalazkiem pogardy godnym, że człowiek może żyć w mieście, a przecież pozostać człowiekiem. Przywykłego do walki z siłami natury nęciła walka ekonomiczna z siłami społecznymi. Potęga władców giełd i banków olśniewała go, lecz nie oślepiła. Badał i próbował zawładnąć źródłami ich siły. Z czasem stwierdziwszy, iż

wiele dobra przyszło dla świata z Nazaretu, pojął za żonę kobietę z miasta. Wciąż jednak tęsknił za krańcem ziemi i ferment tętnił we krwi, aż kazał Jakubowi powędrować nad daleką zatokę Dyea i na wysokim brzegu na krańcu puszczy zbudować z tęgich bierwion jodłowych pierwszy posterunek handlowy. Tu z biegiem czasu zdobył własny punkt widzenia i uogólnił sobie zjawiska społeczne w równie prosty sposób, jak ongiś zjawiska natury. Nie istniało nic w jednej z tych dziedzin, co by się dało wyrazić w kategoriach drugiej. Obie podlegały tym samym zasadom, Obie wcielały te same prawdy: współzawodnictwo jest tajemnicą świata. Walka — prawem i drogą postępu. Ziemia stworzona jest dla silnego i tylko silny dziedziczy ziemię — oto wieczna sprawiedliwość. Być uczciwym — znaczy być silnym. Zgrzeszyć — to słabnąć. Oszukać uczciwego — to być nieuczciwym. Oszukać oszusta — to stać się mieczem sprawiedliwości. Pierwotna siła leży w pięści Siła współczesna — w mózgu. Stara walka pozostała tą samą walką, chociaż zmieniły się teren i broń. Jak ongiś, tak dzisiaj człowiek walczy o władzę nad ziemią i o rozkosze ziemi.

Jeno miecz ustąpił miejsca księdze rachunkowej, zbrojny rycerz — wykwintemu magnatowi przemysłu, ośrodek władzy przeniósł się do gmachu giełdy. Wola współczesna zniweczyła dawną pięść. Upartą ziemię pokonywa tylko siła. Mózg przewyższył ciało. Człowiek posiadający mózg łatwiej zwyciężał niż ten, który walczył pięścią.

Jakub Welse nie posiadał dużego wykształcenia w zwykłym znaczeniu tego słowa. Do alfabetu, którego nauczyła go matka przy świeczce i przy ognisku, dodał sporo wiedzy z przypadkowo przeczytanych książek. Nie obciążało go jednak zbytnio to, co uzbierał. Fakty czytać umiał bez błędu w księdze życia. Posiadł trzeźwość idącą od ziemi i jasny wzrok syna natury.

Pewnego dnia wiosennego Jakub Welse przeszedł przełęcz Chilcoot i zniknął w olbrzymim Nieznanym. W rok później wynurzył się w okolicy Misyj rosyjskich, zgromadzonych przy ujściu Yukonu do Morza Beringa. Płynął był w dół rzeki, mającej trzy tysiące mil długości, widział wiele, wyśnił wielki sen i powziął potężny plan. Ale język trzymał za zębami i w milczeniu stanął do roboty. Aż dnia pewnego zuchwały gwizd oszalałego stateczka parowego o wielkim kole na rufie powitał północne słońce ponad chmurnym nurtem rzeki koło Fortu Yukonu. Było to wspaniałe dokonanie, olśniewająco udana przygoda. W jaki sposób stała się ciałem, rzec mógłby tylko Jakub Welse. Lecz ten, zacząwszy od dokonania niepodobieństwa, czynił je nadal, dodając parowiec do parowca i przedsięwzięcie do przedsięwzięcia. Wzdłuż mnogich tysięcy mil rzeki i jej dopływów budował placówki handlowe i składy towarów. Włożył topór białego człowieka w ręce

tubylców i odtąd w każdej wiosce i pomiędzy wioskami rosły sągi czterostopowych drzew dla jego kotłów. Na jednej z wysp Morza Beringa urządził wielką stację rozdzielczą, zaś po Północnym Pacyfiku puścił kilka wielkich parowców oceanicznych. W biurach swych w Seattle i San Francisco zatrudniał dziesiątki urzędników nad księgami handlowymi swoich spraw i interesów.

Ludzie napływać poczęli w głąb kraju. Dotychczas wyganiał ich głód, ale teraz istniał przecie Jakub Welse i jego składy żywności; zimowali więc pośród śniegów i z przemarzłych grud ziemi wyszarpywali skarb złota. Jakub Welse dodawał im odwagi, zaopatrywał w żywność, ratował kredytem. Jego parowce wiozły ich w górę Koyukuk w dawne dni sławy Arctic City. Gdzie tylko ogradzano złote działki, Jakub Welse budował skład towarów i sklepik spożywczy, w ślad za nim nadchodziło miasto. Welse odkrywał; Welse handlował; Welse rozwijał. Nieznużony, niepokonany, z błyskiem stali w ciemnych oczach był wszędzie jednocześnie i wszystko robił. Był zawsze obecny przy pierwszym kopaniu nad nową rzeczką i pierwszy też krzątał się pomiędzy maruderami, rozwożąc żywność. W Stanach walczył ze spółkami handlowymi, łączył się z towarzystwami kolonizacyjnymi, zmuszał spółki transportowe do obniżania taryf. Na Alasce sprzedawał mąkę, koce, tytoń; budował tartaki, wybierał miejsca pod osady, szukał rudy żelaza, żył miedzi i pokładów węgla; żeby zaś górnicy zaopatrzeni byli dobrze, skupywał futra, mokasyny, parka i narty po wszystkich krajach podbiegunowych i nawet w Syberii.

Nióśł kraj na własnych plecach; dbał o jego potrzeby; robił jego robotę. Każde ziarnko wydobytego złotego piasku przepływało przez pałce Jakuba Welse'a; każdy weksel i każdy czek. On był giełdą i bankiem, on otrzymywał i rozwoził pocztę. Chmurzył się groźnie na widok prób konkurencji, wypędzał chciwych kapitalistów; podstawiał nogę wojowniczym syndykatom, a jeśli to nie pomagało, siadał im na kark i łamał. Lecz pomimo wszystko, pamiętał jeszcze o swojej dziewczynce, którą odumarła matka. Pamiętał, kochał, hołubił i przygotowywał do żyda na takim stanowisku, jakie dla niej stworzył.

ROZDZIAŁ VI

— Przypuszczam więc, że zgodzi się pan z tym, kapitanie, iż powinniśmy wyolbrzymić powagę położenia. — Jakub Welse pomógł swemu gościowi narzucić płaszcz futrzany i mówił dalej. — Nie dlatego, że już nie jest poważne, lecz dlatego, żeby nie stało się jeszcze poważniejsze. My obaj mieliśmy nieraz do czynienia z głodem. Musimy przestraszyć ludzi i przestraszyć natychmiast, zanim jeszcze nie jest późno. Jeśli pięć tysięcy ludzi wyjedzie z Dawson, dla reszty starczy żywności. Jeśli owe pięć tysięcy zanoszą wieść o głodzie do Dyea i Skaguay, przeszkodzą przyjazdowi dalszych pięciu tysięcy po zamrożeniu rzeki.

— Zupełnie słusznie. Może pan liczyć na oddaną współpracę policji, panie Welse. — Mówiący te słowa, szpakowaty mężczyzna o energicznej twarzy, ciężkiej budowie i wojskowej postawie podniósł kołnierz futrzany i oparł rękę na klamce. — Widzę już, że dzięki panu nowoprzybyli zaczynają wyprzedawać ekwipunek i kupować psy. Boże! Cóż to będzie za ścisk na lodzie, jak tylko stanie rzeka. I każdy, kto sprzeda tysiąc funtów żywności i wyjedzie, zmniejsza nasze kłopoty o jeden pusty żołądek i napelnia drugi, który pozostaje. Kiedy odchodzi „Laura”?

— Dzisiaj rano, wioząc trzystu głodnych ludzi! Wielka szkoda, że nie trzy tysiące!

— Racja. Ale, ale, kiedy przyjeżdża pańska córka?

— Lada dzień. — Oczy Jakuba Welse'a pocieplały. — Kiedy przyjedzie, zaproszę na obiad pana i pańskich młodych oficerów. Nie znam nazwisk ich wszystkich, ale wyręczy mnie pan w zaproszeniu każdego osobiście. Nie dbałem dotychczas o życie towarzyskie — brak czasu, ale muszę się postarać, żeby się dziewczyna zbytnio nie nudziła. Wraca ze Stanów i z Londynu. Pan rozumie.

Jakub Welse zamknął drzwi, przysunął fotel do pieca i oparł nogi o siatkę drzwiczek, ochraniającą ogień. Przez chwilę obraz dziewczyny zakółysał się w drgającym od ciepła powietrzu, po czym rozplynał się w wizję kobiety o jasnolicym typie saksońskim.

Ktoś otworzył drzwi. — Pan Forster kazał mi zapytać, czy nadal ma wydawać towar na dawniej podpisane kwity?

— Naturalnie, panie Smith. Tylko proszę mu powiedzieć, żeby ilość zmniejszał do połowy. Jeśli ktoś ma kwit na tysiąc funtów, wydać mu pięćset.

Zapalił cygaro i znowu wparł się w głęboki fotel.

— Kapitan Mc Gregor pragnie widzieć pana, panie dyrektorze.

— Niech wejdzie.

Kapitan Mc Gregor wszedł i stał wyprostowany przed swoim chlebodawcą. Surowa ręka Północy gnębiła tego Szkota od wczesnego dzieciństwa; lecz niezachwiana uczciwość wryta była na tej cierpkiej twarzy, zaś wojownicza szczęka wyraźnie ostrzegała, że uczciwość jest najlepszą polityką dla tego, kto chce mieć do czynienia z właścicielem potężnej szczęki. Ostrzeżenie to popierał również nos, złamany i krzywy, oraz długa szrama, biegnąca wzdłuż czoła aż po siwiejące włosy.

— Za godzinę podnosimy kotwicę, panie dyrektorze. Przyszedłem po ostatnie rozkazy.

— Dobrze. — Jakub Welse gwałtownym ruchem przekręcił fotel w stronę rozmówcy.

— Kapitanie Mc Gregor!

— Tak jest.

— Miałem przygotowaną dla pana inną robotę na tę zimę; ale zmieniłem zamiar i chcę, żeby pan wyruszył na "Laurze". Domyśla się pan dlaczego?

Kapitan Mc Gregor przerzucił ciężar swego ciała z jednej nogi na drugą i lekkie drgnienie uśmiechu zmarszczyło kąciki jego oczu. — Będzie kasza — mruknął.

— Tak, nie mogłem wobec tego wybrać lepszego człowieka. Pan Bally da panu szczegółowe instrukcje już na pokładzie. Ale powiem panu tylko tyle: jeżeli nie uda nam się wystraszyć stąd dostatecznej ilości ludzi, w Fortcie Yukonu trzeba będzie również liczyć się z każdym funtem żywności. Zrozumiane?

— Tak jest.

— Więc uwaga! Zabiera pan teraz trzystu ludzi. Istnieje prawdopodobieństwo, że po zamarnięciu rzeki wyruszy stąd do pana jeszcze dwa razy tyle. Będzie pan miał z tysiąc ludzi do karmienia przez zimę. Wydziel im pan porcje — robotnicze porządne — i pilnuj, żeby pracowali. Niech rąbią drzewo w sagi, zapłacę po sześć dolarów od sága, i niech układają na brzegu, gdzie statki mogą przybić. Kto nie chce pracować, nie będzie jadł. Zrozumiane?

— Tak jest.

— Tysiąc ludzi próżnujących to niebezpieczna rzecz. Ale nawet pracujący mogą się zbuntować. Jeżeli tak — pan spełni swój obowiązek, kapitanie.

Słuchający chmurnie skinął głową. Pięści zacisnęły mu się mimo woli, blizna na czole poczerwieniała,

— Pięć statków prezimuje na rzece. Pan je zabezpieczy przed wiosennym ruszeniem lodów. Przedtem wszystkie ich ładunki złoży pan do jednej wielkiej spiżarni. Łatwiej będzie bronić i łatwiej zabezpieczyć przed wodą. Pośle pan posłańca do Fortu Burt, żeby Carter dał panu ze trzech swoich ludzi. Tam nie są potrzebni. W Circle City też nie robi się nic wielkiego. Zatrzyma się pan tam po drodze i weźmie połowę ludzi Burdwella. Przydadzą się panu dobrzy strzelcy. Trzymać się ostro. Od samego początku wszystko wziąć w garść. Pamiętaj pan, kto chce mieć całą skórę, musi zacząć strzelać pierwszy. Żywności nie spuszczać z oka!

— I karabinów — mruknął kapitan Mc Gregor, zamykając za sobą drzwi.

— John Melton, pan Melton, panie dyrektorze. Czy może wejść?

— Słuchaj no, Welse! Co to ma znaczyć? — John Melton pełen wściekłości wpadł tuż za urzędnikiem, wjechał nieomal na jego głowie i podsuwał jakiś papier przed dyrektorskie oczy. — Czytaj! Co tu stoi?

Jakub Welse rzucił okiem na papier, po czym chłodno spojrzał na interesanta: — „Tysiąc funtów żywności”.

— Właśnie to twierdzą, ale ten jegomość w składzie powiada, że to tylko kwit na pięćset funtów.

— Mówi prawdę.

— Ależ...

— Napisane jest tysiąc funtów, ale dla składu jest to tylko kwit na pięćset.

— Czy to twój podpis? — Melton pakował kartkę przed oczy tamtego.

— Tak.

— Więc cóż z tym zrobisz?

— Wydam ci pięćset funtów. Cóż z tym zrobisz?

— Nie przyjmę.

— Doskonale. Nie ma więc o czym mówić.

— Jest o czym mówić. Nie chcę mieć do czynienia z taką firmą. Jestem dość bogaty, żeby kazać przenieść swoje własne zapasy przez przełęcz. Na przyszły rok bezwarunkowo tak zrobię. Nasze interesy kończą się od tej chwili na zawsze.

— Nie wypada mi protestować. W depozycie masz u mnie piasku na trzysta tysięcy dolarów. Idź do pana Atshelera i każ sobie zaraz wydać gotówkę.

Gość miotał się bezsilnie. — Czyż doprawdy nie mogę dostać tamtych pięciuset funtów? Na Boga, człowieku! Zapłaciłem za nie. Czy chcesz, żebym przymierał głodem?

— Posłuchaj, Melton. — Jakub Welse przestał otrząsać popiół z cygara. — O co walczysz w tej chwili? Czego chcesz?

— Tysiąca funtów żywności!

— Dla własnego żołądka? Król na Bonanzie kiwnął głową.

— Otóż to. — Zmarszczki na czole Jakuba Welse'a pogłębiły się nagle. — Ty walczysz o własny żołądek, a ja o dwadzieścia tysięcy żołądków.

— Ale Tim Mc Ready dostał wczoraj pełne tysiąc funtów.

— Dopiero dzisiaj zdecydowane zostało obcinanie obstalunków do połowy.

— Czemuż właśnie mnie to spada na łeb?

— Czemuż nie przyszedłeś wczoraj, a Tim Mc Ready dzisiaj?

Melton spochmurniał, zaś Jakub Welse, wzruszywszy ramionami, odpowiadał sam na własne pytania.

— Tak, Melton. Żadnych wyjątków. Jeśli ty czynisz mnie odpowiedzialnym za tysiąc funtów Tima, to ja oskarżę cię o to, żeś nie przyszedł wczoraj. Lepiej obaj oskarżmy Los. Przebyłeś głodówkę w Czterdziestej Mili. Jesteś białym człowiekiem. Działka na Bonanzie albo nawet szereg działek na Bonanzie nie daje ci w tym wypadku żadnych większych praw, niż posiada jakiś stary wyga bez grosza albo zielony nowicjusz. Wierzaj mi. Dopóki będę miał chociaż funt żywności, nie umrzesz z głodu. Uszy do góry, Daj łapę. Uśmiech na twarz i wszystko będzie dobrze.

Wciąż jeszcze gniewny, ale już znacznie spokojniejszy, król na Bonanzie podał rękę i wyszedł z pokoju. Zanim drzwi zdążyły się zamknąć, wpadł rozhukany Yankee, nogą w mokasynie przyciągnął krzesło, kopnął je pod siebie i usiadł. — Słuchaj — zaczął poufale — podobno coś z żarciem kiepsko, ludziska opowiadają.

— Hallo, Dave! To ty?

— Ano niby. Powiadam właśnie, że jak rzeka stanie, chłopcy posypią się stąd precz jak mrówki.

— Tak myślisz?

— Uhm.

— Bardzo rad jestem to usłyszeć. Tego właśnie wymaga dobro kraju. Ty też wyruszysz?

— Nigdy w życiu. — Dave Harney odrzucił hardo głowę. — Wczoraj posłałem zapas żywności na swoją działkę. Nie było już ani chwili do stracenia. Ale, ale, posłuchaj... Z cukrem zdarzyła się bieda. Miałem cały cukier na ostatnich saniach i właśnie tam, gdzie się zawraca z Klondike na Bonanzę — sanie wpadły pod lód. Nie zostało ani ziarnka — ostatnie były sanie i calutkie pod lód!

Więc pomyślałem sobie, że wpadnę do ciebie i chwycę choćby ze sto funcików albo więcej. Białego albo żółtego. Nie jestem wybredny.

Jakub Welse z uśmiechem potrząsnął głową, ale Harney jeszcze bliżej przysunął krzeselko.

— Urzędnik powiedział, że sam nie może wydać, więc żeby go nie narażać na wymyślanie, powiedziałem, że zajdę tu do ciebie i spytam. Niech już będzie równe sto. Nie będę się targował o cenę.

— Słuchaj — ciągnął skwapliwie, zauważywszy zdecydowanie przeczący ruch głowy Welse'a. — Wiesz, jaki jestem łasy na wszelkie słodkości. Pamiętasz, jakie karmelki smażyłem swego czasu nad potokiem Preacher? Ho, ho! Jak czas leci! Równe sześć lat! A może więcej? Tak, tek, ze siedem. Powiadam ci, łatwiej się obejść bez tytoniu niż bez cukru. Jakże będzie z tym cukrem? Moje psy czekają. Można zajechać przed skład i wziąć? Co? Doskonała myśl? Prawda?

Dostrzegł „nie”, kształtujące się na wargach Welse'a i gadał dalej, nie dając przyjść tamtemu do słowa.

— Ale nie chcę ci dokuczać, nie chcę za nic w świecie. Jeżeli krucho z cukrem, zadowolę się siedemdziesięcioma pięcioma funtami (przyjrzał się twarzy Welse'a), nawet pięćdziesięcioma. Rozumiem twoje położenie, nie jestem tak podły, żeby je wyzyskiwać.

— Czy warto marnować tyle słów, Dave? Nie mamy nawet jednego zbytecznego funta cukru.

— Mówiłem już, że nie chcę dokuczać, jakoś się obejść dwudziestoma pięcioma przez wzgląd na ciebie, Welse.

— Ani nawet jednej uncji!

— Ani nawet najmniejszej szczypty? No, no, nie chcę dokuczać. Wpadnę drugim razem, jak będziesz w lepszym humorze. — Bardzo przepraszam, żem się ośmielił. Ale! Co to? — przekrzywił szczękę i nastawił ucha nasłuchując — Gwizdek „Laury”. Wkrótce odchodzi! Może byśmy ją pożegnali? Chcesz pójść?

Jakub Welse włożył niedźwiedzie futro i rękawice. Przeszli obaj przez biuro i znaleźli się w głównym sklepie. Był tak wielki, że stu kupujących nie robiło tłoku przed ladą.

Niektórzy klienci mieli poważne miny i spoglądali chmurnie na przechodzącego Welse'a. Subiekci sprzedawali wszystko, prócz żywności, a właśnie żywności domagano się wokół. „Czekają, aż ceny skoczą! Głodowe ceny” — warknął jakiś kopacz o rudych bokobrodach. Jakub Welse usłyszał, ale nie zwrócił uwagi. Wiedział, że usłyszy to jeszcze nieraz i coraz ostrzej, zanim kryzys minie.

Wyszedłszy na chodnik, przystanął, żeby rzucić okiem na ogłoszenia, rozlepione na murze. Psy zgubione, psy znalezione i psy do sprzedania zajmowały sporo miejsca. Poza tym ogłaszano sprzedaż ekwipunków. Widocznie ludzie z zaniepokojonych stawali się przerażeni. Pięciuset funtowe zapasy ofiarowywano po dolarze za funt, bez mąki. Za mąkę doliczano jeszcze po pół dolara na każdym funcie. Jakub Welse dostrzegł, że Melton rozmawia z jakimś zalęknionym żółtodziobem i wyraz satysfakcji rozlany na obliczu króla Bonanzy upewnił Welse'a, że tamtemu udało się napełnić swą spizarnię na zimę.

— Czemu nie wywąchujesz cukru, Dave? — zagadnął, wskazując na ogłoszenia.

Dave Harney spojrzał z wyrzutem. — Czyż przypuszczasz, że nie próbowałem wywąchiwać? Wyflukłem z psów ostatni dech, jeżdżąc ciągle pomiędzy Szpitalem a Klondike City. Za żadne skarby nie można dostać.

Szli chodnikiem, mijając drzwi składu i długie szeregi zaprzężonych psów, na wilczą modłę zwiniętych w śniegu. Na ten to właśnie śnieg, pierwszy stały śnieg się u wiosła, rzecz można, z nas zaś niejeden nie widział łódki w dzieciństwie.

— Czemuż tak jest? — zagadnął Corliss.

— Nie wiem czemu. Wiem tylko, że tak jest. Po prostu daję świadectwo prawdzie. Wiem, że my robimy to, czego oni nie zrobią w ogóle, to zaś, co oni robić umieją, my robimy lepiej.

Frona triumfalnie pokiwała głową w stronę Corlissa.

— Niech no pan uzna swoją klęskę i chodźmy na obiad. Klęskę na dzień dzisiejszy w każdym razie. Fakty konkretne: rzemienie tragarzy i wiosła zawodników zwyciężyły pańskie dogmaty. Byłam tego pewna. Czas pokaże, powiada pan? O, nie boję się całego czasu aż do końca świata. Chodźmy lepiej na obiad. Zobaczymy, co myśli na ten temat mój ojciec oraz pan Kellar. Będzie prawdziwy sympozjon anglo-saskiej wyższości!

Mróz działa na system nerwowy. Klimat Północy daje krwi ostrość i szybkość tętna, nieznaną w krajach Południa. Toteż przyjaźń Frony z Corlissem rosła w niemałym tempie. Spotykali się często w domu pana Welse'a, nierzadko też chodzili razem tu i ówdzie. Oboje znajdowali ogromną przyjemność we wzajemnym towarzystwie, przyjemność,

której nie niweczyła bynajmniej częsta niezgodność poglądów. Frona lubiła tego mężczyznę, ponieważ był mężczyzną. W najdzikszych nawet marzeniach nie wyobrażała sobie nigdy, że mogłaby poczuć głębszą sympatię do mężczyzny, choćby najwyższego duchowo, lecz nie posiadającego fizycznych zalet męskich. Lubiła patrzeć na silnych mężczyzn swojej rasy, o ciałach stworzonych istotnie na obraz i podobieństwo Boga, o mięśniach nabrzmiewających obietnicą pracy i czynów. Mężczyzna był dla niej przede wszystkim bojownikiem.

Wierzyła w dobór naturalny i w dobór płci, nie wątpiąc, iż te cechy, które mężczyzna drogą swego doboru osiąga, są dlań nieodzowne i pożyteczne. To samo przekonanie dotyczyło instynktów. Jeżeli czuła się pociągniętą ku komuś lub czemuś, działało się to widocznie dla jej dobra. Jeżeli czuła, że zachwyca się pięknym a silnym kształtem ludzkim — czemuż miałaby się opierać temu zachwytowi? Czemuż nie miałaby kochać ciała? Po prostu, bez wstydu. Historia ras, wszystkich ras potwierdzała jej smak. Zawsze i wszędzie słabi i zniewieściali samcy ginęli z powierzchni ziemi i tylko silni dziedziczyli jej dobra. Fronę zrodził silny — silnego tylko pokochać mogła.

Nie była bynajmniej ślepa i głucha na zalety duszy. Dusza jednak również musiała być silna. Żadnych wahań, niepewnych prób, drżących oczekiwań, nędznych skomleń. Umysł i serce powinny być równie zdecydowane i niezawodne jak ciało. Dusza nie jest stworzona wyłącznie do marzeń. Powinna walczyć i pracować tak jak ciało. Musi mieć swoje dni pracy, prócz dni odpoczynku. Frona potrafiła zrozumieć słabego człowieka, którego dusza nuci słodką a nawet wielką pieśń, mogłaby nawet kochać ową słodycz i jej wielkość. Pełną miłość jednakże dać mogła tylko człowiekowi silnemu. Wierzyła, że ma słuszność. Oddawała sprawiedliwość zarówno duszy jak ciału. Ponad sprawiedliwością jednak i poza nią posiadała swój własny wybór, swój własny ideał. Lubiła widzieć silną duszę w silnym ciele. Mieszanina proroka z cherlakiem nie wydawała jej się ponętna. Wspaniały dzikus i drząconogi poeta! Jednego wielbić by mogła za piękno mięśni, drugiego za piękno wierszy. Wolałaby mimo to, żeby stanowili jedność.

Wróćmy do Corlissa. Pierwszą i decydującą była owa wrażliwość fizyczna, dzięki której dotknięcie ręki Corlissa sprawiało Fronie przyjemność. Chociaż bowiem nawet rozumieją się dusze, jeśli ciało nie lubi ciała, szczęście jest budowane na piasku, chwiejne i niepewne. Poza tym Corliss posiadał potęgę cielesną bohatera bez brutalności cielesnej zwierzęcia. Rozwój jego mięśni był raczej jakościowy niż ilościowy, taki zaś właśnie rozwój daje prawdziwe piękno kształtu: Olbrzym nie zawsze posiada idealne proporcje.

Wreszcie — bardzo to ważne, a przecież nie najważniejsze — Corliss nie był zgnuśniony, ani zwyrodniały umysłowo. Czarował ją jako świeżość, zdrowie i siła wybujała ponad ziemię, a przecież ziemią nie gardząca. Rzecz prosta, że Frona odczuwała to wszystko nieświadomie, a raczej podświadomie. Wnioskami były uczucia, nie myśli.

Pomimo to, iż spierali się na mnóstwo tematów, gdzieś poza owymi tematami istniała niezmacona zgoda. Dziewczyna lubiła Corlissa za pewną swoistą surową trzeźwość i wykwinną iskierkę humoru. Lubiała go za rycerskość, nie narzuconą, lecz istotną, godną pełnego zaufania. Lubiała to, co spowodowało propozycję, uczynioną jej ongiś w Szczęśliwym Obozie: dania pieniędzy na drogę powrotną i Indianina jako eskortę. Umiał czynić równie dobrze, jak mówić. Lubiała jego światopogląd, jego wolnomyślność wrodzoną, której istnienie przeczuwała, choć nieraz przeczyły temu słowa. Lubiała go za jego umysł. Chociaż nieco akademicki, trochę zabarwiony staroświecką scholastyką — był to jednak umysł dający prawo do nazwy inteligenta. Corliss umiał rozdzielić wzruszenie od rozsądku. Uważał jednak, że zawsze będzie miał rację ten, kto weźmie pod uwagę wszystkie czynniki. To właśnie wydawało się Fronie brakiem polotu, ciasnotą umysłu, tak sprzeczną z istotną rozległością jego duszy. Wiedziała jednak, że nie jest to wada nieuleczalna; nowe życie, które Corliss pędzi obecnie, wyrwie niewątpliwie wpływ dodatni. Kulturę posiadał, brakowało mu tylko zetknięcia z faktami życia.

Frona lubiła jeszcze Corlissa dla niego samego, co jest rzeczą zupełnie różną niż lubienie poszczególnych cech składających się na człowieka. Albowiem dwie cechy dodane razem dadzą nie tylko ich sumę, ale jeszcze coś trzeciego, nie zawartego w żadnym ze składników. Tak było z Corlissem. Frona lubiła go dla niego samego, za owo coś, co nie dało się wydzielić jako część ani jako suma części, za owo coś, co jest kamieniem węgielnym wszystkich wier i co pobije zawsze zarówno filozofię, jak naukę. Zresztą lubienie to bynajmniej nie oznaczało kochania.

Co do Corlissa to przede wszystkim pociągała go ku dziewczynie ostra chęć powrotu do matki-ziemi. Żywioty były mu tak bliskie, iż żadna kobieta przerafinowana nie znalazła nigdy sympatii w jego oczach. Spotykał je nieraz, żadnej jednak nie dał nigdy silniejszego tężna serca. Chociaż rosło w nim coraz bardziej instynktowne poczucie jakiegoś braku, jakiejś potrzeby dopełnienia siebie — co zawsze poprzedza miłość kobiety i mężczyzny — to jednak żadna ze spotkanych kobiet nie wzbudziła w nim niewątpliwego przekonania, że ona właśnie mogłaby pustkę ową wypełnić. Powinowactwo duszy, powinowactwo płci, to wreszcie, co jest samą niewyraźną treścią miłości, nie zarysowało się ani razu. Z chwilą

spotkania Frony wybuchło od razu, gwałtownie, w całej pełni. Nie zrozumiał jednak sam siebie. Wziął to raczej za pociąg ku czemuś nowemu, jeszcze nie zaznanemu.

Wielu mężczyzn inteligentnych z pochodzenia i wychowania zna owo pragnienie powrotu do ziemi, do pierwotności. Żenią się wtedy z dziewczętami wiejskimi albo posługaczkami z szynków, pozornie zadając kłam zarówno swemu zdrowiu moralnemu, jak zasadom. Niejeden oprze się temu impulsowi, zdradzi głos wewnętrzny zapominając, że natura dąży zawsze kosztem osobnika do dobra gatunku. W każdym wypadku owego powrotu do natury — zew dawał się słyszeć, dzieliły jeno warunki czasu i przestrzeni, toteż czysto techniczna bliskość decydowała, czy wybranką ma być wiejska dziewczyna, czy posługaczka z szynku.

Corlissowi, na szczęście, sprzyjały zarówno czas jak przestrzeń. We Fronie znalazł kulturę, bez której nie mógłby się obejść, połączoną z czystą, ostrą wonią ziemi, do której tak tęsknił. W dziedzinie wykształcenia i kultury była zjawiskiem zdumiewającym. Corliss widywał już młode kobiety wypolerowane okruchami wiedzy, Frona posiadała jednak coś więcej niż blask powierzchowny. Potrafiła nadać nowe życie starym faktom, tłumaczyć sobie zjawiska znane w sposób własny, nowy, pełen uniesienia, choć logiczny. Konserwatyzm Corlissa nieraz co prawda wołał na alarm, sam Corliss jednak nie mógł oprzeć się czarowi tych rozumowań, w których zdobycze szkolne tak uroczo rumienił entuzjazm. Nie mogąc zgodzić się z wieloma rzeczami, których uparcie broniła Frona, przyznawał jednak, że pasja szczerości i uniesienia jest zawsze rzeczą dobrą.

Główną jednak wadą Frony była, zdaniem Corlissa, jej doskonała pogarda dla wszelkich konwenansów. Pojęcie kobiety jako takiej uważał Corliss za coś tak nieskończenie świętego, iż nie mógł znieść, żeby żywa, czysta kobieta próbowała zbliżyć się do niezbyt bezpiecznych ścieżek. Jeżeli próbuje, przekraczając granicę obyczaju i sfery społecznej, czyni to — wierzył — przez pustotę, lecz tego rodzaju pustota przypominała nieraz... no, nie mógł tego wymówić z myślą o Fronie, bolał go jednak mocno nierozsądek jej postępów. Bolał co prawda wtedy tylko, gdy Corliss był sam. Będąc w pobliżu Frony, patrząc w jej oczy, zawsze odpowiadające prostym, jasnym spojrzeniem, lub podając jej rękę na powitanie czy pożegnanie i czując zawsze mocny, szczery uścisk jej dłoni, pewien był, że nie ma nic w tej dziewczynie, prócz dobra i prawdy.

Poza tym lubił Fronę w rozmaity sposób za rozmaite rzeczy. Za jej odruchy i za jej namiętności — zawsze wzniosłe. W miarę oddychania powietrzem Północy polubił też dziewczynę za jej koleżeński sposób bycia, który raził go tak z początku. Nie brakło również innych rzeczy cło lubienia, chociażby na przykład braku pruderii; pewnego dnia

zrozumiał, że niesłusznie uważał to za brak skromności. Właśnie dnia poprzedniego dał się wciągnąć mimo woli w rozważania na temat „Damy Kameliowej”. Frona widziała w tej roli Sarę Bernhardt i dygotała z zachwytem na samo wspomnienie. Corliss po tej rozmowie wrócił do domu z szarpiącym bólem w sercu, próbując porównywać Fronę z ideałem kobiety, stworzonym mu przez matkę, która twierdziła, że niewinność a nieświadomość to jedno. Nie oparł się tym razem również, następnego dnia zmienił własne pewniki i rozluźnił nieco dawny macierzyński chwyt za serce.

Lubił płomień złotych włosów w słońcu, ich blask miodowy przy kominku, ich nieposłuszne rozwianie, ich świetlistą otęcz. Lubił wąskie nogi i smukłe łydki w szarych kamaszach, niestety, teraz w mieście zasłonięte długą sukienką. Lubił silny zarys smukłego ciała, posuwisty krok, równy męskiemu. Rozkoszą był sam widok Frony -idącej ulicą lub poruszającej się w pokoju. Życie i radość życia płynęły w jej krwi, odżywiającej rumieńcem każde włókienko, wypełniającej każdy mięsień, każde zgięcie, każdy łuk i każdą krągłość. Corliss lubił to wszystko. Szczególnie zaś upodobał sobie piękny mięsień przedramienia, wstający przed oczyma krzepko, śmiało a ponętnie i zawsze zbyt szybko szukający schronienia w powiewnym rękawie bluzki.

Połączenie urody ciała z pięknnością duszy zawsze bardzo silnie przemawia do normalnych mężczyzn. Takim właśnie był Vance Corliss. Fakt, iż lubił urodę ciała, nie dowodził bynajmniej, że nie zauważył piękności duszy. Lubił jedno i drugie, lubił też Fronę, całą, samą w sobie. U niego zaś „Lubić” znaczyło „kochać”.

ROZDZIAŁ VII

Vance Corliss szybko przyzwyczajał się do życia Północy i uważał, że przystosowanie nie jest bynajmniej trudne. Chociaż własny jego sposób mówienia wolny był całkiem od przekleństw, Corliss oswoił się jednak szybko z soczystymi wyrażeniami większości mieszkańców Północy, używanymi nawet w najuprzejmniejszych dyskusjach. Carthey, młody przybysz z Texasu, który miał pracować razem z Corlissem, zaczynał i kończył każde zdanie łagodnym wykrzyknikiem: „Tam do diaska!” W ten sposób wyrażał też zwykle zdziwienie, oburzenie i całą resztę plejady nagłych wzruszeń. Przez natężenie głosu, intonację i szybkość kolejnych dźwięków czynił z pierwotnego wykrzyknika namiastkę całej mowy człowieczej. Z początku stanowiło to dla Corlissa źródło nieustannego gniewu i obrzydzenia, z czasem jednak nauczył się nie tylko uwzględniać ów krzyk, ale lubić go i po trosze nawet wyczekiwać.

Pewnego razu jeden z lepszych psów Carthela stracił ucho w zbyt gorącej dyskusji z brytanami znad Zatoki Hudsona; kiedy młody właściciel poszkodowanego schylił się nad ulubieńcem i stwierdził rozmiar straty — połączenie tkliwości i patosu tradycyjnie wyrzeczonego „tam do diaska!” stało się dla Corlissa istną rewelacją. Nie wszystko jest złe, co nie pochodzi z Nazaretu — zdecydował rozważnie Corliss i, jak niegdyś Jakub Welse, zrewidował odpowiednio swoją filozofię.

Życie towarzyskie Dawson posiadało dwa nurty: „Na górze”, w koszarach policji, w domu Welsów i w kilku innych jeszcze, „panie z towarzystwa” przyjmowały i gościły wszystkich mężczyzn -odpowiedniego stanowiska. Były więc herbatki, obiady, tańce, zabawy dobroczynne, jednym słowem zwykły światowy bieg rzeczy, który jednak bynajmniej nie zaspokajał wszystkich towarzyskich potrzeb mężczyzny. „Na dole”, w mieście, istniała druga strona medalu, zupełnie inna, choć równie popularna. Urządzenia społeczne były tu jeszcze zbyt "młode dla rozwoju życia klubowego, wobec czego mężczyźni wyrażali swą odrębność męską, zbierając się w szynkach. Jedynymi wyjątkami byli w tym względzie księża i misjonarze. W szynkach dobijano i zapijano interesy,

projektowano wyprawy, omawiono handelki, rozprawiano o ostatnich nowinach i w ogóle utrzymywano nastrój ogólnego koleżeństwa. Ocierały się tu o siebie wszelkie rodzaje życia. Magnaci i poganiacze psów, stare wygi i żółtodzioby spotykali się tu na równych prawach. I dlatego zapewne, że izby były przyciasne, szynki dodały sobie jeszcze stoły do gry i nieco heblowanej podłogi do tańca. Do owych to szynków, odpowiadających zarówno pragnieniu jak obyczajom, Corliss przyzwyczał się szybko. Ceniący go nader wysoko Carthey wyrażał ów stan rzeczy w sposób następujący: „Rad jestem, że on tak diabelnie lubi karczmę, do diaska!”

Każde przystosowanie się musi jednakże mieć swoje okresy bolesne. Ogólna zmiana zachodziła w Corlissie nader gładko, w poszczególnym jednak wypadku, to znaczy w stosunku do Frony, działało się przeciwnie. Frona posiadała własne zwyczaje towarzyskie, dość niepodobne do ogólnie przyjętego kodeksu, i uważała, że kobieta może czynić wiele rzeczy, które zgorszyłyby nawet stałych bywalców wyżej wspomnianych lokali. Z tego to powodu Frona i Corliss przeżyli swoje pierwsze poważne nieporozumienie.

Frona lubiła biegać z psami w ostry mróz; policzki jej pały wtedy, krew tętniła mocno, ciało pochylało się naprzód, nogi wznosiły się i opadały bez końca w upartym biegu. Pewnego dnia listopadowego, kiedy chwycił tęgi mróz, a termometr spirytusowy wskazywał wstydliwie sześćdziesiąt pięć poniżej zera, Frona chwyciła sanki, zaprzęła swoje wilczury i pomknęła wzdłuż rzeki. Ledwie tylko wyjechała poza miasto, zeskoczyła z sani i pobiegła za psami. W ten sposób, kolejno to jadąc, to biegnąc, przemknęła przez wioskę indyjską, leżącą pod górką, zrobiła ośmiomilowe koło w górę rzeczki, zwanej Jelenia Skóra, wróciła, przejechała zamrzły Yukon i w parę godzin później wbiegła kłusem na zachodni, wysoki brzeg rzeki, naprzeciw miasta. Miała zamiar wytchnąć chwilę i wracać drogą wyjeżdżoną przez sanie wiozące drwa, ale już o milę dalej natknęła się znów na nieubity śnieg i wstrzymała rozpędzone psy.

Wzdłuż rzeki i pod zwisającym urwiskiem nadbrzeżnym Frona sama kierowała biegiem torowanej przez siebie dróżki. Tu i owdzie zbaczała dla ominięcia wystających skał, to znów w ślad za lodem posuwała się tuż ku stromym urwiskom brzegu. Tak właśnie biegnąc na czele swego zaprzęgu, natknęła się nagle na jakąś kobietę, siedzącą na lodzie i spoglądającą poprzez rzekę na okryte dymami Dawson. Kobieta płakała, i fakt ten wystarczył w zupełności, żeby Frona zatrzymała się natychmiast. Łza, przemieniona w kuleczkę lodu, zatrzymała się na policzku nieznajomej, oczy były zamglone i mokre, na twarzy zastygł wyraz bezbrzeżnej, beznadziejnej rozpacz.

— O! — zawołała Frona, zatrzymując psy i podchodząc do kobiety. — Pani zrobiła sobie coś złego? Czy mogłabym w czymś pomóc?

Obca kobieta przecząco potrząsnęła głową, lecz Frona próbowała dalej. — Ależ pani nie powinna tu siedzieć! Jest prawie siedemdziesiąt stopni, pani zmarznie po kilku minutach. Policzki już są odmrożone. — Rękawicą pełną śniegu nacierać poczęła owe policzki, przyglądając się uważnie wracającym rumieńcom.

— Bardzo przepraszani — nieznajoma podniosła się trochę sztywno. — I bardzo pani dziękuję, ale doprawdy jest mi zupełnie ciepło, siadłam sobie tylko na chwilę. (Futrzaną czapeczkę nasuwała tymczasem głębiej na twarz wstydliwym ruchem).

Frona zauważyła piękność nieznajomej, po czym kobiecym spojrzeniem objęła wspaniałe futro, krój płaszcza 4 misterne wyszycia na mokasynach. Na ten widok, a może dlatego, że twarz jej była zupełnie nieznana, Frona poczuła instynktowną ochotę cofnięcia się.

— Nie, nie zrobiłam sobie nic złego — ciągnęła obca pani — tylko tak jakoś trochę się rozżaliłam, patrząc na tę straszną, białą pustkę.

— Tak — odpowiedziała Frona, opanowawszy się znów zupełnie — rozumiem ten nastrój. W tutejszym krajobrazie musi być dużo smutku, ale ja odczuwam to jakoś inaczej. Przemawia do mnie powaga i surowość tego kraju, ale nigdy smutek.

— Dlatego, że linie naszego życia są tak bardzo od siebie odległe — mówiła tamta w zamyśleniu. — To nie krajobraz posiada dany nastrój, ale dusza ludzka. Gdyby nas nie było, pozostałby krajobraz, ale już bez żadnego znaczenia. Wszystko wkładamy sami w to, na co patrzymy.

„Prawda jest w nas samych; nie przychodzi ku nam z rzeczy zewnętrznych, jak być się zdaje...”

Oczy Frony błysnęły i pośpiesznie dokończyła cytaty:

„W nas samych jest ośrodek, gdzie prawdy zamieszkuje pełnia...” I... i... zapomniałam jak to idzie dalej?

— „Wokoło zaś, martwymi ścianami wyrasta materia”. — Kobieta zamilkła nagle, po czym wybuchnęła trylem wysokiego, srebrnego śmiechu, tak pełnego wewnętrznej gorczy, że Froną wstrząsnął mimowolny dreszcz. Poruszyła się, jakby chcąc wrócić do swego zaprzęgu, ale ręka obcej pani wyciągnęła się nieoczekiwanie a przyjaźnie do ręki Frony, trafiając zresztą natychmiast prosto do serca dziewczyny.

— Proszę zaczekać chwileczkę — wymówiła cicho i prosząco — porozmawiajmy trochę. Tak dawno już nie spotkałam kobiety... — urwała i przez chwilę szukała

właściwego słowa — kobiety, która mogłaby cytować Browninga. Pani jest — ja panią znam, pani jest córką Jakuba Welse'a.

Frona skinęła głową, zawahała się chwilę i spojrzała na obcą panią przelotnie, lecz uważnie. Czuła ogromną i zupełnie zrozumiałą ciekawość. Miała ochotę po prostu i śmiało sięgnąć po pełne poznanie tajemnicy. Oto tak podobna, a przecie tak różna istota. Stara, jak starą jest rasa, młoda jak dziecię o różanej cerze; rzucona przez los na krańce świata ku najdalszym ogniskom człowieczym, wieczna jak ludzkość sama. Czymże się różnią obie? Frona Welse i ta kobieta? Pięć zdrowych zmysłów nie widziało różnicy. Prawa życia były jednakie dla obu. Tylko i wyłącznie kodeksy społeczne i społeczna mądrość odróżniały je i dzieliły. Tak myślała Frona, przez jedną krótką chwilę, objawszy spojrzeniem tamtą twarz i nagle w tym nieoczekiwanym splocie poczuła jakąś wzniosłą grozę, która nadchodzi zawsze, gdy ręce zedrą zasłonę i oczy spojrzą prosto w tajemnicę bóstwa. Z mroku pamięci wypłynęły słowa: „Stopy jej wrosły w bramy piekieł. Dom jej jest drogą ku mogile, przedsionkiem śmierci”. Jednocześnie zaś uparcie żyła w pamięci Frony wizja przyjaznego ruchu ręki, który prosił niemo a wymownie. Frona spojrzała w dal, w ową straszną niezmierną biel i nagle jej również biel owa wydała się pełna smutku.

Mimo woli drgnęła nerwowo, chociaż odezwała się zupełnie spokojnie: — Chodźmy, przejdźmy się trochę dla rozgrzania. Nie przypuszczałam, że jest tak strasznie zimno. — Obejrzała się na psy. — Ej, wy! Naprzód! Sandy! King! — po czym znowu zwróciła się do kobiety. — Przyznaję, że zmarłam. Pani zapewne również.

— O nie, mnie jest zupełnie ciepło. Pani biegła, więc ubranie zwilgotniało, a ja tylko szłam prędko, żeby zachować potrzebny obieg krwi. Widziałam, jak pani zeskoczyła z sanek za miastem i zniknęła w śniegach niby Diana. Jakżeż pani zazdrościłam! To musi być szalenie przyjemnie!

— O tak, bardzo — rzekła Frona po prostu. — Rosłam razem z psami...

— Bardzo mi to Grecją pachnie.

Frona nie odpowiedziała i szły dalej w milczeniu. Frona pragnęła, chociaż nie ośmielała się pragnąć, żeby mogły jakoś rozwiązać się języki i żeby ona, Frona, mogła z głębi gorzkiego doświadczenia tamtej wycisnąć dla dobra i zdrowia własnej duszy jakąś człowieczą, nieodzowną, nieomylną wiedzę. Zachłysnęła się falą współczucia i cierpienia. Czuła się coraz bardziej nieswojo, nie wiedziała, co powiedzieć i jak wyrazić swoje nabrzmiałe serce. Kiedy więc wreszcie tamta przemówiła pierwsza. Frona przywitała z ulgą jej proste słowa.

— Proszę mi powiedzieć — zapytała nieznajoma na pół błagalnie, na pół rozkazująco — proszę mi powiedzieć coś o sobie. Pani niedawno w tym kraju. Gdzie pani była przedtem? Proszę powiedzieć!

W ten sposób rozstrzygnięta została trudność i Frona mówić zaczęła o sobie z doskonale udaną naiwnością dziewczęcą, która zdawała się nie rozumieć źle ukrywanej tęsknoty obcej pani do wszystkiego, czego posiadać nie mogła, a z czego właśnie składało się życie panny Welse.

— Oto jest droga, której pani, zdaje się, szukała! Skręciły za ostatni występ skalny i towarzyska Frony wskazała wąwóz, przez który wożono zwykle ku rzece drwa dla Dawson. — Tutaj panią pożegnam — dodała.

— Czy pani nie idzie również do miasta? — zapytała Frona. — Robi się późno, lepiej nie zwlekać z powrotem.

— Nie... ja...

Bolesne wahanie nieznajomej kazało wreszcie Fronie zrozumieć jej własną bezmyślność. Ale zrobiwszy mimo woli pierwszy krok, nie mogła się już cofnąć.

— Wrócimy razem — powiedziała odważnie. Po czym dodała z wyrazem jakiejś przeczystej wszechwiedzy: — Ja nie dbam.

Wtedy dopiero ciepły rumieniec spłynął na zziębniętą twarz obcej pani, ręka zaś wyciągnęła się ku dziewczęciu dawno, dawno zapomnianym ruchem.

— Nie, nie, ja proszę... — wyszeptała — ja bardzo proszę... ja wolę jeszcze trochę pospacerować. Widzi pani? Ktoś tu jedzie!

Doszły właśnie do szlaku utartego przez ciężarowe sanie. Twarz Frony pałała teraz niemniej mocno niż twarz nieznajomej. Leciutkie saneczki zaprzężone w psy wysmignęły z wąwozu prosto na idące kobiety. Za sankami biegł młody mężczyzna i powiewał ręką ku obu paniom.

— Vance! — zawołała Frona, kiedy pies - przewodnik wparł się w głęboki śnieg i sanie stanęły jak wryte.

— Co pan tu robi? Czyżby syndykat zajął się nagle skupem drzewa opałowego?

— Nie, tak źle jeszcze z nami nie jest. — Twarz mężczyzny była pełna uśmiechniętego szczęścia z powodu tego spotkania. Uścisnęli sobie ręce. — Ale Carthey mnie opuszcza, jedzie na próbne kopania, gdzieś koło bieguna, więc ja pojechałem szukać Dela Bishopa, może chciałby się najać za pomocnika...

Vance obejrzał się na towarzyszkę Frony i w tejże chwili uśmiech znikł z jego twarzy, a pojawił się gniew. Frona rozumiała bezsilnie, że nie zdoła opanować wytworzonej

sytuacji i chociaż z głębi duszy buntowała się ostro przeciwko dziejącej się w tej chwili niesprawiedliwości i okrucieństwu — mogła tylko przyglądać się biernie szybkiemu nabrzmiewaniu maleńkiej tragedii. Obca kobieta spotkała spojrzenie mężczyzny nagłym wtuleniem się w siebie, jakby dla uniknięcia ciosu i słodyczą wyrazu, budzącą współczucie. Mężczyzna jednak spoglądał długo i zimno, po czym świadomie i rozmyślnie odwrócił się tyłem. Frona widziała, jak twarz obcej pani zszarzała zmęczeniem, ostrość i zuchwałość nagłego śmiechu stała się aż bolesna, wreszcie zaś jakiś gorzki szatanek rozbłysnął w jej oczach i wyrzął na świat. Nie ulegało wątpliwości, że ten sam gorzki szatanek rzucił się zaraz zawzięcie na język. Lecz w tejże chwili obca pani spojrzała na Fronę i wszelki wyraz, prócz wyrazu niezmiernego zmęczenia, znikł z tej twarzy. Uśmiechnęła się smutnie do panienki, po czym bez słowa odwróciła się i poszła ku miastu. Bez słowa również skoczyła Frona na sanki i pomknęła co sił. Szlak był szeroki, po chwili więc zrównał się z nią zaprzęg Corlissa. Ukryty dotychczas bunt wybuchnął nagle, zdając się Brać jeszcze w sobie nieco zuchwałości owej kobiety; pozostawionej w śniegach.

— Brutal! Niegodziwiec!

Słowa padały z jej ust ostre, wyraźne, głośnie, rozcinając ciszą niby cięcia z bata. Dzikość ich i niespodzianość kazała przez sekundę cofnąć się Corlissowi. Nie wiedział, co zrobić, co powiedzieć.

— Ach, tchórz! Co za tchórz!

— Frona! Proszę posłuchać!..

— Nie — ucięła. — Proszę milczeć. Pan nie może mieć nic do powiedzenia. Pan postąpił wstrętnie. Rozczarowałam się do pana. To było straszne! straszne!

— Tak, to istotnie było straszne, że ona mogła iść obok pani, rozmawiać z panią, że mogli was razem widzieć ludzie—

— „Nie odwrócę się od ciebie, dopóki słońce się od ciebie nie odwróci” — cisnęła za siebie Frona.

— Istnieje jednak pewna godność...

— Godność! — Dziewczyna odwróciła się nagle i puściła wodze wściekłości. — Jeżeli ona jest „niegodna”, dlaczegoż pan ma być „godny”? Czy ośmieli się pan pierwszy rzucić kamieniem z tą swoją obłudnie świętą miną?

— Pani nie powinna mówić do mnie w ten sposób. Ja sobie tego nie życzę.

Chwycił mocno jej sanie, przy czym Frona nawet w uniesieniu gniewu odczuła iskierkę przyjemności.

— Co takiego? Nie powinnam? Tchórz! Tchórz! Tchórz!

Corliss wyciągnął ręce, jakby chcąc pochwycić i zatrzymać zuchwałą, lecz w tej samej chwili Frona wzniosła bat do ciosu. Nie spuściła jednak. Zbielała twarz mężczyzny czekała spokojnie na uderzenie. Długi rzemień świsnął w powietrzu i spadł na grzbiety psów. Frona uklękła na saniach i gwałtownie pokrzykując na psy — popędziła cwałem. Miała lepszy zaprząg, więc odsadziła się natychmiast. Chciała uciec czym prędzej, nie tyle od Corlissa, ile od samej siebie, gnała więc psy w coraz dzikszy i dzikszy pęd. W pełnym karierze śmignęła na stromy brzeg rzeki, potem jak burza — przez miasto i ku domowi. Nigdy w życiu nie czuła takiego podniecenia; nigdy nie chwycił jej tak straszliwy gniew. I nie tylko czuła wstyd. Czuła jeszcze lęk i przerażenie przed samą sobą.

ROZDZIAŁ VIII

Następnego ranka obudził Corlissa Bash, jeden z indyjskich służących pana Welse'a. Przyniósł karteczkę od Frony. Panienska prosiła w krótkich słowach, żeby inżynier zechciał ją odwiedzić przy pierwszej sposobności. Tylko tyle. Corliss zamyślił się głęboko nad znaczeniem tego listu. Czego życzy sobie Frona? Była dlań zawsze zagadką, od wczoraj zaś jeszcze bardziej tajemniczą — sam więc nie wiedział, co ma przypuszczać. Czy Frona zechce powtórzyć raz jeszcze swoje oskarżenie, tym razem umotywowane i spokojne? Czy zechce wyzyskać przewagę swej płci i upokarzać go dalej? Czy też może żałuje swojej niezasłużonej ostrości i pragnie wyrazić żal? Słowa listu nie były ani skruszone, ani gniewne, formułowały tylko po prostu życzenie odwiedzin.

Tak więc w nastroju raczej niepewnym i pełnym ciekawości wybrał się Corliss do domu Welsów, jak tylko skończyła się ostatnia godzina, uważana za poranną. Nie czuł się ani upokorzony, ani zbyt dumny i postanowił zachowywać się ściśle neutralnie, dopóki Frona nie określi swego stanowiska. Ona zaś natychmiast, bez żadnych podstępów, tym swoistym sposobem, który zawsze tak zachwycał Corlissa, pokazała swoje karty. Jedno spojrzenie na twarz dziewczyny, samo podanie ręki, zanim wymówione zostało choć jedno słowo, zapewniło Corlissa, że wszystko jest dobrze.

— Cieszę się, że pan przyszedł — zaczęła. — Nie mogłam się uspokoić, zanim nie postanowiłam, że zobaczę pana i powiem, jak bardzo mi jest przykro i jak bardzo się wstydę...

— Już dobrze, już dobrze, wcale zresztą nie było tak źle.

Stali wciąż jeszcze naprzeciwko siebie. Corliss podszedł o krok bliżej. — Upewniam panią, że umiem ocenić jej kąt patrzenia na sprawę. Teoretycznie zachowała się pani bardzo wzniosłe i zasłużyła na pełną pochwałę, życiowo jednak, szczerze powiedziawszy, byłoby coś niecoś...

— Tak, tak.

— Coś niecoś do zarzucenia. Wyłącznie z towarzyskiego punktu widzenia, niestety jednak punktu tego pominąć nie możemy. Ja osobiście nie mam nic przeciwko pani postępkowi.

— Bardzo to miło z pana strony — odrzekła wdzięcznie Frona. — Tylko że niestety, nie jest to prawda i pan wie o tym. Pan wie, że chciał postąpić jak najlepiej, pan wie, że pana skrzywdziłam, obraziłam, że zachowałam się jak dzika kobieta, że zasłużyłam na niechęć ze strony pana...

— Nie, nie! — wzniósł rękę, jakby chcąc zasłonić Fronę przed ciosami, które zadawała sama sobie.

— Ależ tak, tak. Powinnam się wstydzić. Mam wszelkie po temu przyczyny. Jedno tylko mogę powiedzieć na swoją obronę: ta kobieta wzruszyła mnie głęboko — prawie do łez. Wtedy zjawił się pan i — no już pan wie, co pan zrobił — chwyciło mnie oburzenie na pana i żal tej kobiety, zdenerwowałam się jak jeszcze nigdy w życiu. To pewnie była histeria. W każdym razie nie panowałam nad sobą zupełnie.

— Oboje nie panowaliśmy nad sobą.

— To nieprawda. Pan był doskonale opanowany, tak zresztą jak w tej chwili. Czemuż jednak nie siadamy? Pan stoi, jakby miał zamiar uciec przy pierwszym znaku nowej burzy.

— Wierzę, że pani nie będzie zbyt straszna! — zaśmiał się, zręcznie posuwając fotel tak, żeby światło padało wprost na twarz Frony.

— A raczej pan nie będzie takim tchórzem. O, wczoraj musiałam być straszna. Ja — ja byłabym chyba uderzyła pana! Pan za to był, co się zowie, odważny, kiedy zamierzyłam się batem. Nawet nie spróbował pan zasłonić się ręką.

— Zauważyłem, że psy, które dostają batem, przychodzą mimo to lizać ręce pani i prosić o pogłaskanie.

— Więc? — zagadnęła zuchwale.

— Więc... to zależy — wyśliznął się dwuznacznie.

— W każdym razie jestem rozgrzeszona?

— Tak jak ja mam nadzieję być rozgrzeszony.

— No więc bardzo się cieszę, uważając co prawda, że pan nie popełnił żadnego grzechu. Pan postępował według swego punktu widzenia, ja według swego, chociaż przyznać muszę, że mój był nieco szerszy. Ach, już wiem! — z zadowoleniem klasnęła w dłoń — nie na pana gniewałam się wczoraj i nie względem pana postąpiłam tak ostro. Cała ta sprawa była zupełnie nieosobista. Po prostu tylko pan ucieleśniał w danej chwili

społeczeństwo, to właśnie, które oburzyło we mnie całe poczucie sprawiedliwości. Panu dostało się jako przedstawicielowi społeczeństwa. Rozumie pan?

— Rozumiem, bardzo to pani mądrze wyłożyła. Dowodzi pani, że nie zmaltrutowała mnie wczoraj, natomiast dzisiaj czyni to pani w całej pełni. Czyni mnie pani przedstawicielem wszystkiego, co ciasne i bezmózgie. To niesprawiedliwie. Przecież stwierdziłem przed chwilą, że teoretycznie pani pogląd wczorajszy był słuszny. Niestuszny jednak społecznie.

— Źle mnie pan zrozumiał, Vance. Proszę posłuchać.

— Dotknęła ręką jego ręki, więc rad był słuchać. — Utrzymałam zawsze, że wszystko, co jest, jest dobre. Zgadzam się też, że społeczeństwo ma w tym wypadku słuszość. Żałuję bardzo, że ta słuszość wygląda tak niesprawiedliwie. Ale rozumiem ją. Człowiek stworzony jest tak, a nie inaczej. Jednak słuszość tę uznaję wyłącznie ze społecznego punktu widzenia. Ja, jako jednostka, wybieram inny pogląd na tę sprawę. Czemuż jako dwie jednostki nie moglibyśmy zgodzić się na ów pogląd? I tu właśnie widzę winę pana. Kiedy byliśmy we dwoje — wczoraj na rzece, mógł pan śmiało zdobyć się na ów szerszy pogląd. Nie uczynił pan tego. Postąpił pan jak typowy przedstawiciel społeczeństwa.

— A więc, głosi pani podwójne zasady? — zemścił się Corliss. — Jedną dla wybranych, drugą dla stada? Uznaje pani demokratyzm w teorii, arystokratyzm w praktyce? W gruncie rzeczy jest to jezuityzm, ni mniej ni więcej.

— Przypuszczani, że za chwilę zacnie mi pan dowodzić w zapale, iż ludzie są wolni i równi, przy czym dorzuci mi pan jeszcze sporą wiązkę tak zwanych praw przyrodzonych? Chce pan, żeby Del Bishop pracował dla pana? A jakież wolny i równoprawny obywatel zgodzi się pracować dla innego? I czemuż pan się na to godzi?

— Nie — zaprzeczył. — Zagadnienie wolności i równości zmodyfikowałem sobie już od dawna.

— W takim razie przepadł pan — ucieszyła się Frona.

— Bo cofać się może pan tylko w kierunku mojej pozycji, która nie jest ani tak jezuicka, ani tak bezwzględna, jak pan myśli. Ale przestańmy gubić się w dialektyce. Chcę wiedzieć wszystko, co wiedzieć można, wobec czego niech mi pan opowie o tej kobiecie.

— Niezbyt smaczny temat — zaproponował Corliss.

— Ale ja szukam poznania.

— Nie jest to poznanie zdrowe.

Frona niecierpliwie tupnęła nogami i bacznie przyjrzała się mężczyźnie.

— Ta kobieta jest piękna, bardzo piękna — podsunęła. — Czy nie jest pan tego zdania?

— Piękna jak piekło.

— Ale bądź co bądź piękna — nastawała Frona.

— Tak, jeśli pani koniecznie sobie tego życzy. Jest jednak równie okrutna, bezlitosna i w ogóle zgubiona.

— A przecież spotkałam ją na drodze samotną, wzruszoną i zapłakaną i wiem kobiecym instynktem, że poznałam wtedy tę stronę jej natury, na którą wy, mężczyźni, jesteście ślepi. Czułam to tak mocno, że kiedy pan przyszedł, cała moja istota pełna była jednego tylko żalnego okrzyku: „O nędzo życia! Nędzo życia!” Tamta jest kobietą tak samo jak ja i nie wątpię, że wiele rzeczy odczuwamy podobnie. Cóż, ona nawet cytowała Browninga.

— A w zeszłym tygodniu — uciął krótko Corliss — jednego wieczora ograła Jacka Dorsey'a na trzydzieści tysięcy; Dorsey'a, który już bez tego siedział w długach. Na drugi dzień rano znaleziono go martwego na śniegu i jednego naboju brakowało w rewolwerze.

Frona nie odrzekła nic, ale podszedłszy do świecy włożyła spokojnie palec w ogień. Potem pokazała Corlissowi zaczerwienioną skórę.

— Ma pan wypadek podobny. Ogień jest doskonałą rzeczą, ale kto go nadużywa, zostaje ukarany.

— Zapomina pani — odparł — że ogień działa zgodnie z prawami natury. Tymczasem Lucile posiada wolną wolę. Czyni to, co chce czynić.

— Nie, to pan zapomina, że w równym stopniu posiadał wolną wolę ów Jack Dorsey. Powiedział pan „Lucile”. Czy to jej imię? Tak bym chciała poznać ją bliżej.

Corliss zmarszczył się... — Nie! Pani mnie rani, mówiąc w ten sposób.

— Dlaczegoż to, proszę bardzo?

— Dlatego — dlatego —

— Że?

— Że cenię kobietę niezmiernie wysoko. Pani, panno Frono, zawsze wyznaje metodę szczerości! Niechże i, mnie wolno będzie z niej korzystać. Bolał mnie słowa pani, otoczyłem panią czcią i nie mogę znieść, żeby zgnilizna życia dotykała pani. Kiedym panią zobaczył tam na drodze razem z tą kobietą, ja... pani nie może sobie wyobrazić, co wycierpiałem.

— Zgnilizna? — wargi Frony zadrgały leciutkim uśmieszkiem, którego nie zauważył Corliss, w oczach zaś błysnęła ledwie dostrzegalna iskierka — zwycięstwa.

— Tak, zgnilizna, zaraza — pinił się Corliss. — Istnieją rzeczy, których kobieta czysta nie powinna rozumieć. Nikt nie może stykać się z błotem i pozostać niesplamionym.

— Oto właśnie woda na mój młyn — klasnęła w dłonie dziewczyna. — Pan wie, jak ta kobieta ma na imię. Pan zna fakty z jej życia. Niektóre pan mi opowiedział, niewątpliwie zna pan jeszcze takie, których nie ośmiela się pan wspomnieć. Krótko mówiąc: jeśli zetknięcie z błotem plami — to jakże tam z pańskim zdrowiem moralnym?

— Ależ ja jestem...

— Mężczyzną, rzecz prosta. Pięknie. Panu więc, jako mężczyźnie wolno stykać się z zarazą. Mnie, jako kobiecie, nie wolno. Ślicznie. Ale czyż zaraza nie jest zaraźliwa? Czy nie przenosi się pośrednio? Więc cóż pan tu robi, w moim domu? Noga pana stanąć tu nie powinna!

Corliss roześmiał się i podniósł ręką. — Poddaję się. Pani logika formalna jest zbyt niebezpiecznym wrogiem. Mógłbym tylko odwołać się do logiki wyższej, tej jednak pani uznać nie chce.

— To znaczy?...

— Do siły. Kobieta musi być taką, jaką mężczyzna chce, żeby była.

— Wpadł pan tym razem we własną pułapkę — zaatakowała znowu panienka..— Czymże więc jest Lucile? Tym czym chcieli ją zrobić mężczyźni. Tego właśnie chciał pan i wszyscy mężczyźni od początku świata. Tego właśnie chciał biedak Dorsey. Nie może pan na to nic odpowiedzieć? Dobrze. Proszę mi więc pozwolić powiedzieć słówko na temat owej wyższej logiki, zwanej siłą. Stykam się z nią nie po raz pierwszy. Poznałam ją w panu wczoraj, na sankach.

— We mnie?

— Tak w chwili kiedy pan wyciągnął rękę i chwycił moje sanki. Nie mógł pan zdławić w sobie pierwotnej pasji i zresztą nie zdawał sobie pan sprawy z jej istnienia. Ale wyraz twarzy miał pan taki właśnie, z jakim zapewne jaskiniowy mężczyzna porwał dziką kobietę. Jeszcze chwila, a pewna jestem, że byłby pan nie poskromił swej gwałtowności.

— Najmocniej panią przepraszam! Nie przypuszczałem nawet...

— Masz sobie! Już wszystko zepsu! Mnie... mnie się to właśnie bardzo podobało! Czyż pan nie pamięta, że w owej chwili ja byłam również jaskiniową kobietą, która podniosła bal na prześladowcę?

— Nie, nie mogę uporać się z pani dwoistością, nawet wtedy, kiedy pani pozornie wycofała się z bitwy.

Oczy dziewczyny zaiskrzyły się jakąś dobroduszną prośbą, drobne dołeczki uśmiechu zarysowały się na policzkach.

— Wie pan? Zamierzam zedrzeć maskę z pańskiego oblicza.

— Jestem jako glina w ręku garncarza — odparł pokornie.

— Wobec tego proszę przypomnieć sobie kilka rzeczy. Po pierwsze, kiedy byłam nader uległa i pełna skruchy, ułatwił mi pan przeprosiny twierdząc, że postępek mój może pan potępić tylko z towarzyskiego, a raczej ze społecznego punktu widzenia. Prawda?

Corliss skinął głową.

— Później, zaraz po owym oskarżeniu mnie o jezuityzm, wyraziłam ochotę dowiedzenia się jak najwięcej o życiu Lucile.

Corliss potwierdził znowu.

— Potem zaszło to, czego się spodziewałam. Bo już w chwilę później zaczął pan mówić o zgniliznie, zarazie i błocie — wszystko to pijąc do mnie. Oto więc i pańska podwójność zasad, łaskawco. Właściwie pewna jestem, że tylko owa druga zasada jest pana istotnym przekonaniem. Tak, mam słuszość. Stwierdzam więc, że był pan nieszczerzy, mówiąc, że postępek mój jest pożałowania godny, jedynie ze społecznego punktu widzenia. Co do mnie — to lubię szczerłość.

— Tak — zaczął powoli Corliss. — Istotnie, byłem nieszczerzy. Ale sam o tym dotychczas nie wiedziałem, dopóki pani tego nie zanalizowała, przyznaję. Ale niech pani mówi, co pani chce, panno Frono, mój pogląd na kobietę pozostanie niezmienny. Kobieta nie powinna stykać się ze złem.

— Czyż jednak nie możemy być jako bogowie, znający zło i dobro?

— Niestety, bogami nie jesteśmy — potrząsnął głową Corliss.

— Tylko mężczyźni są bogami.

— No, to już jest feministyczna pułapka — nachmurzył się. — Cóż jeszcze? Równouprawienie, urna wyborcza i tak dalej.

— O nie! — zaprzeczyła żywo. — Pan nie chce zrozumieć. I nie może. Nie jestem feministką i nie obstaję za „nową kobietą” tylko za nową kobiecością. Bo jestem szczerą; bo chcę być naturalna, uczciwa i prawdziwa; chcę być sobą i dlatego pan mnie osądza. Staram się być konsekwentna i mam wrażenie, że mi się to udaje. Pan jednak nie umie dostrzec ani sensu, ani linii mojej konsekwencji. Może dlatego, że nie przywykł pan do typu kobiet konsekwentnych i naturalnych, dlatego że pan zapewne zna tylko gatunek kurek domowych — ładniutkie to, niezaradne, pulchniutkie, okrągłutkie, święcie niewinne i

karygodnie głupie. Nie są ani naturalne, ani silne. Nie mogą też wydawać na świat ludzi naturalnych i silnych.

Zamilkła nagle. Usłyszeli czyjeś kroki w hallu. Ku salonowi szedł ktoś ciężko w miękkich mokasynach.

— Jesteśmy przyjaciółmi — rzuciła pośpiesznie Frona; Corliss odpowiedział spojrzeniem.

— Może przeszkadzam, co? — uśmiechnął się podejrzliwie Dave Harney, wchodząc i rozglądając się uważnie po pokoju.

— Bynajmniej — odrzekł Corliss. — Dokuczyliśmy sobie dostatecznie i właśnie pragnęliśmy, żeby ktoś nadszedł. Gdyby nie pan, pokłócilibyśmy się z pewnością. Nieprawdaż, panno Welse?

— Wydaje mi się, że pan Corliss niedokładnie przedstawia położenie — uśmiechnęła się Frona. — Albowiem kłótnia już się zaczęła.

— Tak, państwo wyglądacie na nieco rozgorączkowanych — skrytykował Harney, lokując swoje kształty pośród stosu miękkich poduszek na kanapie.

— Jakżeż tam kwestia głodu? — zagadnął Corliss — nie uruchomiono jeszcze żadnych komitetów społecznych?

— Niepotrzebne żadne komitety. Papios panny Frony był dość przewidujący. Wystraszył ludzi, co się zowie. Trzy tysiące umknęło po lodzie w górę rzeki, z półtora tysiąca wróciło do domów, toteż napięcie rynku osłabło. Stało się to właśnie, co przewidywał Welse. Wszyscy pochowali żywność, żeby potem sprzedać drożej. To zwiększyło jeszcze panikę. Całe chmary mknęły do Salt Water, zabierając ze sobą psy. Pomyśleć tylko! — tu Dave Harney wstał uroczyście — kryzys na psy! Piekielne ceny będą na zaprzęgowe, jak tylko ruszą się na wiosnę dostawy. Uzbierałem już sobie setkę piesków i liczę, że zarobię czyściutkie sto dolarów na każdym pysku.

— Tak pan przypuszcza?

— Przypuszcza! Pewien jestem. Powiem nawet państwu pod sekretem, że zeszłego tygodnia pchnąłem paru chłopaków do Niższego Kraju, żeby mi tam zakupili z pięćset ładnych sztuk. Tak, tak! zbyt długo tkwię w tym zatraconym kraju, żebym nie wiedział, kiedy jest interesik do ubicia.

Frona wybuchnęła śmiechem. — Za to pan siedzi podobno bez krzty cukru.

— O, to da się naprawić — odpowiedział spokojnie. — Aha, to mi przypomniało, po co właściwie przyszedłem. Udało mi się zdobyć gazetkę, która ma dopiero cztery tygodnie. „Kurier miasta Seattle”.

— I cóż? Czy Stany Zjednoczone i Hiszpania...

— Powoli, powoli! — Rozciągnięty yankee machał rękoma, błagając o ciszę i broniąc się od pytań Frony, które posypały się w ślad za pytaniem Corlissa,

— Czytał pan? — wołali oboje.

— Ma się rozumieć. Każdą literką. Ogłoszenia i w ogóle.

— Więc proszę wreszcie powiedzieć — zaczęła Frona — czy...

— Niechże pani umilknie na chwilę, panno Frono. Zaraz wszystko regularnie od początku wytłumaczę. Gazetka kosztuje mnie równe pięćdziesiąt dolarów. Złapałem ją u jegomościa, który objeżdżał właśnie łuk rzeki ponad miastem Klondike — i czym prędzej kupiłem. Cymbał mógł być dostać za nią nawet sto, gdyby był wytrzymał 1 sprzedał dopiero w mieście...

— Ale cóż piszą? Czy...

— Jakem powiedział, gazetka kosztuje mnie samego pięćdziesiąt dolarów. Jest jedynym egzemplarzem w całym Dawson. Każdy umiera z ciekawości. Wobec tego pozwoliłem sobie zaprosić szczerą liczbę wybrańców do pani salonu, panno Frono, na wieczór dzisiejszy. Jest to jedyne miejsce, gdzie będą mogli poczytać sobie głośno i cicho od początku i od końca, dopóki będą chcieli albo dopóki się nie zmęczą — to znaczy, o ile pani pozwoli skorzystać ze swego lokalu.

— Ależ owszem, z przyjemnością. Bardzo pan uprzejmy...

Obiema rękami odpychał te pochwały. — Takem sobie to właśnie wykalkulował. I teraz już nie będę siedział bez cukru. Albowiem każda jejmość i każdy jegomość, którzy tylko nos wetkną do mojej gazetki, będą musieli zapłacić mi po pięć kubków cukru. Uważacie państwo? Pięć kubków, dużych kubków — białego, brązowego, albo w kostkach. Wezmę od każdego kwitek, a jutro rano pošlę chłopca od domu do domu, żeby pozbierał należność.

Twarz Frony wyraziła osłupienie, po chwili jednak rozbłysła znowu uśmiechem. — No czyż to nie pyszny kawał! Żeby tylko nie było skandalu! A to się uśmieję! Dziś wieczorem, Dave? Na pewno dzisiaj?

— Na pewno. Pani przeczyta za darmo, a raczej za pożyczenie salonu.

— Ale papa musi zapłacić swoje pięć kubków. Nie powinien pan ustąpić, Dave.

Oczy Harneya wyraziły zgodę. — Już ja go przycisnę!

— A ja go namówię, żeby przyszedł, — obiecała — i dał się zaprząć do rydwanu Dava Harneya.

— Cukrowego rydwanu — dokończył Dave. — Jutro rano zaniosę gazetę do baru. Będzie już nieco sfatygowana, więc tamci zapłacą taniej. Myślę, że po jednym kubku wystarczy. — Dave Harney usiadł i począł rozcierać ręce, aż zszchrzęściały stawy potężnych pięści. — Tej zimy jeszcze ani razu nie przehulałem całej nocki. Jeżeli będą dokumentnie czytali, to do samego rana nie zabraknie mi kompanii.

ROZDZIAŁ IX

W kącie oparty o fortepian stał Vance Corliss, pogrążony w pogawędkę z pułkownikiem Trethavayem. Pułkownik, suchy, ostry i żylasty, pomimo białych włosów i lat sześćdziesięciu, wyglądał młodo, niczym mężczyzna trzydziestoletni. Stary inżynier-górnik, obecnie już weteran, ongiś jeden z przodowników w swoim fachu — był w Dawson przedstawicielem interesów amerykańskich, w równym stopniu jak Corliss — angielskich. Nie tylko serdeczną przyjaźń żywić zaczęli do siebie obaj, ale stykali się ciągle we wspólnej pracy. I dobrze, że trzymali się zgodnie razem — ci dwaj, od których decyzji i woli zależał potężny kapitał, włożony przez dwa państwa w rozwój krajów podbiegunowych.

Natłoczony pokój ciemny był od tytoniowego dymu. Ze stu ludzi, ustrojonych w futra i jaskrawe wełny, stało pod ścianami i przyglądało się tańcom. Ogólna rozmowa maciła jednak podział na aktorów i widzów, nadając całości towarzystwa nastrój ogólnego koleżeństwa. Izba, pomimo całej swoiście północnej dziwaczności, przypominała jednak nieco „bawialnię” dużego domu wiejskiego, skupiającą wieczorem wszystkich spracowanych domowników. Lampy naftowe i łojowe świece tliły się słabo w dusznej atmosferze, ogromne rozżarzone piece trzaskały wesołym ogniem.

Pośrodku izby ze dwadzieścia par drgało rytmicznie przy dźwiękach walca. Nie było tu fraków ani krochmalonych koszul. Mężczyźni przyszli w zwykłych wilczych lub bobrowych czapach, o luźno puszczonej nasznikach, Obuci byli zwyczajem miejscowym w mokasyny jelenie albo w typowo północne buty ze skóry morsa. Niektóre kobiety przyszły również w mokasynach, chociaż większość tańczyła w jedwabnych pantofelkach balowych. W jednym końcu izby otwarte były drzwi, przez które widać było drugą izbę, jeszcze ciaśniej natłoczoną. Z izby owej poprzez rzępolenie muzyki dochodziło strzelanie korków i brzęk szklanek, a jako półtony: jednostajny, uparty postuk kulek ruletki,

Nagle otworzyły się małe boczne drzwi i weszła kobieta otulona w futro, wlokąc za sobą podmuch mrozu. Chłód wtargnął w ciepło, przybierając natychmiast ponad podłogą kształt białego obłoku, wijącego się u nóg tancerzy i po chwili rozplywającego się w upale izby.

— Lucile — prawdziwa królowa zimy — zwrócił się pułkownik Trethavay do nowoprzybyłej.

Skinęła głową i roześmiała się. Zdejmując futro i mokasyny uliczne, wesoło gawędziła z pułkownikiem. Corlissa jednak, stojącego o parę kroków dalej, zdawała się nie dostrzegać wcale. Z pół tuzina danserów czekało już w pobliżu, aż Lucile skończy rozmowę. Fortepian i skrzypce zagrały wstęp do szkockiego tańca. Lucile zwróciła się ku sali, lecz w tej samej chwili jakiś nagły impuls pchnął ku niej Corlissa. Stało się to zupełnie bez namysłu. Corliss bynajmniej nie miał zamiaru tak postąpić. — Bardzo panią przepraszam — wyrzekł. Oczy kobiety błysnęły gniewnie.

— Bardzo mi przykro — powiedział jeszcze, wyciągając ku niej rękę. — Postąpiłem brutalnie i tchórzliwie. Czy zechce mi pani przebaczyć?

Zawahała się i wiedzioną doświadczeniem szukała myślą przyczyny tego kroku. Potem nagle rozjaśniła twarz i uścisnęła podaną rękę. Ciepła mgła zwilżyła jej oczy.

— Dziękuję — wyrzekła tylko.

Ale czekający tancerze poczęli się niecierpliwić i Lucile zawirowała natychmiast w ramionach jakiegoś pięknego młodzieńca, wyróżniającego się czapką z żółtego syberyjskiego wilka. Corliss powrócił do swego towarzysza, czując się niezrozumiale lekko na duszy i dziwiąc się własnemu postępkowi.

— Wstyd doprawdy — oczy pułkownika wciąż jeszcze ścigały Lucile i Corliss zrozumiał. — Przeżyłem sześćdziesiątkę i przeżyłem ją, co się zowie, a kobieta jest dla mnie większą tajemnicą niż kiedykolwiek. Spójrz na nie, spójrz na wszystkie! — objął spojrzeniem salę. — Motyle, iskry światła i śmiechu, tańczące, tańczące do upadłego, do śmierci, do samego piekła. Nie tylko Lucile, ale i tamte. Spójrz na May, tę z czołem Madonny, a językiem samego diabła. Albo Myrtle! Przysięgłbyś, że to staroświecka piękność angielska zstąpiła z płócien Gainsborougha, żeby wodzić na pokuszenie nasze stulecie tu, w gospodzie Dawson. A Laura? Czyż nie wygląda na typ matki? Ma się wrażenie, że w zgięciu tych ramion, przy tej piersi, powinno leżeć dziecko.

— To najlepsze z całej piany, wiem — nowy kraj zawsze przyciąga najlepsze — ale źle się dzieje, Corliss, doprawdy źle się dzieje. Upały życia już dla mnie skończone, więc wzrok mam jaśniejszy. Myślę czasem, że zejść powinien na ziemię nowy Chrystus i głosić

nową naukę zbawienia — ekonomiczną czy socjologiczną — jakąkolwiek, byle nową i żywą. Świat potrzebuje tego gwałtownie.

Fala ludzka to zalewała izbę, to odpływała, szczególnie w chwilach, kiedy muzyka milkła i tańczące pary zmierzały ku drugiej sali, gdzie strzelały korki. Pułkownik i Corliss poszli również do baru. Koło lady z napojami stało z pięćdziesiąt osób. Znaleźli się obok Lucile i młodzieńca w wilczej czapie. Ów był niezaprzeczenie piękny, urodę zaś jego podnosił jeszcze w tej chwili rumieniec policzków i słodki blask oczu. Gładysz nie był pijany co się zowie, bo doskonale panował nad ruchami, był jednak pełen tego podniecenia, jakie zawsze daje wino. Głos miał napięty i wesoły, gadał dużo i dowcipnie, znajdując się w tej właśnie niestąlej równowadze ducha, kiedy zarówno cnoty jak wady dochodzą do zbyt jaskrawego wyrazu.

W chwili gdy podnosił szklanke, jakiś sąsiad trącił go lekko i niechcący. Gładysz strzepnął wino z rękawa i zaklął. Słowo nie było najgorsze, ale z tego właśnie gatunku, który burzy krew. Wzburzyło też krew owego niezręcznego sąsiada, pięść jego bowiem spadła na posiadacza wilczej czapy z taką siłą, że cisnęła go o stojącego opodał Corlissa. Za pięścią podążył sam obrażony. Kobiety wyśliznęły się czym prędzej, zostawiając wolną przestrzeń mężczyznom, mężczyźni zaś tłoczyli się ciekawie lub ustępowali miejsca walczącym, chcąc umożliwić „fair play”.

Wilcza Czapka bynajmniej nie wyszedł na spotkanie gniewu, który był wywołał. Zasłonił twarz rękoma i wycofywał się skwapliwie. Tłum wołał, domagając się powrotu i walki, więc gładysz zmusił się do zatrzymania na chwilę, ale zobaczywszy z bliska pięść tamtego, stchórzył i umknął.

— Zostaw go! Nie zasługuje na pomoc — krzyknął pułkownik do Corlissa widząc, że ten szykuje się do obrony napadniętego. — Nie chce się bić. Gdyby się bił, sam bym mu pomógł.

— Nie można przecież pozwolić, żeby walili w człowieka jak w bęben — odkrzyknął Corliss. — Żeby się chociaż bronił, nie byłoby tak obrzydliwie.

Krew lała się już z nosa i z czoła gładysza, kiedy Corliss skoczył pod ciosy napastnika. Chciał tylko rozdzielić tych dwóch, naparł jednak zbyt mocno i dotychczasowy zwycięzca runął na ziemię. Każdy z walczących w takich przypadkowych bójkach karczemnych ma swoich stronników, zanim więc Vance zrozumiał, co się stało, chwiał się już na nogach od tęgiego ciosu któregoś z przypadkowych przyjaciół tego, którego był powalił. Del Bishop rzucił się zaraz na śmiałka, atakującego jego zwierzchnika. Walka stała się ogólna. Tłum natychmiast rozdzielił się na dwa obozy i szykował pięści.

Pułkownik Trethavay zapomniał, że upały jego życia już się skończyły, i, chwyciwszy jakieś krzeselko o trzech nogach, tanecznym krokiem ruszył ku ciżbie. Paru żandarmów, będących na sali, i jeszcze ze sześciu mężczyzn przyłączyło się do obozu, broniącego wilczej czapy.

Chociaż bójka była gwałtowna i bardzo hałaśliwa, niemniej jednak — umiejscowiona. Na drugim końcu baru szynkarz odkorkowywał tymczasem butelki, a w sąsiedniej sali rzępoliła po dawnemu muzyka i kręciły się pary. Gracze nie przerwali gry i tylko przy kilku najbliższych stolikach zaciekawiono się nieco przebiegiem rozprawy.

— Walić i za drzwi! — warknął Del Bishop, znalazłszy się przez chwilę tuż koło Corlissa.

Corliss pokazał zęby w półuśmiechu i zręcznym ciosem spotkał atak jakiegoś olbrzymiego poganiacza, w następnej chwili jednak runął na ziemię, trafiając głową między buciory wroga. Poczuł, że tamten trzyma go tęgim chwytem, jednocześnie zaś zwolna łapie zębami za ucho. Błyskawicą myśli objął Vance nagle całą swoją przyszłość, zobaczył samego siebie wędrującego z jednym uchem przez życie i równie błyskawicznie palce jego, jak natchnione, zerwały się ku oczom napastnika i nacisnęły mocno na gałki oczne. Jacyś ludzie padali na Corlissa, ktoś po nim deptał, ale wszystko to wydawało mu się dziwnie dalekie i mgliste. Wiedział tylko, że w miarę jak naciskał wrogie oczy — chwyt zębów cofał się zwolna. Nacisnął mocniej (jeszcze chwila, a człowiek pozostałby bez oczu) i zęby ostatecznie puściły jego ucho.

Potem, wysupławszy samego siebie z ciżby i wydobywszy się na powierzchnię aż gdzieś koło szynkwasu — Corliss poczuł, że raz na zawsze opuścił go wstręt do walki na pięści. Przekonał się, że jest taki sam, jak inni ludzie i groźba utraty jakiejś części ciała od razu zdejmuje mu z pleców całe dwadzieścia wieków cywilizacji. Gra w karty bez żadnych stawek jest rozrywką, pozbawioną wszelkiego smaku, Corliss zaś odkrył również, że lekkie rozgrzanie, spowodowane higienicznym boksem szkolnym, niepodobne jest bynajmniej do tego rozgorączkowania, jakie daje zwanie dwóch ciał w bójce, zmierzenie dwóch sił i gra o stawkę życia, nogi lub ręki. Podnosząc się zwolna przy pomocy poręczy szynkwasu, Corliss dostrzegł jakiegoś człowieka w wiewiórczej kurcie, mierzącego kuflem od piwa w głowę pułkownika Trethavaya, który stał o kilka kroków dalej. I nagle palce, przywykłe raczej do cyrkla i probówek, zwały się w twardą pięść, która zdzieliła miotacza kufła prościutko w dolną szczękę. Ugodzony zsunął się na ziemię w ślad za swoim kuflem. Van-ce stał przez chwilę oszołomiony, potem zrozumiał nagle, że oto po raz pierwszy w życiu dzielił człowieka do utraty przytomności — i zadygotał z satysfakcji.

Pułkownik podziękował mu spojrzeniem i huknął: — Przedzierać się do drzwi, Corliss! do drzwi!

Krótką walką zawrzała jeszcze, zanim zdołano otworzyć zapasowe drzwi, ale pułkownik, wciąż jeszcze uczepiony swego trójnoga, z powodzeniem rozproszył opozycję, po czym gospoda wypluła swoją skłębioną zawartość na ulicę. Natychmiast wrogość znikła, jak zwykle w bójkach tego rodzaju, i gromada poczęła się rozpraszać. Dwaj żandarmi wrócili na salę wraz z resztą sojuszników. Corliss zaś z pułkownikiem, a za nimi Wilcza Czapa z Delem Bishopem ruszyli ulicą.

— Krew i pot! Krew i pot — rozważał w uniesieniu pułkownik. — I co tu gadać! Czuję, że odmłodziłem o dobre dwadzieścia lat. Corliss, dawaj łapę, bracie. Winszuję panu serdecznie. Doprawdy nie przypuszczałem, że to jeszcze w panu siedzi. Zrobiłeś mi niespodziankę, bratku, prawdziwą niespodziankę.

— Samemu sobie zrobiłem niespodziankę — odrzekł Corliss. Zaczęła się w nim już reakcja, czuł się źle i niesmacznie.

— Ale pan jest również niespodzianką, pułkowniku. Sposób, w jaki pan zażył owo krzeselko...

— A co! Nieprawda? Pochlebiam sobie, że zażywałem je nienajgorzej. Spójrzno pan! — Podniósł sławetną broń, z którą wciąż jeszcze nie mógł się rozstać i sam natychmiast przyłączył się do śmiechu Corlissa.

— Komuż to winienem dziękować, panowie? Zatrzymali się właśnie na rogu i człowiek, którego ocalili z matni, podszedł do nich z wyciągniętą do uścisku ręką.

— Nazywam się St. Vincent — dodał — i...

— Jak?! — zawołał Del Bishop z nagłą ciekawością.

— St. Vincent, Gregory St. Vincent.

Pięść Bishopa mignęła w powietrzu i St. Vincent zwałił się ciężko w śnieg. Pułkownik odruchowo podniósł krzeselko, potem pomógł Corlissowi odepchnąć Dela.

— Oszalałeś, człowieku? — zapytał Vance.

— Szelma! Żałuję, że mu mocniej nie dogodził — brzmiała odpowiedź. — Wszystko w porządku. Proszę mnie puścić. Już go nie będę tłukł. Proszę mnie puścić. Idę do domu. Dobranoc.

Pomagając owemu St. Vincent stać na równe nogi, Corliss mógłby przysiąc, że usłyszał tłumiony chichot pułkownika. Ów z czasem przyznał się zresztą, wyjaśniając: „Takie to było pyszne i takie niespodziewane!” Przewyciężył się jednak i odprowadził St. Vincenta do domu.

— Czemużeś go właściwie pacnął? — pytał niezrażenie Corliss po raz czwarty od chwili powrotu do domu.

— Nędzny robak, ostatnia szelma — mruzczał kopacz spod kołdry. — Po co mnie pan zatrzymał? Byłbym mu dołożył jeszcze drugie tyle!

ROZDZIAŁ X

— A, pan Harney, jakże mi miło. Dave, o ile się nie mylą, Dave Harney? — Dave Harney skinął głową, zaś Gregory St. Vincent zwrócił się do Frony. — Widzi pani, panno Welse, świat nie jest bynajmniej taki wielki. Pan Harney i ja znamy się od dawna.

Królik z Eldorado przyjrzał się bacznie twarzy mówiącego i wreszcie w oczach błysnęło mu jakieś przypomnienie.

— Czekał no pan! — krzyknął, kiedy St. Vincent chciał mówić dalej. — Już wiem. Był pan wtedy bez wąsów. Zaraz, zaraz, 86; jesień 87-go i lato 88-go, tak, tak, wtedy. Latem 88 gnałem tratwę ze Steward River, wyładowaną mięsem jelenim. Chciałem dobrnąć do Niższego Kraju, zanim mięso się zepsuje. Pan akurat waliłeś Yukonem w łódce typu Linderman. Klóciłem się właśnie z moim współnikiem czy jest wtorek czy piątek, a pan nas pogodziłeś — że niedziela. Jakbym widział! Dziewięć lat temu... Przehandlowaliśmy trochę mięsa na mąkę, sodę i... i... i cukier. Na Jowisza! Rad jestem, że pana widzę!

Wyciągnął rękę i przywitali się raz jeszcze.

— Proszę kiedy zajść do mnie — zaprosił opuszczając salon po chwili. — Mam tu niezły domek na górze, a drugi w Eldorado, na parceli. Drzwi zawsze otwarte. Proszę do mnie — na jak długo się spodoba. Przykro mi, że muszę państwa pożegnać, ale lecę do gospody zbierać swoją takwę: cukier. Panna Frona panu opowie...

— Pan jest prawdziwą niespodzianką, panie St. Vincent — wróciła Frona do punktu swego zainteresowania, streściwszy w krótkości cukrową biedę Harneya. — Kraj ten musiał być zupełnie dziki przed dziewięcioma laty. Pomyśleć tylko, że pan już wtedy przywędrował tutaj. Proszę mi opowiedzieć, jak też to było.

Gregory St. Vincent wzruszył ramionami.

— Niewiele jest do opowiadania. Była to nieudana impreza, pełna wielu niepięknych rzeczy i nie zawierająca żadnego tytułu do dumy.

— Niemniej, proszę opowiedzieć. Przepadam za przygodami. Są one właściwie znacznie prawdziwszym życiem niż szary dzień powszedni. Fakt, że wyprawa była — jak pan powiada — nieudana, dowodzi, że istniał jakiś cel. Jakież mianowicie?

Mężczyzna z satysfakcją stwierdził szczerą tego zainteresowania.

— Dobrze, jeżeli pani sobie życzy, postaram się w kilku słowach opowiedzieć wszystko, co jest do opowiedzenia. Swego czasu strzelił mi do głowy szalony pomysł przedeptania nowej ścieżki naokoło świata i w interesie nauki oraz dziennikarstwa, w szczególności dziennikarstwa, zamierzałem przebyć Alaskę, zrobić cieśninę Beringa po lodzie i dostać się do Europy przez Syberię północną. Kraje były przeważnie dziewicze, impreza wyglądała wspaniale — nie udała się jednak niestety. Cieśninę przebrnąłem, jak się należy, ale we wschodniej Syberii zapadłem na zdrowiu — wszystko przez tego Tamerlana, jak zwykłem mawiać.

— Ulisses! Prawdziwy Ulisses współczesny — klasnęła w dłonie pani Schoville — jak romantycznie!

— Ale nie Otello — odparła Frona. — Język ma skąpy. W najciekawszym miejscu porzuca nas z tajemniczym odsyłaczem do jegomościa z dawno minionych czasów. Pan nas dręczy, panie St. Vincent! Będziemy nieszczęśliwi, zanim się nie dowiemy, jakim sposobem Tamerlan przyczynił się do niepowodzenia pańskiej podróży.

St. Vincent roześmiał się, jakby zwalczając niechęć mówienia o sobie. — Kiedy Tamerlan ogniem i mieczem niszczył Azję wschodnią — wyrzekł wreszcie — obalał państwa, walił miasta w gruzy, rozpraszał plemiona, niby pył gwiazdny — liczne ludy rozrzuciły się po całym kontynencie. Uciekając przed straszliwą przemocą zwycięzców, wygnańcy zapuścili się daleko w głąb Syberii i zakreśliwszy wielki łuk ku północy i wschodowi, oparli się wreszcie nad brzegiem Oceanu Północnego. Obecnie więc podbiegunowy kraniec Azji zaludniają szczątki plemion mongolskich. Ale, czy nie znudziłem pań?

— Nie, nie! — wykrzyknęła pani Schoville. — To porywające! — Pański sposób opowiadania jest tak żywy! Przypomina mi...

— Macaulay'a — roześmiał się dobrodusznie St. Vincent. — Jestem dziennikarzem i Macaulay wywarł mocny wpływ na mój styl. Ale obiecuję zniżyć ton. Wracając jednak do rzeczy: gdyby nie owe plemiona mongolskie, nie byłbym zmuszony przerwać swej podróży, zamiast poślubić brudasa-królową, specjalizować się w zamieszkach rodowych i porywaniu jeleni; byłbym sobie spokojnie dojechał do Petersburga.

— Ach, ci bohaterowie! Istna rozpacz, nieprawdaż, panno Frono? No więc cóż było dalej z tą brudną królowną i porywaniem jeleni?

Żona komisarza rozkwitała z zachwytu przed oczyma pięknego narratora, ten zaś wzrokiem pytał Frony, czy mówić ma dalej.

— Ludek nadbrzeżny należał do plemienia Eskimosów i był dobroduszny, nieszkodliwy i zadowolony z życia. Zwali sami siebie Oukillion, czyli Ludźmi Morza. Kupiłem od nich psy i żywność. Traktowali mnie nader przyjaźnie. Podlegali jednak plemieniu Chow Chuen, mieszkającemu dalej od brzegu i zwanemu Ludźmi Jelenia. Owi Chow Chueni byli dzicy i okrutni całym okrucieństwem nieujarzmionego Mongoła. Jak tylko ruszyłem w głąb kontynentu, napadli na mnie, ograbili i wzięli do niewoli.

— Czyż tam nie było Rosjan? — zagadnęła pani Schoville. —

— Rosjan? Pośród plemienia Chow Chuen? — roześmiał się St. Vincent. — Geograficznie plemię owo należy istotnie do dziedzin Białego Cara, politycznie jednak — nie. Wątpię, czy kiedykolwiek o nim słyszeli. Należy pamiętać, że wewnątrz Azji północno-wschodniej to „terra incognita”, ukryta w podbiegunowych ciemnościach. Wielu tam wędrowało, lecz nikt nie powracał.

— Ale pan...

— Zdarzyło mi się właśnie być wyjątkiem. — Czemu zostałem oszczędzony — nie wiem. Po prostu — zdarzyło się. Z początku byłem traktowany z całym okrucieństwem, głodzony, bity nawet przez kobiety i dzieci, ubierany w futra pełne robactwa. Plemię było, co się zowie, bezlitosne. W jaki sposób udało mi się wyżyć — nie rozumiem; pamiętam tylko, że często medytowałem nad samobójstwem. Od targnięcia się na własne życie uratował mnie fakt zupełnego mego — z czasem — zezwierżenia, do którego doprowadziły mnie cierpienia i upokorzenia. Półzamarzły, zgłodniały, znoszący niewypowiedzianą nędzę i trudy, bity nieraz aż do utraty przytomności — powoli sam stałem się zwierzęciem.

We wspomnieniach wydaje mi się to dzisiaj snem. Istnieją luki, których pamięć moja wypełnić nie umie. Pamiętam jak przez mgłę, że przywiązywano mnie do sanek i wleczono od wioski do wioski, od plemienia do plemienia. Robiono ze mnie widowisko, tak jak my robimy je sobie ze słoni lub dzikich ludzi. Nie wiem, jak daleko podróżowałem tak wzdłuż i w poprzek dziedziny ciemności; myślę jednak, że musiały to być tysiące mil. Wiem, że kiedy wróciłem do jakiejś takiej świadomości i znowu zostałem sobą, okazało się, że jestem o dobre tysiąc mil od miejsca, gdzie mnie schwytano.

Nadeszła wiosna. Miałem wrażenie, że wracam do terażniejszości z jakichś dawno minionych lat. Rzemień ze skóry renifera trzymał mnie mocno w pasie i wiązał tego do tyłu sanek. Rzemień ten chwyciłem rękami, niby mała korbę katarynki, ciało bowiem było już bardzo poranione wżerającym się uciskiem rzemienia.

Owładnęła mną niska chytryść. Stałem się przyjemny i nadskakujący. Tego wieczoru tańczyłem nawet i śpiewałem ku rozrywce moich ciemieżycieli, postanowiłem bowiem nie znosić już cierpień, które mnie przemieniały w zwierzę. Okazało się, że Ludzie Jelenia handlują z Ludźmi Morza, ci ostatni zaś handlują z białymi, szczególnie z łowcami wielorybów. Z czasem znalazłem talię kart, należącą do jednej z kobiet i spróbowałem zaintrygować plemię kilkoma pospolitymi sztuczkami. Wykonałem też w należycie uroczystym nastroju parę salonowych kawałów karcianych. Rezultat: zostałem natychmiast oceniony, dano mi lepszą odzież i lepszą strawę.

Krótko mówiąc, stałem się z czasem poważną osobistością. Najpierw przychodziły do mnie po radę kobiety, potem zaczęli przychodzić starcy, wreszcie przyszli wodzowie. Moje nędzne wiadomości z medycyny i chirurgii wyświadczyły mi też nie lada przysługę. Stałem się nieodzownie potrzebny. Z niewolnika dorobiłem się stanowiska „radcy”. W czasie pokoju i wojny, poznawszy ich obyczaje, stałem się nieomylnym autorytetem. Renifer był ich „środkiem obiegowym”, ich jednostką pieniężną, toteż prawie ciągle zajęci byliśmy tropieniem i porywaniem stad sąsiedzkich plemion, albo pilnowaniem stad własnych przed zakusami sąsiadów. Udoskonaliłem metody wojowania Chow Chuenów, nauczyłem lepszej strategii i taktyki i dodałem tyle rozmachu ich przedsięwzięciom handlowym, że żadne z plemion nie mogło wytrzymać współzawodnictwa.

Jednakże będąc już potęgą, nie zbliżyłem się ani o krok do własnej wolności. Przeszedłem sam siebie. Stałem się zbyt cenny, zbyt potrzebny. Obchodzono się ze mną nad wyraz uprzejmie, ale pilnowano zazdrośnie jak skarbu. Mogłem poruszać się i rozkazywać bez przeszkód, lecz kiedy nasi jechali na brzeg z towarem, żeby przeprowadzić handel wymienny — mnie jechać nie pozwolono. Było to jedyne, ale istotne skrępowanie moich ruchów.

Wiadomą jest rzeczą, jak kłopotliwe są wysokie stanowiska! Kiedy się zabrałem do reformy ustroju politycznego moich dzikusów — wpadłem w nowe nieprzyjemności. Spróbowałem przeprowadzić zjednoczenie dwudziestu sąsiadujących ze sobą plemionek, w celu uniknięcia ciągłych bójek — i natychmiast postawiono mnie na czele owej federacji. Ale stary Pi-One, największy z wodzów, swego rodzaju król, wyrzekając się na moją korzyść naczelnego stanowiska, nie zrezygnował jednak ze wszelkich zaszczytów.

Najmniejszą rzeczą, jaką uczynić mogłem dla zaspokojenia jego ambicji, było wzięcie za żonę jego córki, Ilswungi. Tak, nawet sam o to prosił. Zaofiarowałem mu swoje stanowisko, ale słyszeć o tym nie chciał. Tak więc...

— Tak więc? — szepnęła jak w ekstazie pani Schoville.

— Pojąłem ową Ilswungę, czyli „Dzikiego Jelenia”. Biedna Ilswunga! Niby Izolda z poematu Swinburna, ja zaś — Tristan. Widziałem ją ostatni raz w misji w Irkucku, gdzie uparcie wzbraniała się pójść do łaźni.

— O, na litość boską! Już 10-ta! — krzyknęła nagle pani Schoville. Widocznie małżonek schwytać zdołał nareszcie jej spojrzenie poprzez salon. — Żałuję bardzo, że nie mogę słuchać do końca, panie St. Vincent, całej historii ucieczki i wybawienia. Musi pan koniecznie odwiedzić nas w domu i dokończyć opowiadania. Umieram z ciekawości!

— A ja wzięłam pana z początku za nowicjusza, za „chechaquo” — powiedziała miękko Frona, kiedy St. Vincent wiązał nauszники swojej wilczej czapy i podnosił kołnierz wychodząc.

— Nie znoszę pozy — odrzekł równie miękko. — Pachnie nieszczerością, jest właściwie kłamstwem. A tak łatwo jest wpaść w pozę. Proszę spojrzeć na tutejsze „stare wygi”, na „chłopców z kwaśnego ciasta”, jak nazywają się dumnie. Spędzili w tym kraju głupie kilka lat i już udają dzikusów, kosmaczy i pyszną się tym. Może nie wiedzą o tym, ale pozują. Hodują w sobie odrębność i oryginalność czyli właściwie kłamią i ciągle żyją w fałszu.

— Niezupełnie zgadzam się z panem — broniła Frona swoich ulubionych bohaterów miejscowych. — Uważam, że słusznie krytykuje pan pozę jako taką, ale twierdzę, że większość „wyg” bynajmniej nie pozuje. Ci ludzie byliby oryginalni, a nawet dziwaczeni wszędzie i we wszelkich okolicznościach. Oryginalność ich jest szczerą. Jest ich sposobem wyrażania samych siebie. Te właśnie ich cechy kazały im zostać pionierami. Normalni, przeciętni mężczyźni wolą siedzieć w domu.

— Najzupełniej zgadzam się z panią, panno Welse — ustąpił skwapliwie St. Vincent. — Nie rozciągałem poglądu swego na wszystkich. Ganiłem tylko nielicznych pozerów. Przeważnie jednak są to ludzie szczerzy, uczciwi i naturalni.

— W takim razie oboje zgodziliśmy się na jedno. Ale, ale, panie St. Vincent, czy nie zechce pan przyjść do nas jutro wieczorem? Przygotowujemy przedstawienie amatorskie na Boże Narodzenie. Nie wątpię, że pan nam w wielu rzeczach pomoże, i przypuszczam, że pan sam nie znudzi się zbytnio. Należy cała młodzież tutejsza: urzędnicy, oficerowie

policji, inżynierowie, panowie próżniacy, jednym słowem: elita. Nie mówiąc już o pięknych paniach. Spodobają się panu na pewno.

— Nie wątpię — odparł ujmując podaną rękę. — Jutro pani rozkaże?

— Jutro wieczorem. Dobranoc.

— Dzielny człowiek — powiedziała sobie Frona, wracając z przedpokoju — i wspaniały typ swojej rasy.

ROZDZIAŁ XI

Gregory St. Vincent stał się szybko ważnym czynnikiem towarzyskiego życia Dawson. Jako przedstawiciel Związku Prasy rozporządzał wszelkim poparciem, jakie dać mogą potężne wpływy, ponadto zaś nader dodatnio charakteryzowały go listy polecające, jakie przywiózł. Okazało się z czasem, że był podróżnikiem na wielką skalę i zakosztował życia całej nieomal kuli ziemskiej. Pomimo to zachowywał się tak skromnie, że nikogo, nawet mężczyzn, nie irytowały jego wielkie czyny. Przypadkowo spotkał teraz wielu dawnych znajomych. Jakuba Welse'a znał był w St. Michael w jesieni 88 roku, przed samą przeprawą przez cieśninę Beringa po lodzie. W jakiś miesiąc później ojciec Bamum (który jechał z Dolnej Rzeki, żeby objąć zarząd szpitala) spotkał St. Vincanta już o kilkaset mil na północ od St. Michael. Kapitan Aleksander, komendant policji otarł się o niego w poselstwie angielskim w Pekinie. Bettles zaś, stary wyga, widywał go w Forcie Yukonu przed dziewięcioma laty.

Tak więc Dawson, zawsze podejrzliwe w stosunku do nowych przybyszów, przyjęło z otwartymi ramionami sławnego podróżnika i wybitnego dziennikarza. Szczególnie polubiły go kobiety. Przewodziłwszystkim zabawom, wymyślał wszelkie rozrywki i z czasem utarło się mniemanie, że St. Vincent jest wszędzie nieodzowny. W owym przedstawieniu amatorskim nie tylko dopomógł, ale niepostrzeżenie stanął na jego czele. Frona, wedle zapewnień swoich przyjaciółek „chorowała na” Ibsena”, wybrano więc „Dom lalek”, dając Fronie rolę Nory. Corlissowi, który był odpowiedzialnym za imprezę teatralną, ponieważ pierwszy ją zaprojektował, wypadła rola Torvalda; ale po pewnym czasie Corliss przestał myśleć o przedstawieniu i zrzekł się roli Torvalda, tłumacząc się nawałem pracy. — Wobec tego St. Vincent, nie czyniąc żadnych trudności, wziął na siebie opuszczoną rolę. Corliss przyszedł na jedną próbę. Może jednak dlatego, że zmęczony był czterdziestomilową podróżą na psach, a może dlatego, że Torvaldowi wypadło z roli kilkakrotnie objąć kibić Nory i nawet bawić się jej uchem — tak, czy inaczej, Corliss nigdy więcej na próbę się nie zjawił.

Zajęty był istotnie bardzo i jeśli nie rozjeżdżał, to spędzał czas na naradach z Jakubem Welsem i pułkownikiem Trethavayem. Plany górnicze, omawiane przez nich, były istotnie zakrojone na ogromną skalę, skoro sam Jakub Welse zaangażował się na dobre kilka milionów. Corliss był przede wszystkim człowiekiem pracy i czynu, pojawiwszy więc, że jego wiedzy teoretycznej brak doświadczenia praktycznego, gorączkowo zabrał się do roboty. Dziwił się nawet krótkowzroczności ludzi, którzy powierzyli mu pracę tak odpowiedzialną, jedynie na mocy dobrego dyplomu. Powiedział to nawet kiedyś pułkownikowi. Stary jednak, widząc pewne braki młodego, lubił go niezmiernie za szczerość i podziwiał czynione wysiłki oraz wrodzoną szybkość orientacji.

Del Bishop, który nie życzył sobie pracować dla kogo bądź, prócz siebie samego, przyjął jednak robotę u Corlissa, bo tym lepiej mógł przy nim prowadzić własne sprawy. Przysługiwała mu bowiem po dawnemu swoboda ruchów a polepszyły się znacznie techniczne warunki pracy. Zaopatrzone w żywność i znakomity zaprząg, objeżdżać musiał wszystkie potoki i działki, patrząc, węsząc i słuchając, co działo się wokoło. Typowy i fachowy kopacz - górnik, zamiłowany w swoim zawodzie, stale poszukiwał najlepszych działek, co właśnie łączyło się doskonale z obowiązkami względem Corlissa. W miarę więc, jak czas płynął, Del Bishop nabił sobie głowę mnóstwem wiadomości dotyczących natury, rozmiaru i położenia rozmaitych pokładów; oczekiwał teraz lata, kiedy stopnieją lody i można będzie zbadać każdą żyłę od łóżyska potoku aż do jej źródła.

Corliss był dobrym pracodawcą, płacił hojnie i uważał, że ma prawo orać człowiekiem tak, jak orał sam. Ci, którzy pracowali u niego mieli dwa wyjścia: albo zmęźnieć, wydobyć z siebie pełne napięcie sił i pozostać, albo umknąć i wymyślać za plecami. Jakub Welse zauważył ten szczegół i na wszystkie strony wychwalał nowego inżyniera. — Frona usłyszała i była rada, lubiła bowiem to wszystko, co lubił ojciec. Ale szczególnie rada była dlatego, że chwalono właśnie Corlissa. Obecnie, wobec jego licznych zajęć, widywała go mniej niż przedtem, za to St. Vincent bywał często i coraz częściej. Panience podobało się jego zdrowe, optymistyczne usposobienie, poza tym cały wydawał jej się wcieleniem ideału mężczyzny kulturalnego, lecz pierwotnego i ulubionym typem rasowym. Jej początkowe wątpliwości — czy aby mówi prawdę — rozproszyły się zupełnie. Przeczyły im wszystkie informacje osób postronnych. Zresztą ci nawet, którzy niedowierzająco słuchali o przygodach St. Vincenta, poddali się, kiedy sami usłyszeli, jak opowiadał. Ci, którzy znali owe kraje, stwierdzali, że nie blaguje i wie, o czym mówi. Młody Soley, przedstawiciel Syndykatu Prasowego Bannocka i Holmes z Fairweather pamiętali powrót St. Vincenta na świat boży w 91-szym i wrażenie, jakie powrót ów wywołał. I Sid Winslow,

dziennikarz znad Pacyfiku, poznał go w Klubie Podróżników wkrótce potem, jak St. Vincent zeszedł był z pokładu kutra celnego Stanów Zjednoczonych, przybyłego z dalekiej Północy. Poza tym Frona widziała doskonale ślady jego przeżyć w sposobie bycia i w poglądach na świat. Mocno grała w nim pierwotna żywiołowość człowiecza i wielka ambicja rasy, która szczególnie odpowiadała Fronie. Podczas nieobecności Corlissa przebywali często razem, jeździli nieraz sankami i poznawali się coraz lepiej.

Wszystko to dręczyło Corlissa, zwłaszcza gdy dziennikarz zagarniał i psuł mu nawet te krótkie i rzadkie chwile, które Corliss mógłby spędzić z Froną. Rzecz prosta, że ani inżynier, ani żaden ze świadków awantury w barze nie czuł sympatii dla pięknego podróżnika. Tret-havay miał nieostrożność odezwać się o nim ze dwa trzy razy dość lekceważąco, wielbiciele jednak bronili go tak zajadle, że pułkownik zamilkł, w imię dobrego smaku. Pewnego razu Corliss słuchając panegiryków na temat St. Vincenta z ust pani Schoville, pozwolił sobie na zuchwałość uśmiechu powątpiewania, ale gwałtowna fala rumieńca i zmarszczenie brwi Frony ostrzegły go, że lepiej nie zaczynać.

Innym razem był dość niemądry i dostatecznie gniewny, żeby sprowadzić rozmowę na temat awantury w gospodzie. W uniesieniu byłby powiedział coś takiego, co nie świadczyłoby dobrze ani o nim, ani o tamtym, na szczęście jednak, uratowała go Frona, odezwawszy się zawczasu:

— Tak, tak, pan St. Vincent mówił o tym zajściu. Spotkał wtedy pana po raz pierwszy, zdaje się. Pan, wraz z pułkownikiem, walczył nader lojalnie przy boku pana St. Vincent. Mówił o panu z podziwem, a nawet z entuzjazmem.

Corliss machnął ręką.

— Nie, nie, z tego, co mi opowiadał, widzę, że pan zachował się wspaniale. Tak miło mi było to słyszeć. Co to musi być za rozkosz pozwolić od czasu do czasu obudzić się zwierzęciu, które w nas mieszka! Szczególniej dla nas, inteligentów, oderwanych tak dawno od natury i chorobliwie przejrzałych.

Zrzucić z siebie sztuczność i poszaleć na całego! A jednocześnie gdzieś z głębi duszy drugie, trzeźwe, rozsądne „ja” przygląda się i powiada: To również jestem ja. W tej chwili bezsilny, a przecież jestem motorem owej siły i rządę nią. Tamto drugie „ja”, prastare, gwałtowne, szaleje ślepo jak zwierzę, ale oto „ja” patrząc z oddali, oceniam przyczyny, ważę siły i rozkazuję szaleć dalej lub odzyskać spokój." Ach, jak cudownie jest być mężczyzną!

Corliss nie mógł pohamować dobrodusznego uśmiechu, przeciwko któremu Frona zaraz zaczęła się bronić.

— Proszę mi powiedzieć, panie Vance, czy tak się czuje? Czy źle to opisałam? Czy pan tak to przeżył? Stał pan z daleka i patrzył na swoje własne zwierzęce „ja”?

Corliss przypomniał sobie oszołomienie, które odczuł, zwaliwszy człowieka, potwierdził więc przypuszczenia Frony.

— A duma? — pytała bezlitośnie. — Albo wstyd?

— Hm... po trochu jedno i drugie. Raczej więcej dumy niż wstydu — wyznał. — Przez chwilę istotnie o władnęło mną półprzytomne uniesienie; potem nadszedł wstyd i nie mogłem spać przez pół nocy.

— A ostatecznie?

— Chyba duma. Nie mogłem jej zdławić. Obudziłem się z uczuciem zwycięzcy. "Podświadomie byłem sam ze siebie niezwykle dumny i od czasu do czasu chwytalem sam siebie na gorącym uczynku zadzierania nosa. Potem znowu napłynął wstyd i próbowałem z wysiłkiem powrócić sobie szacunek do własnej mizernej osoby. Wreszcie zwyciężyła duma. Przecież walka była uczciwa. I ja jej nie wywołałem. Zmusiły mnie do niej najszlachetniejsze pobudki. Nie żałuję i powtórzę to raz jeszcze, o ile zajdzie potrzeba.

— Zupełnie słusznie: — Oczy Frony rzucały iskry. — A jak zachował się pan St. Vincent?

— On?... Przypuszczam, że tak jak należało. Byłem zbyt zajęty swoim „drugim ja”, żeby móc uważać aa innych.

— On jednak widział pana.

— Być może. Przyznaję się do roztargnienia. Byłbym się przyjrzał, gdybym przypuszczał, że to tak bardzo panią zainteresuje. Przepraszam za kiepski dowcip. Prawdę mówiąc, zbyt byłem pochłonięty walką, żeby widzieć, co robią sąsiedzi.

Corliss odszedł rad, że nie wypalił prawdy, jednocześnie zaś podziwiał spryt St. Vincenta. Widocznie podróżnik opowiedział o tej przygodzie w swój zwykły skromny, tuszujący samego siebie sposób.

Dwaj mężczyźni i jedna kobieta! Najpotężniejsza trójca sił, stwarzających tragedie człowiecze! Jak ongiś w historii praludzkiej, kiedy pierwszy ojciec opuścił swe schronienie na drzewie i chodzić zaczął wyprostowany po ziemi — tak i teraz w Dawson. Do owego splotu dołączyły się również czynniki podrzędne. Nienajmniejszym stał się Del Bishop, który ze zwykłą swą zaczepnością wtracił się nieproszony i przyspieszył bieg wypadków. Zaszło to w obozie podróznym na drodze ku potokowi Millera, gdzie Corliss zajęty był komasacją wielkiej ilości drobnych uboższych działek, które mogły być należycie wyzyskane jedynie przy złączeniu w całość.

— Tam do licha, nie będę w tym przeklętym kraju długo świeczki palił, jak tylko zdybię to, czego szukam — zauważył z wściekłością Del Bishop, osadzając fusy kawy kawałeczkiem lodu.

— Tylko co będziesz palił, kochasiu — naftę? — uśmiechnął się Corliss, wycierając patelnię kawałkiem słoniny.

— Niedoczekanie nafty! Nie będzie tu mego dychu ani słychu, jak się raz kopnę do kraju bogów! Flota w kieszeni, słońce na gębie. Co? Przydałby się teraz soczysty befsztyczek ze świeżą cebulką i [Smażonymi kartofelkami? Hę? To będzie pierwsza frajda, jaką sobie fundnę. Potem generalne hop-la! na jakiś tydzień do Frisco albo do Seattle, a potem...

— Koniec z flotą i jazda szukać roboty.

— Nie na pana szanownego podwórko! — ryczał Bishop. — Schowam kiesę, zanim się puszcę na hulankę, a potem — południowa Kalifornia. Jużem sobie upatrzył małą fermę owocową; czterdzieści tysięcy — i będzie moja. Skończy się moje pieskie harowanie. Jużem sobie dawno obmyślił. Najmę ludzi do roboty, faceta do pilnowania, a sam będę tylko posiadał, władał — i wydawał zyski. Para gniadoszów w stajni, jak się patrzy. Zawsze gotowe siodła i wjuki, żeby móc wyruszyć, jak tylko napadnie gorączka złota. Warto tam pokopać ku wschodowi i wzdłuż pustyni...

— A o domu na fermie ani słychu?

— Owszem! Domek jak się patrzy. Groszek pachnący na ścianach i warzywnik za domem: fasola, szpinak, rzodkiewka, ogórki, szparagi, rzepa, marchew, kapusta!... A w domu żonka, żeby mnie ciągnęło z powrotem, kiedy ucieknę szukać żyły. Tak, tak, wszystko pan wie o kopaniu złota. Ale czy pan zna gorączkę złota? Gorączkę szukania żyły? Nie? No to radzę iść przed siebie i nie patrzeć na strony. To gorsze niż wódka, karty albo wyścigi. Jedyne na to rada — kobieta. Jak tylko tamto ułapi — zaraz się żenić. Tylko baba może uratować. A czasem już nawet baba nie pomoże. Ja powinienem był to dawno zrobić. Może by jeszcze co ze mnie wyszło. Jezu! Ile dobrych okazji opuściłem, ile już stracił w życiu, a wszystko przez te żyły! Pan, panie Corliss, powinien się też ożenić. I to zaraz. W oczy panu mówię. Proszę przyjąć moje ostrzeżenie i nie siedzieć w samotności dłużej, niż Pan Bóg przykazał.

Corliss roześmiał się.

— Serio. Starszy jestem i wiem, co gadam. Hm, tam w Dawson jest smaczny kąsek i chciałbym, żeby dostał się panu. Stworzeni jesteście jedno dla drugiego.

Corliss już dawno wyszedł z tej fazy, w której trzy grosze Bishopa uznaliby za zuchwalstwo. Szlak, który zawija ludzi we wspólny koc i czyni ich braćmi, wyrównuje też wszelkie różnice społeczne. Corliss wiedział już o tym. Gryzł więc dalej placek i trzymał język za zębami.

— Czemuż nie spróbować? A nuż się wygra? — nastawał obcesowo Del. — Nie podoba się panu? Wiem, że się podoba. Nie wracałby pan od niej do domu jak na skrzydłach. Lepiej spróbuj pan, dopóki są szanse. Była sobie kiedyś niejaka Emmy, piękny kawał dziewczuchy. Pociągnęło nas do siebie, jakby kto kleił. Ale ja wciąż polowałem na żyły i zasypiałem gruszki w popiele. A wtedy jakiś wielki czarny obwieś zaczął się do niej przylewać. Już, już miałem się oświadczyć — pojechałem tylko jeszcze na jedno polowanko, na jedno jedyne, i kiedym wrócił, panna Emmy była już panią Taką-a-Taką.

— Więc radzę uważać. Kręci się tam ten pisarzyna, ten dureń, którego poczęstował koło gospody. Ciągłe łązi i wzdycha. A pan akurat, jak ja. Wędruje sobie po okolicy, a małżeństwa nie pilnuje. Zapamiętaj pan moje słowa, panie Corliss! Pewnego zimowego wieczoru w tęgi mróz wróci pan do miasta i zastanie pan tych dwoje w ciepłym gniazdku razem. Na pe! A panu co w życiu pozostanie? Polowanie na żyłki.

Perspektywa była tak nieprzyjemna, że Corliss odwrócił się i kazał milczeć.

— Kto ma milczeć? Ja? — zagadnął Del tak agresywnie, że Corliss wybuchnął śmiechem.

— No więc cóż należy zrobić? Słucham — zapytał Corlis.

— Zaraz panu to wszystko po dobroci wyklaruję. Jak tylko pan wróci — czym prędzej do panny. Umówić się na dni i na godziny, i zapisać sobie nawet, żeby aby nie zapomnieć. Zabrać jej całutki wolny czas, żeby tamtego jegomościa odstawić: Bardzo przed nią w proch nie padać — ona nie taka — ale się też zanadto nie wywyższać. W sam raz pośrodku, uważa pan. A potem, któregoś dnia, jak pan zobaczy, że panna w dobrym humorze i uśmiecha się tak, jak to ona potrafi — wstać i prosić o rękę. Naturalnie nie mogę panu wyklarować, jak to ma być. Sam pan wymyśl. " Ale nie zwlekaj zanadto. Lepiej ożenić się wcześniej niż nigdy. A jeśli tamten bubek wejdzie w drogę — po łbie go! To mu wystarczy. A jeszcze lepiej, weź go pan na stronę i przemów do rozumu, jak się patrzy. Powiedz mu pan, że jesteś gwałtownego usposobienia i że obsadziłeś tę działkę, kiedy on miał jeszcze mleko pod nosem i że dostanie po łbie, jeśli będzie nos wsadzał tam, gdzie nie potrzeba.

Del Bishop wstał, przeciągnął się i wyszedł nakarmić psy. — A nie zapomnij pan: w łeb! — dorzucił od drzwi.

— Jeżeli panu szkoda rąk, proszę tylko huknąć na mnie. Już ja zdążę na porę.

ROZDZIAŁ XII

— Ach, olbrzymie masy słonej wody, panno Welse, potężne fale i wielki statek zdalny na czas ciszy i na czas burzy — to znam dobrze. Ale na słodkiej wodzie się nie znam i na tych maleńkich łódkach, jak skorupki jaj i łupiny orzechów; jedno mocniejsze westchnienie, jedno szybsze uderzenie serca — bęc i już w wodzie. — Baron Courbertin uśmiechnął się z miną winowajcy i ciągnął dalej: — Nie wątpię jednak, że to wspaniały sport. Patrzałem i zazdrościłem. Z czasem się nauczę.

— Wcale nie tak trudno — podjął St. Vincent. — Prawda, panno Welse? Tylko trochę przytomności umysłu i równowagi ciała...

— Jak taniec na linie, co?

— Pan jest niepoprawny — zaśmiała się Frona. — Pewna jestem, że pan nie gorzej zna się na łódkach niż my.

— Więc i pani się zna? Kobieta? Jakim sposobem? — Francuz zjeździł cały świat, ale zaradność i niezależność Amerykanek zawsze budziła jego podziw.

— Zapoznałam się z łódkami będąc jeszcze małą dziewczynką w Dyea i mieszkając pośród Indian. Na wiosnę, jak ruszą lody, oboje z panem St. Vincentem damy panu pierwszą lekcję wiosłowania. W ten sposób wróci pan do cywilizacji ze zwiększonym wykształceniem. Zobacz pan, jak pan polubi łódki.

— Pod tak czarującym kierownictwem... — wyszeptał z galanterią. — A pan, panie St. Vincent, czy również przypuszcza, że mógłbym nawet polubić łódki? Czy pan je polubił? Pan, który zawsze pozostaje w cleniu i żałuje słów? Pan, niezbadany i jakby zawsze ukrywający skąpo jakieś skarby rozumu i doświadczenia? — Baron szybko spojrzał na Fronę. — Jesteśmy starymi przyjaciółmi, wie pani? Więc mam prawo trochę sobie z niego pokpić. Czyż nie tak, panie St. Vincent?

Gregory skinął głową, a Frona zagadnęła: — Zapewne spotkali się panowie gdzieś na końcu świata?

— Yokohama — uciął krótko St. Vincent. — Jedenaście lat temu, w czasie kwitnienia wisien. Uważam jednak, że baron Courbertin popełnił w stosunku do mnie niesprawiedliwość, mianowicie, niestety, określił mnie niesłusznie. Mam wrażenie, że jak już raz zacznę, to mówię o sobie zbyt wiele.

— Tyran swoich przyjaciół! — zażartowała Frona. — A może raczej opowiadacz tak ciekawych historyj, że przyjaciołom trudno jest nie upomnieć się o nie od czasu do czasu.

— Opowiedz pan jaką przygodę na łódce — poprosił baron. — Tylko dobrą! Żeby, jak to wy, Yankesi, mówicie, „włosy stawały na głowie”.

Przysunęli fotele do wspaniałego, żarzącego się kominka pani Schoville i St. Vincent opowiadać począł o wielkim wirze w Kanionie Boxu, o strasznym wodospadzie w grzywie porohów Białego Konia i o swoim tchórzliwym towarzyszku, który sam poszedł okrężną drogą, a jego z łódką posłał prosto. Działo się to przed laty dziewięciu, kiedy Yukon był jeszcze prawie nieznan.

W pół godziny później, do salonu wtargnęła pani Schoville w towarzystwie Corlissa.

— Ach, ten pagórek! Tchu złapać nie mogę! — jęknęła zdejmując rękawice. — Ależ nie mam szczęścia tym razem! — oświadczyła po chwili już nieco silniejszym głosem. — To przedstawienie nigdy nie dojdzie do skutku. Nigdy nie zostanę panią Linden! Jakżeż mam zostać? Krogstad wybrał się nad rzekę Indian i nikt nie wie, kiedy raczy powrócić! Krogstada (wyjaśniła w stronę Corlissa) gra pan Maybrick, A pani Alexander ma newralgię i nie może wychodzić z domu. Wobec tego dzisiaj próby nie będzie. Kłapa. — Tu pani Schoville przybrała dramatyczną pozę: — „Tak, pod wpływem pierwszego przerażenia! Ale dzień minął i podczas tego dnia ujrzałam straszne rzeczy w tym oto domu! Helmer musi dowiedzieć się o wszystkim! Trzeba raz skończyć z tą nieszczęsną tajemnicą! O Krogstad, jestem ci potrzebna, ty zaś... ty jesteś potrzebny mnie, a tymczasem siedzisz sobie nad rzeką Indian, pieczesz chleb z kwaśnego ciasta i nigdy cię już więcej nie ujrzę!...

Towarzystwo dało zgodne brawo.

— Moją jedyną nagrodą za daremne chodzenie i za pozostawienie państwa samych, jest spotkanie z tym oto dziwacznym panem. — Tu ukazała spoza siebie Corlissa. — Ach, panowie się nie znają! Baron Courbertin — pan Corliss. Jeżeli pan znajdzie bogatą żyłę, baronie, radzę panu sprzedać ją panu Corlissowi. Posiada kiesę Krezusa i wszystko kupuje co dobre. A jeśli pan się przekona, że żyła nic nie warta, to również niech pan mu sprzeda. Jest zawodowym filantropem, uważa pan.

— Proszę sobie wyobrazić! — (zwróciła się do całego towarzystwa) — ten dziwaczny młodzieniec ofiarował się łaskawie odprowadzić mnie aż na wzgórze i poplotkować po drodze — poplotkować! Za to kategorycznie odmówił wejścia i przyjrzenia się naszej próbie. Dopiero jak się dowiedział, że próby nie będzie, zmienił humor jak chorągiewka na dachu. Więc oto jest. Usprawiedliwia się, że był dotychczas nad potokiem Millera; ale prawdę powiedziawszy nie wiadomo, jakie tam ciemne sprawy...

— O, ciemne sprawy, patrzcie państwo! — przerwała Frona, wskazując na koniuszek bursztynowej fajki, wyglądający z kieszeni kamizelki Corlissa. — Fajeczka! Winszuję.

Podala rękę, którą uściśnął wesoło.

— To wina Dela — roześmiał się — kiedy stanę przed wielkim, białym tronem, Del zostanie wezwany do odpowiedzialności za ten właśnie mój grzech.

— Bądź co bądź, postępowanie — pochwaliła Frona. — Teraz pozostaje nam życzyć panu jeszcze tylko paru soczystych słóweczek.

— O, upewniam panią, że umiem już niejedno — odparł. — Nikt nie mógłby bez nich popędzać psów. Umiejętność kłąć od piekła aż do śniadania i z powrotem, o ile panie pozwolą, aż do potępienia duszy. Tak na przykład kości faraona albo krew Judasza doskonale wpływają na szybkość zaprzęgu, ale najlepszych okazji mojej wymowy nie wytrzyma żadne ucho kobiece. Obiecuję paniom jednak, że co się tyczy piekła i powodzi...

— Ach! Ach! — zapiszczała pani Schoville, zatykając paluszkami uszy.

— Pani — przemówił uroczyście baron Courbertin. — Faktem jest i pożałowania godnym faktem, iż psy Północy więcej spowodowały śmierci ludzkich, niż wszystkie inne przyczyny razem wzięte. Czyż nie tak? Pozostawiam to panom do rozstrzygnięcia.

Zarówno Corliss, jak St. Vincent potwierdzili poważnie i dalej zbijali z tropu damę rozdzierającymi serce i nieprawdopodobnymi historiami na temat psów. St. Vincent i baron pozostali na śniadaniu u żony Komisarza, Frona zaś i Corliss schodzili razem ze wzgórze. W milczącym porozumieniu, jakby chcąc przedłużyć drogę, skręcili na prawo, przecinając niezliczoną ilość ścieżek i kotlin, wiodących wprost ku miastu. Dzień był grudniowy, jasny i zimny. Nieśmiałe słońce wczesnego popołudnia, z trudem podniósłszy swój blady krąg ponad południową linię widnokregu, zdawało się lękać pełnej drogi ku zenitowi i rozpoczęło już wstydlivy poślizg ku ziemi. Skośne promienie odbijały się od polatujących w powietrzu niezliczonych igieł śnieżnych, aż świat zdawał się pełen roziskrzonego brylantowego pyłu — oślepiający, rozplamieniony, ognisty, a przecież chłodny, jak przestrzenie międzyplanetarne.

Szli w dół przez magiczną zasłonę z blasków, mokasyny rytmicznie skrzypiały w śniegu, oddech tajemniczym obłokiem opalizował wokół twarzy. Żadne z nich nic nie mówiło, ani mówić nie chciało — tak piękny był świat. U ich stóp, pod wielkim stropem niebios, niby drobna plamka pośród białej pustki, widniało sklecone naprędce miasto złota — małe i nędzne, zbuntowane słabo przeciwko niezmierzonej przestrzeni, niby wyzwanie człowieka rzucone nieskończoności.

Krzyki ludzi na biegnące psy odezwały się tuż za nimi. Przystanęli. Rozległo się ostre naszczekiwanie i skrzyp kroków. Zaprzęg ośnieżonych wilczurów o wywieszonych językach biegł ze wzgórza i skręcał ku jednej z pobliskich ścieżek. Leżąca na sankach długa i wąska skrzynia z nieheblowanej sosny, świadczyła wymownie o naturze zamkniętego w niej ciężaru. Dwóch poganiaczy, jedna stąpająca na oślepie kobieta i czarny ksiądz stanowili cały kondukt. O parę kroków dalej droga poczyniała biec ku górze, więc wśród pisku psów, strzelania biczów i krzyku poganiaczy, powleczony został proch człowieczy ku zaśnieżonej kapliczce na stoku.

— Zdobywca nowych stref — wymówiła Frona. Corliss czuł tak samo, więc odpowiedział.

— Tak, wojownicy mrozu, rycerze głodu! Rozumiem teraz dobrze, w jaki sposób najsilniejsze rasy ludzkie zapanowały nad krajami północy. Mocni w decyzji, mocni w trwaniu, obdarzeni nieskończoną wiarą i niewyczerpaną cierpliwością. Czy można się dziwić?

Frona patrzyła na Corlissa w wymownym milczeniu.

— „Wznieśliśmy do ciosu miecze nasze w radości tak wielkiej, jakby jasna oblubienica weszła w łożnicę naszą. I szliśmy z mieczami krwawymi a w ślad za nami ciągnęły kruki. Walczyliśmy w szaleństwie; ogień pożarł strzechy” nieprzyjaciół. Spaliśmy we krwi tych, którzy trzymali straż u bram” — cytował śpiewnie Corliss.

— Czyż tak właśnie czuje pan, Vance? — zawołała Frona, dotknąwszy jego ręki błyskawicznym chwytem palców.

— Raczej zaczynam tak czuć. Północ mię nauczyła, Północ mnie uczy. Stare słowa powracają pełne nowej treści. A przecież sam nie wiem. Niekiedy myślę o zdobyczości naszej, jak o potwornym samolubstwie, a może tylko jak o cudownym śnie.

— Nie jest pan przecie ani Murzynem, ani Mongołem, ani ich potomkiem.

— Tak — rozważał. — Jestem potomkiem moich przodków, potomkiem Wikingów, którzy nie spali nigdy pod zadymioną strzechą i rogi myśliwskie suszyli przy leśnym ognisku.

— Musi istnieć przyczyna, dla której czarni zatrzymali się od tylu lat w swoim rozwoju, Teutonowie zaś zdobywają ziemię, jak nigdy nie zdobywał nikt inny. Istnieje widocznie coś w dziedzictwie rasowym, inaczej nie czułbym uniesienia od samego dźwięku tych słów.

— Wielka rasa, Vance. Należy do niej pół kuli ziemskiej i nieomal całe morze! A dokonało tego zaledwie sześćdziesiąt pokoleń! Pomyśleć tylko! Sześćdziesiąt pokoleń! Dzisiaj naród ów szerzej niż kiedykolwiek rozpościera ramiona. Niosący ogień i miecz pośród narody! Ale też wielki budowniczy i wielki prawodawca. O, Vance, ślepo, namiętnie kocham mój naród i Bóg mi to przebaczy, bo miłość ta jest dobra. Wielka rasa i wielkie jej przeznaczenia. A jeśli synowie jej giną, giną w chwale. Czyż nie pamięta pan:

„Drży i chwieje się jesion Yggdrasila, choć stoi jeszcze; jęczy drzewo prastare i oto Jötum Loki zrywa swoje więzy. Cienie jęczą po drogach Helu, dopóki ognie Surta pożerają drzewo. Wichr prze od wschodu, powstają wody wzburzone, olbrzymie węże skręca gniew, czerwia biją wody, orły krzyczą; dziobami uderzają w burty; statek Naglfara jest wolny. Surt przybywa z południa, niosąc płomienie; w mieczu jego lśni bóg-słońce, Val”.

Rozkołysana rytmem kroków i melodią słów, opiewających zmagania śmiertelne bogów i ludzi — Frona, niby Walkiria, zaszyta w zbroję futer, rozplomieniła wyobraźnię Corlissa. Krew, pełna dygotu uniesienia, zatętniła mu w żyłach inaczej, mocniej, płomienniej.

„Góra uderza o górę, chwieją się olbrzymy, ludzie wstępują na ścieżę Helu, otwierają się niebiosa. Słońce mierzchnie, ocean pochłania ziemię, jasne gwiazdy padają z wysokości, oddech ognia ogarnia drzewa żywiące, płomień strzela w niebo jak wieżyca...”

Odcięta ciemnym kształtem na brylantowym tle mroźnego powietrza, muśnięta kryształkami szronu po brwiach i rzęsach, opromieniona śnieżnymi iskrami, rumiana w czerwonym blasku gasnącego słońca, Frona wydała się patrzącemu mężczyźnie natchnionym geniuszem rasy. Zagrała pieśń starej krwi. Corliss poczuł się prawym synem jasnoskórych, złotowłosych olbrzymów dawnego świata. I kiedy patrzył na mówiącą kobietę, potężna przeszłość wyrosła mu przed oczyma, a tajemne, głębokie komory duszy ozwały się echem zapomnianych walk. walk. Wśród ryku burz i bicia burych fal Morza Północnego, ujrzał zjawę ostrodziobych galeonów bitewnych i postaci osmaganych przez wiatry Normanów, muskularnych, szerokopierśnych synów żywiołu, ludzi ognia i miecza, postrach i zdobywców ciepłych krajów południa. Zgiełk dwudziestu wieków bitew zahuczał mu w uszach, duszę porwała żądza powrotu do starej prawdy: żywiołu. Gwałtownie pochwycił obie ręce dziewczyny.

— Bądź moją jasną oblubienicą, Frono! Bądź moją jasną oblubienicą!

Zatrzymała się i spojrzała pytająco. Potem nagle zrozumiała treść usłyszanych słów i cofnęła się mimo woli. Słońce dotknęło ziemi ostatnim drżącym promieniem i znikło. Blask natychmiast zgasł w powietrzu, dzień zmierzchnął. Gdzieś daleko żałośnie zawyły psy.

— Nie — przerwał słowa wzbierające na jej ustach. — Nie trzeba nic mówić. Już znam pani odpowiedź, mój wyrok. Ja... ja byłem szalony Chodźmy, chodźmy do miasta.

Dopiero kiedy zeszli z góry, przebyli równinę i wyszli nad rzekę koło tartaku — rozgwar ludzkiego życia uspokoił ich o tyle, że byli w stanie przemówić. Corliss szedł ze spuszczoną głową, Frona wyprostowana i patrząca na wszystkie strony, niekiedy zaś ukradkiem na twarz mężczyzny. Kiedy droga przeszła w szeroki wyślizgany trakt do tartaku, Corliss zwrócił się ku towarzysze, żeby jej pomóc iść. Wtedy dopiero spotkały się ich oczy.

— Bardzo... bardzo mi przykro... — wymówiła chwiejnie Frona, po czym dodała w odruchu nieświadomej samoobrony: — To było tak... niespodziewane. — w danej chwili.

— Byłaby pani zapobiegła w porę? — zapytał gorzko.

— Tak. Myślę, że tak. Nie chciałam martwić pana...

— Ach, więc jednak przewidywała pani, że kiedyś?...

— Tak. I bałam się. Ale wierzyłam, że może... ja... Vance, wie przyjechałam do Klondike, żeby wyjść za mąż. Polubiłam pana od razu, lubiłam potem coraz więcej, nigdy tak bardzo jak dzisiaj... ale...

— Ale nigdy nie pomyślała pani o mnie jako o możliwym przyszłym mężu — zapewne to właśnie próbuje pani wyrazić? Mówiąc spojrzał na nią bokiem, lecz ostro. Odwróciła głowę i popatrzyła mu w oczy z tą samą dawną szczerością. Wtedy poczucie, że oto traci tę dziewczynę szarpnęło mu serce gniewem i męką.

— Owszem — odparła wreszcie Frona — myślałam o panu nawet w ten sposób, ale... ale czemuś mi to nie odpowiadało. Czemu — nie wiem. Tyle rzeczy mi się w panu podoba... tyle...

Próbował przerwać gestem lekceważenia, ale ona nie zamilkła.

— Tyle rzeczy uważam za godne zachwytu. Mam dla pana całe ciepło przyjaźni, więcej — zżycia, koleżeństwa. Ale nic więcej. I chociaż nie życzyłam sobie niczego więcej, byłabym powitała chętnie, gdyby przyszło.

— Jak się wita niepożądanego gościa.

— Czemuż mi pan utrudnia, Vance, zamiast dopomóc? Panu jest ciężko, ja wiem, ale czy pan przypuszcza, że mnie jest przyjemnie? Martwię się za pana, a przy tym wiem, że jeśli się odmawia miłości, to się traci przyjaźń. A ja niełatwo rostaje się z przyjaciółmi.

— Widzę to. Przegrałem podwójnie. I miłość, i przyjaźń. Pani zastąpi je sobie z łatwością. Połowę przegrałem, zanim przemówiłem. Czas wszystko kot. Nowe znajomości, nowe myśli, twarze; mężczyźni, pełni niezwykłych przygód...

Przerwała mu gwałtownie.

— Nie warto, Vance. Słowa tu nic nie pomogą. Nie chcę kłócić się z panem. Rozumiem, co pan czuje.

— O ile pani uważa, że skłonny jestem do kłótni, to lepiej będzie, jeśli panią pożegnam .— Zatrzymał się nagle. Frona stanęła również. — Idzie właśnie Dave Harney. Odprowadzi panią do domu. Już tylko parę kroków.

— Robi pan krzywdę zarówno sobie, jak mnie — przemówiła nagle z mocą Frona. — Nie zgadzam się, żeby taki miał być koniec naszej znajomości. Zbyt bliscy byliśmy sobie — powinniśmy umieć się porozumieć. Musi pan przyjść i pogadać ze mną, kiedy oboje będziemy spokojniejsi. Nie zgadzam się, żeby pan mnie traktował w ten sposób. To dziecinnie z pana strony. — Spojrzała śpiesznie na zbliżającego się Harneya. — Nie zasłużyłam na to. Nie chcę stracić pana jatko przyjaciela. Żądam, żeby pan przyszedł i żeby wszystko zostało po staremu.

Potrząsnął głową.

— Hallo! — Dave Harney dotknął ręką czapki.

— Szkoda, że nie poszliście państwo w moje ślady. Psy podskoczyły od wczoraj o dolara na funcie i wciąż idą w górę. Dobry wieczór, panno Welse i panie Corliss. Czy w moją stronę?

— Panna Welse idzie właśnie w pana stronę. — Cor liss dotknął czapki i półobrócił się na pięcie.

— Dokąd pan tak śpieszy? — wołał Dave.

— Mam naznaczone spotkanie — skłamał Corliss.

— Proszę nie zapomnieć przyjść do mnie! — krzyknęła za nim Frona.

— Bardzo jestem teraz zajęty. Boję się, że nie będę mógł. Do widzenia państwu.

— Ten zawsze zajęty! — zauważył Dave, patrząc na odchodzącego. — I zawsze nie byle czym. Wielkie sprawy, wielkie interesy! Ciekawym, czemu nie zajmie się psami?

ROZDZIAŁ XIII

Corliss przyszedł jednak do Frony i w dodatku jeszcze tego samego dnia. Krótka, gorzka rozmówka z sobą wystarczyła, żeby go przekonać, jak był dziecinny. Ból straty był ciężki, ale myśl o tym, że odtąd będzie dla Frony niczym, że jej ostatnie wspomnienie o nim będzie złe — myśl ta bolała równie mocno, a może nawet mocniej. Poza tym był naprawdę zawstydzony. Uważał teraz, że należało przyjąć przegraną bardziej po męsku, szczególnie, o ile z góry nie był pewien pomyślnego wyniku.

Odwiedził więc Fronę i poszedł z nią na spacer w kierunku koszar, próbując po drodze, nie bez pomocy panienki, zniszczyć owo zmieszanie, które istniało między nimi od czasu poprzedniej rozmowy. Mówił słowa rozsądne i łagodne, które Frona przyjmowała bardzo miękko. Byłby się wziął na dobre do przeprosin, gdyby mu dziewczyna nie przerwała.

— Nie ma pan na sumieniu żadnej najmniejszej nawet winy — powiedziała. — Gdybym była na pana miejscu, na pewno postąpiłabym tak samo, a może zachowałabym się jeszcze bardziej obrażająco. Bo pan zachował się obrażająco... wie pan?

— Ale jeśli bym ja był na pani miejscu, a pani na moim, nie byłoby żadnej potrzeby — odpowiedział Corliss, próbując zażartować...

Frona uśmiechnęła się, rada z iskierek humoru.

— Niestety jednak nasze zwyczaje towarzyskie nie pozwalają na podobne odwrócenie sytuacji — dodał po to tylko, żeby podtrzymać rozmowę.

— Ach — zaśmiała się panna — tu właśnie widać mój jezuityzm. Potrafiłabym bez wahania... wznieść się ponad ów zwyczaj towarzyski.

— Czyż chce pani przez to powiedzieć, że...

— Naturalnie. Pan jest zgorszony, jak zwykle. Nie, nie byłabym tak nieokrzesana, żeby powiedzieć wprost, ale okazałabym pośrednio, wypowiedziałabym z finezją. Wniosek byłby ten sam, tylko subtelniej wyrażony. Jednym słowem, odmiana, ale nie różnica.

— Czyżby pani potrafiła? — zapytał.

— Pewna jestem, że tak, o ile by tego wymagały okoliczności. Nie jestem skłonna do wypuszczenia z rąk tego, co uważam za swoje szczęście. To dobre w sentymentalnych powieściach. Ja należę — jak twierdzi mój ojciec — do typu walczących i zdobywców. Będę walczyła zawsze o to, co wydaje mi się wielkie i święte, choćby pioruny z nieba biły.

— Sprawił mi pan prawdziwą i głęboką radość, Van-ce — powiedziała na pożegnanie przy bramie koszar. — Niech wszystko pozostanie po staremu. Nie myślę o panu mniej życzliwie, raczej znacznie, znacznie więcej.

Corliss jednakże, po kilku obowiązkowych wizytach, zapomniał drogi wiodącej do domu Jakuba Welse'a i z dziką zawziętością zabrał się do pracy. Nieraz nawet zdobywał się na hipokryzję winszowania samemu sobie przegranej wobec panny i rysowania obrazów niewątpliwie ponurej przyszłości, wynikłej z nierozzerwalnego związku z Froną. Ale tylko niekiedy. Zwykle myśl o niej szarpała go jak głód, jak zwykły głód; jedyną na to radą była praca, duża i trudna. Ale wtedy nawet — w podróży czy w obozie uciec mógł od Frony tylko na jawie. Podczas snu zwyciężany był sromotnie i Del Bishop, przebywając z nim często, zauważył jego niespokojny sen i przysłuchiwał się nieraz rzucanym półprzutomnie słowom.

Kopacz dodał sobie dwa a dwa, po czym wyprowadził zupełnie słuszny wniosek z drobnych szczegółów, które zauważyć zdołał. Nie trzeba tu było wielkich zdolności wywiadowczych. Prosty fakt, iż Corliss nie odwiedzał już więcej Frony, wystarczył jako dowód niepowodzenia. Ale Del Bishop poszedł jeszcze o krok dalej i wyrozumował sobie, że przyczyną wszystkiego złego jest St. Vincent. Kilkakrotnie widział korespondenta, to tu, to tam z panną Welse, i spoglądał na to bardzo niechętnym okiem.

— Jak Boga kocham, dam po łbie! — mruknął kiedyś w obozie na jednej ze złotodajnych działek.

— Komu? — zagadnął Corliss.

— Komu? Ano temu pisarzynie, co skrobie do gazet.

— Za co?

— Hm, w ogóle, zasady ogólne. Czemuż mi pan wtedy wieczorem nie pozwolił obrobić go, jak "należy"?

Corliss uśmiechnął się na to wspomnienie.

— Czemuście go wtedy uderzyli, Del?

— Zasady ogólne — uciął Del i zamilkł.

Pomimo jednak swych wojowniczych zamiarów nie zapomniał Del o tym, co najważniejsze, toteż w drodze powrotnej nad rozwidleniem Eldorado i Bonandy — zatrzymał się nagle.

— Panie Corliss — zaczął z punktu — czy pan wie, co to jest złoty garb? — Inżynier skinął na znak, że wie. — Otóż właśnie natrafiłem na taki garb. Nigdy pana o nic nie prosiłem, ale tym razem usilnie proszę, żebyśmy tu zostali do jutra. Zdaje mi się, że moja ferma owocowa jest tuż... tuż... I, do licha, czuję już jak pachną pomarańcze.

— Owszem — zgodził się Corliss. — Ale najlepiej będzie, jeśli ja zaraz wrócę do Dawson, a wy wróćcie jak odkopiecie swój garb.

— Akurat! — zaprotestował Del. — Przecież powiadam wyraźnie, że to nie byle co, tylko garb. Chcę, żeby pan też coś uszczknął. Pan umie całe kupy uczoności z książek. Strasznie pan mądry w laboratorium. Ale przyda się panu też zejść na ziemię i poczytać bez okularów, co na niej napisane. Wymyśliłem sobie taką teoryjkę.

Corliss z udaną zgrozą wznosił ręce ku niebu, wobec czego kopacz począł wpadać w złość.

— Tak, tak, dobrze, śmieję się pan! Ale moja teoria zbudowana jest akurat na pańskiej ulubionej teorii erozji i zmienności łóżyska rzek. Nie na darmo kopałem w Meksyku przez dwa lata. A skądże, myśli pan, wzięło się złoto w Eldorado? Czyste grudki, bez żadnych śladów płukania. Tu właśnie przydadzą się pańskie okulary; Książki zepsuły panu wzrok. Ale nie o to chodzi. Tu nie ma żyły, co się zowie, ale już ja wiem, czego tu szukać. Nie jestem taki, żebym przegapił trop! Mogę panu przez jedną chwilę więcej opowiedzieć szczegółów o potoku Eldorado, niż pan wykombinuje z książek przez cały miesiąc. To nic, niech pan się nie obraża. Proszę tu zostać ze mną do jutra, to fundnie pan sobie fermę owocową tuż obok mojej.

— Dobrze. Niech i tak będzie. Zostanę i przejrzę swoje notatki, a wy sobie możecie węszyć po tym swoim „dawnym łóżysku rzeki”.

— Czyż nie mówiłem panu, że to garb? — jęknął z wyrzutem Del.

— Czyż się nie zgodziłem zostać? Czegóż jeszcze chcecie?

— Chcę panu ofiarować fermę owocową. Niech pan tylko pójdzie ze mną i powęszy razem, więcej nic.

— Nie chcę żadnej nieznośnej fermy owocowej. Jestem zmęczony i przepracowany; czemu mi nie dacie spokoju? Uważam, że robię już dość dużo, jeśli zgadzam się zostać. Możecie sobie tracić czas na kopanie, ale ja posiedzę w obozie. Zrozumiane?

— Niech zginę, jeśli pan nie jest niewdzięczny! Na tańczącego Matuzala przysięgam, że za pięć minut cisnę posadę, jeśli pan mnie przedtem nie wyrzuci. To ja, głupi, nie śpię całymi nocami i obmyślam swoją teorię i chcę pana dopuścić do spótki, a pan sobie śpi i pochrapuje i wciąż tylko mruczy: a Frona to, a Frona tamto... — Dosyć! Macie milczeć.

— Akurat! Dosyć! Gdybym nie wiedział więcej o kopaniu niż pan o zalotach...

Corliss skoczył ku niemu, ale Del umknął w bok i nastawił pięści. Potem dał w powietrze tęgi cios, to prawą, to lewą i zaparł się mocniej nogami w twardą ścieżkę.

— Czekaj no pan! — krzyknął widząc, że Corliss podchodzi raz jeszcze. — Sekunda! Jeśli pana położę, pójdzie pan kopać ze mną?

— Pójdę.

— Jeśli nie położę, może pan mnie wygnać precz. To uczciwy układ. No, wal pan teraz.

Vance bynajmniej nie żartował. Del wiedział o tym doskonale, toteż atakował, umykał ciosu, cofał się, podbiegał i kręcił się i wił mu przed oczyma, w sposób zaiste mogący doprowadzić do rozpacz. Vance przekonał się wkrótce, że posiada nader małą zgodność mózgu z mięśniami, następnym zaś faktem, który odkrył, był fakt leżenia w śniegu i powolnego odzyskiwania przytomności.

— Jak... jak... wy to robicie? — wykrztusił Corliss da Dela, który trzymał jego głowę na kolanach i czoło troskliwie rozcierał śniegiem.

— O, i pan to potrafi! — zaśmiał się Del, pomagając wstać chwiejącemu się inżynierowi. — Pan też tego wali. Pokażę panu kiedyś tamtą sztuczkę. Jeszcze może się pan nauczyć wielu rzeczy, których nie ma w książkach. Ale nie teraz. Teraz rozłożymy sobie obóz, a potem idzie pan ze mną na tamten pagórek.

— Hi, hi! — chichotał nieco później, kiedy umocowywali rurę piecyka. — Jegomość wolno kombinuje i dlatego nie może zdążyć za mną. Ale pokażę panu kiedyś tę sztuczkę. O, doskonale się pan nauczy, doskonale!

— Siekierkę w garść i jazda — rozkazał, Kiedy rozłożyli obóz.

Poprowadził Corlissa w górę potoku Eldorado, pożyczył w chacie łopatkę i patelnię, po czym myszkować zaczął po ścieżkach, splątanych przy ujściu Francuskiego Potoku. Vance, chociaż trochę posiniaczony, śmiał się sam do siebie od czasu do czasu i wesoło podrwiwał z sytuacji. Umyślnie przesadzał pokorę, z jaką maszerował za rydwanem swego zwycięzcy. Komiczna służalczość, zabarwiająca jego posłuszeństwo, kazała Delowi wziąć go na zęby.

— Doskonale. W sam raz. O, będą ludzie z pana inżyniera. — Kopacz położył narzędzia i uważnie rozglądać się zaczął po powierzchni śniegu. — Proszę wziąć siekierę — powiedział — wejść na pagórek, zrąbać trochę drewna i zwlec tu na dół.

Kiedy Corliss przyniósł ostatni ładunek drewna, Bishop oczyścił już był ze śniegu i mchu kilka małych placyków, tworzących mniej więcej linię krzyża.

— W obie strony — objaśnił. — Może się trafi tu, a może tam, a może jeszcze wyżej. Ale jeśli w ogóle jest, to jest tu, na tym wzgórku. Tam dalej łożysko wrzyna się w ziemię i może nawet jest bogatsze, ale strasznie dużo roboty. A tu właśnie brzeg dawnego potoku. O parę stóp w głąb; teraz trzeba znaleźć oznaki, potem można pogrzebać od boku.

Mówiąc rozpałał małe ogniska w miejscach oczyszczonych ze śniegu.

— Niech pan tu spojrzy. To nie prawdziwy wywiad majstra, niech pan sobie nie myśli. To zwyczajna robota czeladników. Wywiad... — tu wyprostował się i mówić zaczął uroczyście — wywiad jest głęboką nauką i wspaniałą sztuką. Robota delikatna jak włos. A oczy i ręce muszą być pewne i mocne jak stal. Kiedy ze dwa razy na dzień spalisz patelnię, że aż posinieje, a wymyjesz najwyżej ziarno złota wielkości maku — o, to ci prawdziwe płukanie. Tak. Wie pan co? Wolę szukać żyły, niż jeść.

— A najlepiej wolicie bić się, co?

Bishop przerwał pracę, żeby się namyślić. Ważył sam siebie z taką starannością, jakby wyplukiwał z piasku owo drobnutkie ziarnko grochu, o którym wspominał.

— Nie, jednak nie. Na kopanie mam zawsze chętkę. To gorsze niż narkotyki. Jak raz człeka złapie, już przepadł. Tego nigdy nie można z siebie strząsnąć. Patrz pan na mnie! Cóż znaczy tytoń albo nawet opium? Niewarte są jednego plunięcia w porównaniu z szukaniem złotej żyły!

Podszedł do jednego z ognisk i kopnął głównie. Potem wzniosł drag i uderzył z góry. Stal z metalicznym dźwiękiem uderzyła o coś twardego, jak o cementową podłogę.

— Najwyżej dwa cale ziemi — mruknął pochylając się i grzebiąc palcami w wilgotnym namule. Żdźbła zeszłorocznej trawy zostały wypalone, ale Delowi udało się zgarnąć i wydobyć garść korzonków.

— Psiakrew!

— O co chodzi? — zapytał Corliss.

— Psiakrew! — odpowiedział beznamiętnie Del, objając zabłocone korzonki o brzeg patelni.

Corliss podszedł i popatrzył z bliska uważnie.

— Cześć no! — krzyknął nagle, rozcierając w palcach parę miękkich grudek błota. Błysnęła jasna, żółta barwa.

— Psiakrew! — bezdźwięcznie powtórzył kopacz. — Pierwsza zabaweczka z pudełeczka. Zaczyna się tuż u korzeni trawy i biegnie daleko w głąb.

Ze wzniesioną głową, zamkniętymi oczyma i rozdętymi nozdrzami, Del Bishop wstał nagle na równe nogi i długo, z rozkoszą wachał powietrze. Corliss patrzył zdumiony.

— Uf! — wyszeptał wreszcie kopacz i głęboko wciągnął oddech. — Czyż pan nie czuje, jak pachną pomarańcze?...

ROZDZIAŁ XIV

Pęd ku Francuskiemu Wzgórzu zaczął się na tydzień przed Bożym Narodzeniem. Corliss i Bishop nie śpieszyli zbyt z oficjalnym meldunkiem, musieli bowiem zbadać ziemię bardzo starannie, zanim zatknęli swoje znaki. Niewielu też przyjaciół przypuścili do tajemnicy — Harneya, Welse'a, Trethavaya, pewnego nowicjusza Holendra, któremu mróz odebrał obie nogi, kilku członków policji, pewną starą praczkę i wreszcie — o dziwo — Lucile.. Za ten ostatni wybór ponosił odpowiedzialność Corliss, który osobiście zawiózł na teren i pozatykał jej paliki, chociaż pułkownikowi" przypadło w udziale zaproszenie Lucile, żeby zechciała przybyć i zostać bogatą.

Stosownie do miejscowego zwyczaju, ci, którzy dopuszczeni zostali do udziałów, ofiarowali się podpisać umowę, mocą której połowę swoich zysków oddają obu odkrywcom. Corliss jednak nie chciał przyjąć tej propozycji. Del również, chociaż bynajmniej nie z przyczyn etycznych. Wystarczało mu to, co już miał. — Starczy mi na moją owocową fermę i jeszcze drugie tyle zostanie — tłumaczył. — Gdybym miał więcej pieniędzy, nie wiedziałbym, co z nimi robić.

Po odkryciu żyły Corliss uważał, że powinien rozejrzeć się za innym pomocnikiem; kiedy jednak sprowadził do obozu jakiegoś bystrookiego Kalifornijczyka, Del wpadł we wściekłość.

— Nigdy w życiu! — zagrział.

— Przecież teraz jesteście bogaci — odpowiedział Vance — i nie potrzebujecie pracować.

— Bogaty, psiakrew! — odrzucił kopacz. — Stosownie do umowy pan nie ma prawa mnie wyrzucić; a ja wtedy ustąpię z posady, kiedy mnie się żywnie spodoba. Rozumie pan?

Pewnego piątku z rana wszystkie osoby zainteresowane zjawiły się przed komisarzem, żeby zameldować swoje działki. Nowina natychmiast rozeszła się po mieście. W kilka minut potem pierwsi amatorzy rzucili się ku wzgórzu. Po upływie pół godziny całe miasto zerwało się na równe nogi. Del i Vance, skończywszy prędko

formalności, udali się znowu z powrotem na Francuskie Wzgórze, żeby zapobiec możliwym omyłkom i obstawieniu ich działek cudzymi znakami. Mając już jednak stemple rządowe na swoich kołkach, nie śpieszyli zbyt, przepuszczając przed sobą zwarty potok śpieszących kopaczy. Jakoś wpośród drogi Del obejrzał się. Dostrzegł St. Vincenta, kroczącego żwawo i obciążonego pełnym rynsztunkiem do wkopywania znaków. Ścieżka skręcała właśnie ostro w tym miejscu i prócz Dela, Vanca i St. Vincenta nikogo nie było w pobliżu.

— Proszę do mnie nie mówić, proszę mnie nie znać — rzucił nagle Del Corlissowi, spuszczając na nos futrzaną klapę czapki. — O, tam jest przerębiel. Kładź się pan na brzuchu jakbyś pił wodę i udawaj, że nic nie widzisz i nic nie słyszysz. Potem idź pan sam na działkę. I na litość boską — ani słowa do mnie albo do tej kanalii. I schować twarz.

Corliss usłuchał zdumiony; skręcił z ubitej ścieżki, położył się na śnieg i zanurzył do przerębla pustą puszkę od skondensowanego mleka. Bishop przykląkł, jakby dla zawiązania mokasynów. Właśnie w chwili gdy St. Vincent się zbliżył, Del wykończył węzełek i rzucił się gorączkowo naprzód, z pośpiechem człowieka, który stara się nadrobić stracony czas.

— Zaczekaj no trochę, mój człowieku! — wykrzyknął korespondent.

Bishop rzucił ku niemu okiem i pośpieszył jeszcze skwapliwiej.

St. Vincent przyśpieszył kroku i wkrótce sapał już obok Bishopa.

— Czy tędy droga?...

— Do Francuskiego Wzgórza? — parsknął Del. — Obejdzie się tam bez ciebie. Ja tam właśnie idę.

Sadził wielkimi krokami, a za nim truchtem biegł zasapany dziennikarz, postanowiwszy widocznie trzymać się tuż za nieżyczliwym przewodnikiem. Corliss, wciąż jeszcze jak tabaka w rogu, podniósł głowę i przyglądał się idącemu. Ale kiedy zobaczył, że kopacz skręca na lewo i wędruje ścieżką ku potokowi Adama, zrozumiał, o co chodzi, i roześmiał się po cichu.

Późnym wieczorem zjawił się Del w obozie na Eldorado, zmęczony, ale triumfujący.

— Zadałem bobu facetowi! — wołał, nie zdążywszy jeszcze spuścić za sobą zasłony namiotu. — Zlituj się pan, dawaj coś do zjedzenia: słoniny, sadła, starych mokasynów, świec! — Tu złapał czajnik i wlał prosto w gardło gorącą jego zawartość.

Po czym runął na posłanie i począł rozcierać sztywne mięśnie nóg, podczas gdy Corliss podsmażał wędzonkę i wykladał fasolę na talerz.

— Jak sprawy pana Vincenta? — wyrzucił wreszcie pomiędzy łykami — założę się, że nie dobrnął do Francuskiego Wzgórza. „Czy daleko jeszcze, mój człowieku?” (Doskonale udanym, protekcyjnym tonem dziennikarza). „Czy daleko jeszcze?” Protekcyjność już nieco zrzędała. „Czy daleko do Francuskiego Wzgórza?” Słabo. „Jak pan myśli, czy jeszcze daleko?” Tremolando pełne łez. „Czy... daleko...”

Kopacz ryknął śmiechem, zakrzuszył się łykiem herbaty i siedział przez chwilę oniemiały od kaszlu.

— Gdziem go zostawił? — przemówił znowu, wydobrzwawszy. — Na pustkowiu koło rzeki Indian, półżywego ze zmęczenia. Będzie miał najwyżej siłę dopełnić do najbliższego obozu. Sam odwałem dzisiaj z pięćdziesiąt mil, więc należy mi się święcie łóżeczko. Dobranoc. Proszę mnie rano nie budzić.

W ubraniu otulił się kocem i zapadł w sen. Ale przedtem Corliss dosłyszał jeszcze chrapliwy pomruk: „Czy daleko jeszcze, mój człowieku? Czy jeszcze da-le-ko...?”

Lucile zawiodła oczekiwania Corlissa. — Przyznaję, że zupełnie jej nie rozumiem — zwierzał się pułkownikowi. — Myślałem, że posiadanie złotej działki uniezależni ją zupełnie od baru.

— Złota nie wydobędzie tak w jednej chwili — odparł Trethavay.

— Ale można założyć w banku działkę i od razu dostać pieniądze, o ile działka jest tak bogata jak ta. Wziąłem to nawet pod uwagę i ofiarowałem Lucile kilkutyśięczną bezprocentową pożyczkę, ale odmówiła. Powiedziała, że nie potrzebuje, była naprawdę bardzo wdzięczna; podziękowała i zapraszała mnie do siebie, ile razy będę się nudził.

Trethavay uśmiechnął się i dalej kręcił dewizkę.

— Cóż pan chce? W życiu, nawet tutaj, potrzeba czegoś więcej niż jedzenia, spania i ciepłego pieca. Lucile jest równie towarzyska, jak my obaj, a może jeszcze bardziej. Odciąć ją od baru — cóż jej pozostanie? Czy może pójść do koszar i złożyć wizytę żonie kapitana? Odwiedzić panią Schoville? Przyjaźnić się z Froną? Czy pan dotrzyma jej towarzystwa w biały dzień, na ludnej ulicy?

— A pan? — odparował Vance.

— Tak — odrzekł bez wahania pułkownik. — I nawet z przyjemnością.

— Ja również; ale — przerwał i patrzył ponuro w ogień — zauważył pan, jak stoją sprawy z St. Vincentem? Oboje są ciągle razem, ale kryją się niczym złodzieje.

— Tak, to dziwne — przyznał Trethavay. — Ale pobudki St. Vincenta rozumiem. Od razu dwie sroki za ogon, przy tym Lucile posiada doskonałą działkę na Francuskim

Wzgórz. Zapamiętaj pan moje słowa, Corliss: możemy nieomylnie przepowiedzieć dzień, w którym Fro-rxa zgodzi się poślubić St. Vineenta.

— Mianowicie?

— Będzie to dzień, w którym St. Vincent zerwie z Lucile. — Corliss milczał, pułkownik zaś ciągnął dalej.

— Ale w żaden sposób nie mogę zrozumieć Lucile. Co ona widzi w tym mydłku.

— Jej gust nie jest gorszy niż... niż gust tylu innych kobiet — przerwał żywo Corliss. — Pewien jestem, że...

— Frona nie może mieć złego gustu, hę? — Corliss odwrócił się na pięcie i odszedł precz, a pułkownik Tret-havay uśmiechał się gorzko.

Vance Corliss nie miał pojęcia, ilu osobom pośrednio lub bezpośrednio leżała na sercu jego sprawa podczas owego tygodnia świątecznego. Głównie pracowało nad nią dwóch ludzi, jeden dla dobra Frony, drugi dla dobra Corlissa. Niejaki Gete Whipple, stary wyga, posiadał działkę na Eldorado, akurat pod Francuskim Wzgórzem, oraz miejscową kobietę za żonę. Matka owej kobiety, niezbyt pięknej nawiasem mówiąc, żyła swego czasu z pewnym rosyjskim kupcem futer w Kutlik nad Wielką Delta. Bishop wybrał się któregoś niedzielnego rana na ową działkę, żeby z godzinkę pogawędzić z Whippem. Zastał jednak żonę samą w chałupie. Niewiasta owa mówiła przeraźliwym narzeczem angielsko-indyjskim, od którego tak bolały uszy, że Del postanowił wypaliwszy jedną fajeczkę (żeby nie okazać niegrzeczności) wynieść się czym prędzej. Babina jednak rozpoczęła gawędkę tego rodzaju, że kopacz został i palił jedną fajeczkę po drugiej, zachęcając niewiastę do dalszego mówienia, jak tylko zamilkła na chwilę. Mruczał coś, słuchając chichotał po cichu i nawet kłął, przerywając opowieść regularnym „psiakrew!”, wyrażającym wymownie liczne odcienie jego uczuć.

Pośród rozmowy kobieta wyłowiła z kąta jakąś grubą, w skórę oprawną księgę, pożółkłą i zniszczoną, i położyła ją na stole, przy którym siedzieli. — Chociaż książka pozostawała zamknięta, kobiecina nieustannie powoływała się na nią, to gestem, to spojrzeniem i za każdym razem, kiedy to czyniła, oczy Dela błyskały dziwnym światłem. Wreszcie, kiedy nie miała już nic nowego do powiedzenia, a nawet powtórzyła to samo ze sześć razy — Del Bishop wyjął worek ze złotym piaskiem. Pani Whipple ustawiła wagi i pokładła ciężarki, które Del zrównoważył piaskiem wartości stu dolarów. Potem ruszył pod górę do swego namiotu, trzymając mocno sprawunek. Corliss siedział na swoim pościeli i reperował mokasyny.

— No, teraz mam go w garści — zauważył Del od niechcienia, klepiąc czule książkę i kładąc ją na łóżko.

Corliss spojrział pytająco i otworzył księgę. Papier był pożółkły ód starości i przeżarty przez - niepogody. Tekst wydrukowany po rosyjsku.

— Nie wiedziałem, że jesteś specjalistą od rosyjskiego. Ja nie mogę przeczytać ani słowa.

— Ja również. Jejmość Whipple także ani w ząb. Dostałem to właśnie od niej. Ale jej ojciec był Rosjaninem,

uważa pan — czytywał jej głośno z tej książki. Więc ona wie to, co wie i co wiedział jej ojciec. Ja wiem to również.

— Cóż takiego wiecie wszyscy troje?

— O, za długo by gadać — wyśliznął się Bishop. — Czekaj pan i uważaj na mój dym. Jak pójdzie w górę, pan będziesz wiedział również.

Matt Mc Carthy przyjechał po lodzie na święta Bożego Narodzenia, podsumował dane, dotyczące Frony i St. Vincenta — i zmarszczył się. Dave Harney dostarczył mu wszelkich wiadomości, do nich zaś dodał jeszcze Matt relacje Lucile, z którą był na dobrej stopie. Może odziedziczył ich sposób patrzenia na rzeczy, może dla jakiejś innej przyczyny — dość że przyłączył się zdecydowanie do obozu wrogiego korespondentowi. Mężczyźni nie umieli wytłumaczyć, czemu nie lubili St. Vincenta, niemniej jednak — nie darzyli go życzliwością. Może dlatego, że zbyt olśniewał kobiety, przez to samo pozostawiając innych w cieniu; w stosunkach z mężczyznami był bowiem bez zarzutu. Nie okazywał nikomu swej wyższości, o koleżeństwie nie zapominał również.

A jednak, nie osądzając go jeszcze po wysłuchaniu Harneya oraz Lucile, Matt Mc Carthy natychmiast wyrobił sobie własny sąd, spędziwszy z St. Vincentem godzinkę u Welsów, pomimo to, że zdanie Lucile zostało właściwie unieważnione przez fakt jej bliskiej zażyłości z mężczyzną, o którego chodziło. Niezawodny w przyjaźni, silny w sercu i w ręku, Matt nie czekał, aż trawa urośnie mu pod nogami. — Robię się coraz bardziej towarzyski, jak przystało na członka szlachetnej dynastii Eldorado — wyjaśnił, i ruszył na partię wista do domku Dava Harneya. — I nie spuszczę z oka tego diabelskiego szczenięcia — dodał sam do siebie.

Nieraz jednak podczas owego wieczoru zachwiało się jego zdanie. Matt, w całej swej niewinnej prostoduszności poczuł się od razu zbity z tropu. St. Vincent' nie był doprawdy niesympatyczny. Prosty, wesoły, pełen demokratyzmu, żartujący dobrodusznie i równie

dobrodusznie przyjmujący żarty na swój temat, nie zdradził przed baczным okiem Matta najlżejszej nawet nieszczerości.

— Niech psy urządzają schadzki na moim grobie — gadał Matt sam do siebie, przyglądając się swoim rękóm, cierpiącym na rozszerzenie żył. — Czyżby już lata dawały się we znaki, wpuszczały chłód do moich żył i oziębiały krew? Ten chłopak jest wcale niczego i nie będę go przecie uważał za błazna dlatego tylko, że podoba się kobietom? Ze te miłe trzpiotki uśmiechają się mdlejąco na sam jego widok? Dzielny chłopak, więc i oczy się świecą. Baby tak zawsze. Dygoczą na myśl o okrucieństwach wojny, a jednak dla nikogo tak od razu głowy nie tracą, jak dla rzeźnika-żołnierzyka. Czemuż by nie?, Ten chłopak coś tam podobno zrobił wspaniałego, więc dziewczęta uśmiechają się słodko, jedna przez drugą. Ale to jeszcze wcale nie znaczy, żebym miał prawo nazywać go diablím szczenięciem. Bądź no rozsądny, Matt Mc Carthy; stary wyga jesteś, chłop z kwaśnego ciasta i nawet ze skórką. Lato już uciekło z twoich żył. Kostniejesz stary. Poczekaj, poczekaj — dodał — dotknij no ręki i zobacz, jak smakuje. Sposobność nadarzyła się wkrótce, kiedy St. Vincent, siedzący naprzeciwko Frony, zgarnął całe trzydzieści lew.

— Ładna wygrana! — zawołał Matt — Vincent, mój chłopcze, winszuję! Dawaj łapę!

Uścisk był mocny, ręka nie gorąca i nie wilgotna, Matt jednak czemuś sceptycznie pokiwał głową. — Mam się też czym przejmować! — mruzczał po cichu, rozdając karty do dalszej gry. — Ty stary osle! Wywąchaj najpierw, co Frona o tym myśli, i dopiero jak się przekonasz, że wpadła, będziesz miał czas szukać rady.

— O, Matt Mc Carthy dziś piecze jak pokrzywa — powiedział nieco później Dave, stając w obronie St. Vincenta, który wytrzymywać musiał ostrze irlandzkiego dowcipu. Wieczór minął i towarzystwo wkładało właśnie futra i rękawice.

— Czy państwo nie słyszeli o wizycie Matta w katedrze, kiedy ów Matt szanowny bawił na urlopie w Stanach? Tak mi to opowiedział: wszedł do katedry podczas nabożeństwa i zobaczył księży w ornatach i chłopców w komżach. Jedno i drugie nazwał „parka”. Palono kadzidła. „I wyobraź sobie, Dave — mówił potem Matt — tyle dymu napuścili, a przecie ani jednego moskita jak okiem sięgnąć!”

— Prawda, święta prawda — przyznał bezwstydnie Matt. — A czy słyszeli państwo, jak my obaj z Davem upiliśmy się mlekiem skondensowanym?

— Zgroza! — krzyknęła pani Schoville. — Jakim sposobem? Proszę nam opowiedzieć.

— Było to podczas „świecowego głodu” w Czterdziestej Mili. Mróz tęgi, Dave włązi do mnie, żeby razem jakoś spędzić nudny dzień. Wybałusza oczy na moją skrzynkę z mlekiem skondensowanym. „Co byś powiedział o szklaneczce znakomitej whisky od Morana, he?” — mówi i wciąż patrzy na ową skrzynkę. Przyznaję, że ślinka mi pociekła na samą myśl. „Wszystko jedno co bym powiedział” — mówię — „skoro mój mieszek rozpiera pustka”. „Świece warte są dziesięć dolarów tuzin, dolara za sztukę. Dasz sześć puszek mleka za porządną butelczynę?”

„Jakże to zrobisz?” — pytam. — „Już niech cię o to głowa nie boli. Dawaj puszki. Mróz jest porządny, a ja mam dwie foremki do odlewania świec”.

— To wszystko święta prawda, jak mnie tu widzicie. Bill Moran może potwierdzić. Bo cóż zrobił Dave Harney? Zabrał sześć puszek, zamroził mleko w formach od świec i sprzedał świece Moranowi za butelkę wódki!

Jak tylko śmiech ucichł i Dave Harney zdołał dojść do słowa, dodał spokojnie: — Tak, Matt opowiedział prawdę, ale to dopiero połowa. Czy nie domyślasz się reszty, Matt? Matt potrząsnął głową.

— Mleka miałem mało i cukru też niewiele, rozcieńczyłem więc trzy puszki wodą i to wystarczyło na świece. A pozostałe trzy puszki okraszały mi kawę przez dobry miesiąc.

— No, masz szczęście, Dave, że jestem twoim gościem — odparł Matt — bo bym ci był zaraz na miejscu odpłacił, nie zważając na obecność pięknych pań. Ale tym razem daruję ci życie. Chodź, odprowadź nas, pora iść.

— O nie, młodzieńcze! — zaprotestował Matt widząc, że St. Vincent wybiera się iść z Froną. — Dziś wieczór odprowadzi pannę jej chrzestny ojciec.

Matt Mc Carthy uśmiechnął się swoim zwykłym cichym uśmiechem, St. Vincent przyjął również śmiechem swoją porażkę i cofnął się ku panie Mortimer i baronowi Courbertin.

— Cóż to słyszę o tobie i panu Vincent? — zapytał Matt prosto z mostu, jak tylko oddalili się od towarzystwa.

Spojrzał na Fronę baczным spojrzeniem siwych oczu, ona jednak oddała mu spojrzenie równie śmiało.

— Skądże mogę wiedzieć, co pan słyszał? — odparła.

— Jeśli chodzi o ładną pannę i niebrzydkiego chłopca i jeśli oboje są młodzi i wolni — to o czymże ludzie mogą mówić?

— Więc?

— Mówią o najważniejszej rzeczy w życiu.

— Mianowicie? — Frona była trochę zła i nie miała ochoty pomóc staremu.

— No, o małżeństwie, rzecz prosta — wybuchnął. — Mówią, że na to u was wygląda.

— Ale mówią, że tak im się tylko zdaje.

— Czyż nie dosyć mają na to danych? — zagadnął.

— Nie. I pan, w pana wieku, powinien być ostrożniejszy w sądach. Pan St. Vincent i ja, jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, oto wszystko. Ale gdyby nawet było tak, jak pan słyszał, to cóż z tego?

— Hm — deliberował Matt. — Bo, uważasz, nie tylko to słyszałem. Ten jegomość podobno bardzo się trzyma z pewnością... hm... wesołą dziewczynką tam w mieście. Lucile jest jej na imię.

— Cóż z tego?

Frona czekała w milczeniu, zaś Matt Mc Carthy zdębiał i tylko patrzył.

— Znam Lucile i lubię ją — ciągnęła Frona przerywając milczenie i wyraźnie pragnąc zbić starego z pantafyku. — Czy pan ją zna? Czy pan ją lubi?

Matt chciał coś powiedzieć, odchrząknął — i nie powiedział nic. Wreszcie parsknął w desperacji: — Oj, Frona, uważaj, bo położę na kolano i wsypię!

Wybuchnęła śmiechem. — Nie ośmieli się pan. Nie biegam już bosy po Dyea.

— Więc nie drocz się ze mną — prosił.

— Wcale się nie droczę. Czyż panu doprawdy nie podoba się Lucile?

— Więc cóż z tego? — odrzucił wyzywająco.

— To ja właśnie pytałam: cóż z tego?

— Więc powiem ci otwarcie, jak ma prawo powiedzieć stary przyjaciel, który mógłby być twoim ojcem. To jest zuchwalstwo, prawdziwe zuchwalstwo, dotrzymywać towarzystwa porządnej młodej paniencie...

— Ślicznie dziękuję! — roześmiała się dygając. Polem dodała, na pół gorzko: — Byli już inni, którzy...

— Nazwij mi ich! — krzyknął zapalczywie.

— Nie, nie, idźmy dalej. Mówił pan właśnie?...

— Że to wstyd, prawdziwy wstyd starać się o... o ciebie, a jednocześnie włóczyć się ciągle z jakąś tam...

— Dlaczego?

— Przychodzić tu prosto z błota i brudzić twoją niewinność! I ty jeszcze pytasz dlaczego?

— Ależ Matt, niech pan poczeka chwilkę. Stosownie do pańskich przesłanek...

— Diabła tam z „przesłankami”! — burknął. — Mówię o faktach.

Frona zagryzła wargi. — Głupstwo. Niech będzie, jak pan chce. Proszę mi pozwolić mówić, to się okaże, że ja również przytaczam fakty. Kiedy pan po raz ostatni widział Lucile?

— Czemu o to pytasz? — zagadnął podejrzliwie.

— Wszystko jedno czemu. Proszę o fakt.

— No, więc dobrze. Wczoraj wieczorem, jeśli ci to sprawia przyjemność...

— I tańczył pan z nią?

— Jakiś walczyk, nie mówiąc już o kadrylu. Innych tańców nie umiem.

Frona szła w udanym zamyśleniu. Ciszy nie mącił żaden dźwięk, prócz żalosnego poskrzypywania kroków po śniegu.

— No więc? — zagadnął nieśmiało.

— Więc cóż z tego? — nastawał po chwili przydługiej ciszy.

— O, nic wielkiego — odpowiedziała. — Zastanawiam się tylko, który z panów jest... brudniejszy, pan St. Vincent czy kochany Matt. A może ja? Ba przecież obaj „dotrzymujecie mi towarzystwa”.

Mc Carthy nie był wprawny w odbijaniu piłek rozmowy towarzyskiej i chociaż czuł mgliście, że Frona nie ma racji, nie mógł zawrzeć swoich wątpliwości w wyraźną myśl. Wysterował więc na bok, mądrze, choć tchórzliwie, byle dalej od niebezpieczeństwa.

— Zwariować można! Jak ty się obchodzisz ze swoim starym Mattem — skarżył się — który dba tylko o twoje dobro i przez to pozwala nawet robić ze siebie durnia!

— Wcale nie robię...

— Owszem, robisz.

— No, Matt! — wspięła się nagle na palce i pocałowała go. — Czyż mogłabym zapomnieć o czasach Dyea i rozgniewać się kiedykolwiek na pana?

— Ach, Frono, kochanie, jak ślicznie to powiedziałaś! Jestem pył i proch pod twymi nóżkami! Możesz stąpać po mnie, wszystko możesz, tylko się nie gniewaj! Mógłbym umrzeć dla ciebie, gdyby ci to dało szczęście. Mógłbym zabić każdego, kto by sprawił ci ból, choćby najmniejszy, i waliłbym potem do piekła z uśmiechem na ustach i z radością w sercu...

Zatrzymali się przed drzwiami Welsów. Frona z wdzięcznością przycisnęła ramię Matta. — Wcale się nie gniewam, doprawdy. Ale prócz mego ojca pan jest jedynym człowiekiem na świecie, któremu pozwoliłam mówić o tej... o tej sprawie, w taki sposób. I chociaż bardzo pana lubię, bardzo pana kocham, więcej nawet niż kiedykolwiek, niemniej

rozgniewam się naprawdę, jeśli pan raz jeszcze o tym wspomni. Nie ma pan słuszności. To są sprawy, które dotyczą wyłącznie mnie samej. I źle jest, że pan...

— Chcę cię wstrzymać od ślepego leczenia w przepaść?...

— Jeśli pan chce nazwać to w ten sposób: tak. Matt burczał coś pod nosem.

— Co pan tam mówi? — zapytała.

— Powiadani, że możesz zamknąć mi usta, ale nie możesz związać rąk.

— Ależ Matt, nie wolno, Matt kochany, nie wolno! Znowu odpowiedział pomrukiem.

— I chcę, żeby mi pan przyrzekł, teraz, zaraz, że nie będzie pan wchodził w ten sposób w moje życie, słowem albo czynem.

— Nie obiecuję.

— Musi pan.

— Nie. Zresztą zimno tak stać i możesz odmrozić sobie stópki, te maleńkie, różowe paluszki, z których wyciągałem drzazgi w Dyea. Więc pakuj się do domu, Frono dziewczyneczko, i — dobranoc.

Wepchnął ją do sieni i odszedł. Na rogu ulicy stanął nagle i przyjrzał się własnemu cieniowi na śniegu. „Matt Mc Carthy! Jesteś stary dureń. Czy widziałeś kiedy Welse'a, który nie postawił na swoim? Jakbyś nigdy nie miał do czynienia z tym hardym plemieniem, ty głupi nieszczęśniku.

Potem ruszył dalej, mruczając coś pod nosem, a za każdym pomrukiem czujny wilczur, idący za nogą pana, jeżył się i obnażał kły.

ROZDZIAŁ XV

— Zmęczona?

Jakub Welse położył obie ręce na ramionach Frony i w oczach jego zajaśniała miłość, której słowami wyrazić nie można. Choinka już zgasła, skończyła się gwarna zabawa i gromadka dwadzieściorga dzieci pobiegła — szczęśliwa — do domów, po śniegu i mrozie. Wieczór wigilijny przechodził zwolna w pierwszy dzień świąt.

Frona odpowiedziała spojrzeniem pełnym tliwości. Zasedli w głębokich fotelach, przy kominku, na którym ogromne głownie cicho rozsypywały się w żar.

— Co będzie od dziś za rok?... — przemówił ojciec, jak gdyby zapytując czerwonych płomieni. Jedna głownia, niby w odpowiedzi, zabłysła żywiej i prysnęła tysiącem isker.

— Dziwna rzecz — ciągnął mężczyzna próbując otrząsnąć się ze smutku, płynącego z myśli o przyszłości. — Te ostatnie miesiące, od chwili twego przyjazdu, są jednym ciągłym cudem. Właściwie od twego dzieciństwa widzieliśmy się bardzo mało i czasem doprawdy trudno mi uwierzyć, że ty jesteś moja, moje dziecko, krew z krwi i kość z kości. Kiedy byłaś malutkim, zdrowym zwierzątkiem, które biegało potargane w Dyea, czułem doskonale, że jesteś z rodu Welse'ów. Ale ta oto Frona, ta dorosła kobieta, taka, jaką byłaś dziś wieczorem, jaką jesteś w tej chwili i zawsze, od czasu powrotu... trudno... doprawdy... nie mogę pojąć. — Przerwał i beznadziejnie strzepnął rękoma. — Czasem... czasem nawet żałuję, że dałem ci wykształcenie, że nie zatrzymałem cię przy sobie, żebyśmy mieli wspólne prace, wspólne podróże, pełne przygód wspólne zwycięstwa i przegrane. Znałbym tę kobietę, która siedzi ze mną przy ognisku. A teraz — nie znam jej prawie. Do tego co znałem, dodane zostało coś nowego, jakaś subtelność, złożoność — twoje ulubione wyrażenia — coś co wyrasta nade mnie.

— Nie, nie! — ruchem ręki zatrzymał słowa na jej wargach; więc wstała, podeszła i uklękła u jego kolan, gładząc go czule po rękę. — Źle mówię, nie mogę znaleźć właściwych słów. Nie umiem wyrazić tego, ca czuję. Pozwól, spróbuję jeszcze raz. Na dnie czynów każdego człowieka leży piętno jego krwi, jego rodu! Wiedziałem, że

wysyłając cię pomiędzy obcych, ryzykuję utratę tego piętna. Ale jednocześnie wierzyłem w siłę krwi — i wygrałem. Bałem się o ciebie, wąpiłem nieraz, czekałem, modliłem się i ufałem wbrew nadziei. Aż wreszcie nadszedł ten dzień, największy z dni! Powiedziano, że twoja łódka się zbliża, i — wtedy śmierć stanęła nagle u mego boku, a z drugiej strony: wieczne, cudowne życie. Triumf czy klęska, triumf czy klęska? — nieustanny szept tych słów w uszach doprowadzał mnie do szału. Czy Welse pozostała Welse? Czy krew przetrwała? Czy młody pęd wystrzelił silny i wysoki, świeży, zielony i bujny? Czy może złamał się bezsilnie i wątle, zwarzony przez upały wielkiego świata, tak obce skromnemu prostemu życiu Dyea!

Był to największy z dni, a przecież krył w sobie tragedię czekania, napięcia, twogi. Wiesz, że tamte lata przeżyłem w samotności, w samotnej walce, a ty, tam, daleko byłaś jedyną moją nadzieją. Jeżeli zawiedzie... Twoja łódka wynurzyła się już spoza zakrętu, ale ja wciąż bałem się spojrzeć. Ludzie nigdy nie nazywali mnie tchórzem, w tej chwili jednak zaznałem więcej lęku niż kiedykolwiek w życiu. Łatwiej stanąłbym twarz w twarz ze śmiercią niż z ową łódką. To było głupie, niedorzeczne, ale skądże wiedzieć mogłem, czy to moje szczęście czy nieszczęście zbliża się w małej czarnej plamce na rzece? Spojrzałem wreszcie i wtedy zaczął się cud. Już wiedziałem. Stałaś u steru. Byłaś z rodu Welse. Wydaje się to drobnostką, a przecież znaczy tak wiele. Nie każdą kobietę spodziewałbym się zobaczyć u steru, ale moją córkę — tak.

A kiedy Bishop wypadł za burtę i ty od razu chwyciłaś sytuację w ręce, równie dzielnie jak wiosło sterowe i kiedy zabrzmiał twój donośny głos, a Siwasze pochylili grzbiety na twój rozkaz — wtedy, wtedy rozpoczął się ów największy z dni.

— Staralam się pamiętać zawsze — wyszeptala Frona, i klęcząc wtuliła się w ramiona ojca, aż ręce jego znalazły się na jej szyi, a jej główka na jego piersi. Ojciec gładzić począł jasne włosy, biegnące spod jego dłoni lśnącymi falami.

— Tak, piętno rodu nie zostało zatarte, a przecież istnieć zaczęła pewna różnica. Istnieje dotychczas. Zauważyłem ją, próbowałem zrozumieć, próbowałem określić. Usiadłem naprzeciwko ciebie przy obiedzie. Byłem dumny, a przecież zmieszany. Kiedy mówiłaś o małych rzeczach, rozumiałem wszystko. Kiedy zaczęłaś mówić o dużych — poczułem się zbyt mały. Jeszcze rozumiem, jeszcze mam cię w ręku, aż tu nagle — skok! — jesteś gdzieś daleko, a ja błądzę po ciemku. Głupcem jest ten, kto nie rozumie swojej własnej głupoty. Jestem dość mądry, żeby rozumieć moją. Sztuka, poezja, muzyka — cóż wiem o nich? Oto są te wielkie rzeczy, wielkie dla ciebie, większe niż te małe, które rozumiem ja. A przecież hodowałem jakąś ślepą, niedorzeczną nadzieję, że będziemy

jednego ducha, jak jesteśmy jednej krwi. Rozumiem, rozumiem, ale wiedzieć, że oto moja własna czerwona krew odpływa gdzieś daleko, staje się obca, przerasta mnie! To boli. Boże! Słyszałem jak czytałaś głośno Browninga — nie, nie, nic nie mów — i patrzałem na grę twojej twarzy, na uniesienie, na namiętność, a tymczasem te same słowa płynęły obok mnie, blade, puste, beztreściwe — doprowadzające do szału. I w dodatku ta pani Schoville, hodująca starannie wyraz idiotycznej ekstazy, chociaż rozumiała tyleż co i ja. Byłbym ją udusił!

Cóż, w parę dni potem porwałem w nocy twoją książkę i zamknąłem się z nią jak złodziej. Tekst nie miał dla mnie najmniejszego sensu. Walilem pięścią w głowę jak dziki człowiek, żeby wbić sobie w mózg jakieś zrozumienie. Bo życie wyłobiło mi w mózgu głębokie, wąskie i twarde koleiny. Nie wychodziłem z tych kolein nigdy. Spełniałem każdą robotę, która weszła mi w ręce — i spełniałem dobrze. Ułynęło dużo wody. Nie mogłem już zmienić siebie. Ja, człowiek silny i nawykły do rozkazywania, ja, który nieraz grałem w hazard z losem, ja, który mógłbym kupić tysiąc malarzy i poetów z duszą i ciałem — zwyciężony zostałem przez kilka tanich kartek drukowanego papieru!

Przez chwilę gładził jej włosy w milczeniu.

— Wróćmy do tematu. Spróbowałem rzeczy niemożliwej, pokusiłem się o dokonanie nieprawdopodobieństwa. Posłałem się między obcych ludzi, żebyś się stała tym, czym ja nie jestem, marząc, że pozostaniesz tym, czym jestem ja. Jak gdyby można było dodać dwa do dwóch, a jednak otrzymać dawne dwa! Więc, krótko mówiąc, krew pozostała ta sama, ale język się zmienił. Kiedy mówisz — nie słyszę nic. Co gorzej, wiem, że to język piękniejszy. Nie wiem sam, po co to wszystko powiedziałem, po co wypowiadałem się z mojej słabości...

— Ojczy! Największy z ludzi! — podniosła głowę i uśmiechnęła mu się prosto w oczy, odgarniając opadłe na jego czoło stalowo-siwe włosy. — Walczyłeś więcej, przepracowałeś więcej, dokonałeś większych rzeczy niż niejeden z tych malarzy i wierszopisów. Znasz tak dobrze prawo rozwoju. Powiedz — czyż taka sama skarga nie padłaby z ust twojego ojca, gdyby tu siedział teraz i patrzył na czyny, których dokonałeś?

— Tak, tak, powiedziałem ci, że rozumiem. Nie mówmy o tym. Chwila słabości. Ojciec mój był wielkim człowiekiem.

— Mój jest nim również.

— Walczył aż do końca. Wygrał bitwę życia.

— Mój również.

— I umarł walcząc.

— To samo uczyni mój. To samo czynimy my wszyscy, z rodu Welsów.

Potrząsnął córką żartobliwie, na dowód, że wrócił mu dobry humor. — Ale wiesz co? Zdecydowałem wyprzedać wszystko, kopalnię, spółkę — i studiować Browninga.

— Zawsze walka! Nie możesz uciec od własnej krwi, ojciec.

— Czemuż nie jesteś chłopcem? — zapytał nagle. — Byłby z ciebie wspaniały chłopak. Jako kobieta, masz zostać szczęściem jakiegoś mężczyzny i musisz odejść ode mnie pewnego dnia, kto wie czy już nie bliskiego? Ach, wiem już teraz, dokąd zmierzają moje myśli, skąd pochodzi mój smutek. Wiem, że musisz odejść, uznaję nieodzowność i sprawiedliwość tej konieczności. Ale ten mężczyzna, Frono... Kto będzie tym mężczyzną?

— Nie mów — szepnęła. — Opowiedz mi lepiej o walce twego ojca, o wielkiej samotnej walce w Mieście Skarbów. Był jeden na dziesięciu. Opowiedz.

— Nie, Frono. Czy zdajesz sobie sprawę, że po raz pierwszy w życiu rozmawiamy poważnie, jak ojciec z córką — po raz pierwszy w życiu? Nie miałaś matki do rady i właściwie nie miałaś ojca, bo zawsze wierzyłem w dobrą krew i zostawiałem ci zupełną swobodę. Ale przyszedł czas, kiedy rada matki jest potrzebna, a ty nie znałaś matki...

Frona westchnęła pojawiając nagle treść tych słów. Czekwała dalszych i przytuliła się mocniej do ojca.

— Ten człowiek, St. Vincent — jak jest właściwie pomiędzy wami?

— Ja... ja sama nie wiem. O co pytasz, tatusiu?

— Pamiętaj, Frono, że masz wolny wybór i twoje słowo będzie ostatnie. Ale chciałbym rozumieć. Mógłbym... może... poradzić. Nic więcej. Ale przecież... rada...

Coś niewymownie świętego unosiło się wokół tych słów i Frona nie znalazła odpowiedzi. Zamiast jakiejś jednej rzeczy, którą należałoby powiedzieć, chaos myśli zawirował w mózgu. Pomimo wszystko, czyż ojciec może zrozumieć? Czyż nie istnieje pomiędzy nimi różnica, która uniemożliwi mu zrozumienie przyczyn tak dla niej nieodparty? Pomimo bowiem całej swej tęsknoty do pierwotności i upartej obrony zdrowia i prawdy owej pierwotności — Frona nie była pewna, czy wrodzone, „tutejsze”, zasady ojca pokryją się całkowicie z jej wyrozumowaną filozofią. W chwilę później spróbowała spojrzeć na swój bieg myśli, jak postronny widz i odrzuciła go czym prędzej, ponieważ poczuła, że pachnie zdradą.

— Nic nie ma pomiędzy nami, ojciec — powiedziała zdecydowanie. — Pan St. Vincent nie powiedział mi nic, nic. Jesteśmy dobrymi przyjaciółmi, podobamy się sobie wzajemnie. Przypuszczam, że nic więcej.

— Podobacie się, powiadasz. On ci się podoba. Czy W taki sposób, w jaki mężczyzna musi podobać się kobiecie, zanim postanowi ona podzielić jego życie, roztopić się w nim cała? Czy czujesz tak, jak czuła Rut, kiedy wyrzekła: „Twój kraj jest moim krajem, twój Bóg jest moim Bogiem”?

— N-nie! Zresztą kto wie? W każdym razie nie umiem jeszcze, nie mogę jeszcze stanąć z tym twarzą w twarz. To wielkie słowa. Kiedy przychodzą do duszy, to myślę, że zjawiają się jak potężna, biała błyskawica, jak objawienie, które wszystko pochłania i zatapia w jednej olśniewającej, niewątpliwej prawdzie. Tak mi się przynajmniej zdaje.

Jakub Welse skinął głową w zamyśleniu, jak ktoś, kto rozumie, ale zastanawia się jeszcze, bojąc potwierdzić od razu.

— Czemu zapytałeś o to, ojczy? Czemu właśnie o tego człowieka? Przyjaźnię się przecie z kilkoma.

— Tak, ale w stosunku do żadnego nie czułem tego, co czuję do St. Vincenta. Bądźmy szczerzy wobec siebie i przebaczymy sobie nawzajem, jeśli jakie słowo nas zrani. Moje zdanie nie waży zresztą więcej niż zdanie innych ludzi. Mogę się mylić. Nie potrafię ci zresztą wytłumaczyć, czemu czuję tak, a nie inaczej. Może to właśnie taka pewność w rodzaju twojej białej błyskawicy. No, jednym słowem, nie podoba mi się ten człowiek.

— Bardzo pospolite zdanie pośród mężczyzn — odparła Frona, przechodząc od razu do obrony.

— Pospolitość tego zdania tylko je umacnia — odpowiedział łagodnie, nie wszczynając dyskusji. — Muszę pamiętać, że patrzę na niego okiem mężczyzny. Jego popularność pośród kobiet pochodzi widocznie stąd, że spojrzenie kobiety jest inne, tak samo jak inna jest jej dusza i jej ciało. Nie potrafię wytłumaczyć tego, co czuję. Ale idę za moją naturą i staram się być sprawiedliwy.

— Ale czy nie ma ojciec żadnych bardziej określonych zarzutów? — zapytała Frona, przyjmując jego stanowisko dla lepszego porozumienia. — Czy nie może ojciec powiązać pewnych faktów i wyjaśnić swoje uczucia?

— Raczej nie. Intuicję trudno jest wyrazić w formie określonych myśli, ale spróbuję. My, Welsowie, nie uznawaliśmy nigdy tchórzów. Wobec tchórzostwa wszystkie zalety są nic nie warte. To tak jak dom na piasku albo jak robak w drzewie. Toczy, toczy i nie wiadomo, kiedy drzewo runie.

— Ależ zdaje mi się, że pan St. Vincent jest ostatnim człowiekiem na świecie, któremu można by zarzucić tchórzostwo. Nie mogę sobie nawet wyobrazić...

Cierpienie widoczne na twarzy Frony zabolalo ojca. — Nie wiem nic złego o tym człowieku. Bardzo być może, że jest taki, jak się wydaje. Jednakże nie mam żadnej rady na to, co czuję. Słyszałem zresztą o pewnym drobiazgu, o jakiejś małej bójce w gospodzie. Nie mam nic przeciwko bójce ani gospodzie — mężczyźni są mężczyznami — ale mówiono mi, że tej nocy nie zachował się tak, jak na mężczyznę przystało.

— Ależ sam, ojczy, powiedziałaś, że mężczyźni są mężczyznami. Chciałybyśmy niewątpliwie, żeby byli inni, świat byłby wtedy lepszy, ale (trudno, musimy ich brać takimi, jakimi są. Lucile...

— Nie, nie, nie zrozumiałaś. Nie mówię o kobiecie. Mówię o bójce. On nie... no, dość że był tchórzem.

— Ale sam mówisz, że to tylko plotki. Pan St. Vincent opowiadał mi o tym później i nie przypuszczam, żeby się ośmielił, gdyby było coś...

— Nie przytaczam tego jako dowód — przerwał skwapliwie Jakub Welse. — Tylko tak mówią i możliwe, że plotkę tę stworzyła nieżyczliwość męska. Dowodów nie mam. Nie powinienem być o tym mówić, bo widziałem już nieraz w życiu, jak najporządniejsi ludzie trafiali kulą w płot. Współzawodnictwo, zazdrość — zwykła rzecz męska. Nie myślmy już o tym. Chciałem tylko poradzić i zdaje się, że chybiłem. Ale zrozum, Frono — wziął jej twarz w obie ręce i podniósł ku swojej — zrozum raz na zawsze i przede wszystkim, że jesteś moją córką i że życie twoje należy święcie i wyłącznie do ciebie. Masz prawo wygrać je lub przegrać. Masz prawo je przeżyć. Gdybym ja chciał ci je dyktować, nie zostałyby przeżyte przez ciebie. Zresztą, nie byłabyś z rodu Welse'ów, gdybyś pozwoliła dyktować sobie cokolwiek. Welse'owie woleli umrzeć — albo iść na pionierkę na koniec świata.

Cóż, gdybyś nawet uważała, że gospoda jest odpowiednim miejscem do wyrażania samej siebie — pozwoliłbym ci pójść tańczyć, chociaż cierpiałbym nad tym. Niemądre byłoby zatrzymywać cię i zresztą, to nie jest metoda Welse'ów. Staliśmy zawsze jeden przy drugim, ramię przy ramieniu na wielu straconych placówkach, w licznych beznadziejnych wyprawach. Ograniczenia są bezcelowe dla takich jak my. Dobre są dla bydła, które wejdzie w szkodę, o ile nie zobaczy parkanu. Słaby musi słuchać, albo musi zostać zdruzgotany. Silny — nie. Tłum jest niczym. Jednostka — wszystkim. Ona rządzi tłumem i stwarza prawa. Głupstwo, co powie świat! Gdyby dzisiaj Welse'owie porodzili nieprawą linię, byłaby to krew Welse'ów i ty byłabyś córką Welse'a, ja zaś w obliczu nieba, piekła i Boga samego stałbym przy tobie, Frono, przy swojej krwi.

— Szerzej patrzysz na świat niż ja — wyszeptała, całując czoło ojca. Pieszczota jej warg wydała mu się jak miękkie dotknięcie liścia, padającego w cichym powietrzu wczesnej jesieni.

Kominek przygasał, chłód wpełzał z wolna do pokoju, zaś Jakub Welse opowiadał córce o jej babce i o dziadzie, owym upartym Welsie, który walczył w wielkiej, samotnej walce i umarł, walcząc, w Mieście Skarbów.

ROZDZIAŁ XVI

„Dom lalki” udał się znakomicie. Pani Schoville zachwycała się przedstawieniem tak niezmiernie i tak beztreściwie, że Jakub Welse, stojący koło niej, rzucał ogniste spojrzenia na jej pulchną, białą szyję i nieświadomie zaciskał pięści. Dave Harney również przyznawał sztuce pełną doskonałość, kwestionował tylko słusność filozofii Nory i twierdził, że Torvald był najgłupszym osłem na obu półkulach. Nawet panna Mortimer, zawzięta antagonistka Ibsena, przyznała, że aktorzy ocalili autora. Matt Mc Carthy zaopiniował, że bynajmniej nie osądza miłej Nory, chociaż wyznał prywatnie panu komisarzowi, że jakiś kuplecik albo zgoła taniec solowy bardzo uprzyjemniłby przedstawienie.

— Kochana Nora miała zupełną rację — wmawiał Harney’owi, idąc z nim w ślad za Froną i St. Vincentem. — Widziałem...

— Kalosze...

— Do diabła z kaloszami! — wykrzyknął z wściekłością Matt.

— Właśnie jak powiadam — ciągnął niezmaćcenie Harney. — Wysokie kalosze gumowe podskoczyły w cenie jak szalone od czasu ostatniej powodzi. Dojdą do trzech uncyj za parę, możesz się pan założyć o nie wiem co. Teraz możesz pan zakupić całą partię po uncji za parę, a potem zarobić, jak się patrzy. Pyszna operacja, Matt!

— Idź do diabła z twoją operacją! Myślę teraz tylko o biednej, kochanej Norze.

Pożegnali Fronę i St. Vincenta, po czym skręcili ku gospodarzowi, kłócąc się dalej pod jasnością gwiazd. Gregory St. Vincent westchnął z ulgą.

— Nareszcie! — wymówił.

— Co nareszcie? — zagadnęła bez zaciekawienia Frona.

— Nareszcie pierwsza okazja powiedzenia pani, jak cudownie pani grała. Ostatnią scenę odtworzyła pani tak żywo, że... że naprawdę cierpiałem, jakby pani na zawsze odchodziła z mego życia.

— Cóż za nieszczęście!

— Tak, to, było okropne.

— Nie!

— Ależ tak. Przeżywałem to naprawdę. Pani nie była Nora, pani była Frona. A ja nie byłem Torvaldem, tylko sobą. Kiedy pani włożyła czapeczkę, okrycie i odchodziła już precz z tą walizeczką, czułem, że nie dokończę swojej roli. A kiedy drzwi zamknęły się i pani znikła — ocaliła mnie tylko... kurtyna. Ona wróciła mi przytomność, inaczej byłbym pobiegł za panią w oczach całej publiczności.

— To dziwne, jak udana sytuacja może podziałać na człowieka — rozważała Frona.

— To znaczy?... — poddał St. Vincent.

Frona nie odpowiedziała i szli dalej w milczeniu. Dziewczyna była wciąż jeszcze pod wrażeniem wieczoru i uniesienie, którego doznała jako Nora, nie minęło jeszcze. Poza tym dosłyszała treść ukrytą poza słowami St. Vincenta i ogarnięta została przez nieśmiałość, jaka zawsze przychodzi na kobietę, stojącą na granicy głębokiej poufałości z mężczyzną.

Noc była jasna, cicha, zimna, niezbyt mroźna — ze czterdzieści poniżej zera — ziemia leżała skąpana w miękkim, płynnym strumieniu światła, którego źródłem nie były gwiazdy ani nawet księżyc, wstający o tej chwili gdzieś na drugim krańcu świata. Z południowego wschodu na północny zachód jasnozielona otęcz obrzeżała niebiosa i ona to siała tę bladą poświatę.

Nagle niby promień reflektora, błysnął nad głową biały blask. Noc stała się w tej chwili widmowym dniem — potem zapadła w głębszą ciemność. Jedyne od strony południowego wschodu zjawiał się jakowyś bezszelestny ruch. Zielony pożar piecił się, fermentował, wybuchał i kusząco wyciągał w przestworza bezcielesne ramiona. Raz jeszcze olbrzymia rakietą przecięła zuchwale niebo, od widnokręgu do zenitu, po czym znowu, niby w lęku pierzchnęła ku krańcom stropu. Lecz światłość nie mogła utrzymać się długo — wchłaniać ją poczęła noc. A przecież raz jeszcze, szerzej, mocniej, głębiej, szybciej, rozsiewając promienie na prawo i lewo, zorza załała zenit potężnym blaskiem i spłynęła zwycięsko ku przeciwległemu krańcowi widnokręgu. Poprzez niebiosa nareszcie przerzucony został most — i trwał.

Nagle cisza owego płomiennego triumfu przerwana została głosami ziemi. Dziesięć tysięcy wilczurów przeciągłym, zestrojonym zewem cisnęło niebu swą skargę i żalność. Frona drgnęła i St. Vincent leciutko objął ją w pół. Kobiecość jej odczuła dotknięcie mężczyzny i odpowiedziała cichutkim dreszczem zamglonej rozkoszy. Nie oparła się. Wilczury zawodziły u jej stóp, zorza powiewała nad głową — ramię męskie otuliło mocniej.

— Czyż trzeba mówić? — zaszeptał.

W zmęczonej uldze oparła głowę na mocnym ramieniu. Razem patrzyli teraz na płomień, w którym gasły i topiły się gwiazdy. Rozwiane, strzępiaste, pulsujące, kołysane potężnym rytmem płynęły kolory tęczy świetlistą pożogą poprzez firmament. Wreszcie u stropu niebios rozgorzał olbrzymi snop, w którym królewska purpura zlewała się z zielenią morskich głębin. Dookoła, białymi nićmi powiewały świetliste osnowy i jaśniejące wątki, aż najcieńszy z tiulów świata, rozżarzony i czarujący, rzucony został leciutko i powiewnie na oblicze zdumionej nocy.

Nagle, nieoczekiwanie świetlisty snop zerwał zuchwałe ramię ciemności. Łuk roztopił się w rumianym mieszanin. Rozwarły się przepaści czerni, rosły w głąb i zlewały w jedno.

Rozbite fale barw rozsypanych i ogni nikonących pierzchały trwożnie ku widnokręgowi. Nareszcie władztwo nocy wzniosło się niewzruszone, nieodparte, niezłomne — olbrzymie. Powróciły gwiazdy jedna po drugiej i znowu żałośnie zawyły wilczury.

— Tak mało mogę ci ofiarować, najdroższa — wymówił mężczyzna z ledwo dosłyszalną goryczą. — Zmienną fortunę wędrowca...

Na to kobieta, ujmując męską rękę i kładąc ją na sercu, wyrzekła słowa jednej z wielkich kobiet: „Szałas i suchy chleb z tobą, Ryszardzie”.

ROZDZIAŁ XVII

How-ha była tylko Indianką, zrodzoną z długiego szeregu pokoleń rybożernych drapieżników, toteż etykę posiadała równie pierwotną i prostą jak krew. Jednakże długie przebywanie pośród białych dało jej pewne pojęcie o ich sposobie patrzenia na rzeczy i chociaż po cichu mruzczała nieraz pogardliwie, niemniej rozumiała doskonale zwyczaje panów świata. Od lat dziesięciu służyła w domu Jakuba Welse'a, toteż gdy pewnego mroźnego ranka styczniowego otworzyła drzwi frontowe w odpowiedzi na głośnie stukanie — cofnęła się zgorszona na widok gościa. Przeciętny mężczyzna lub kobieta nie potrafiłby poznać osoby przybyłej, ale zdolności spostrzegawcze How-ha rozwijały się w twardej szkole, gdzie cios śmierci czyhał na opieszalego — życie witało czujnych.

How-ha od stóp do głowy obejrzała stojącą przed nią kobietę. Gęsta, wełniana woalka tłumiała blask oczu, włosy okrywał kaptur parki, zaś sama parka osłaniała w zupełności linie ciała. Ale How-ha patrzyła długo i bacznie. Coś znajomego było w tej postaci. Obejrzała raz jeszcze otuloną głowę i — wiedziała już nieomylnie. Wtedy oczy Indianki przygasły. Przechodzić poczęła myślą wszystkie ciasne korytarze swego mózgu, oglądając ubogie półki, skąpo obciążone doświadczeniami mizernego żywota. Żadnego nieładu; żadnego chaosu wspomnień, żadnych mglistych śladów złożonych wzruszeń, splątanych teoryj lub oderwanych zawrotnych pojęć — nic prócz prostych faktów, dokładnie rozklasyfikowanych i równiutko, wygodnie ułożonych. Bez wahania i omyłki wybrała co należy z zapasów przeszłości i przymierzyła do chwili obecnej. Wtedy ciemności osłaniające nieznaną rozjaśniły się od razu; How-ha wiedziała już wszystko: słowa, czyny, wygląd, dzieje.

— Lepiej ty iść sobie szybko — szybko — oświadczyła gościowi.

— Panna Welse. Chcę ją widzieć.

Obca kobieta mówiła ostrym, stanowczym głosem, który jednak bynajmniej nie poruszył How-ha.

— Ty lepiej iść — powtórzyła uparcie.

— Masz, oddaj to pannie Welse i — ach! puśćże nareszcie! — (kolano nieznajomej rozepchnęło drzwi) — i zostaw drzwi otwarte.

How-ha zmarszczyła się, ale wzięła kartkę, nie mogła bowiem otrząsnąć się z dziesięcioletniego posłuszeństwa.

„Czy mogę widzieć Banią? Lucile” — głosila karteczka. Frona spojrzała pytająco na Indiankę.

— Stać koło drzwi — wyjaśniła How-ha. — Ja mówić iść precz szybko, szybko. E? Pani myśleć wpuścić? Ona niedobra. Ona...

— Wprowadź ją do salonu — Frona myślała szybko — nie, słuchaj, przyprowadź ją tu do mnie.

— Lepiej...

— Idź!

How-ha burknęła, ale znów nie oparła się swemu posłuszeństwu, chociaż schodząc ze schodów dziwiła się półświadomie, czemu przypadkowe posiadanie jasnej lub ciemnej skóry czyni z człowieka pana lub sługę.

Jednym szybkim rzutem oka Lucile ogarnęła Fronę podającą jej rękę z uśmiechem, strojną toaletkę, całą prostą wytworność pokoju, mnóstwo dziewczęcych drobiazgów. Słodka świeżość wionęła ku niej, własna dziewczęcość wstała nagle w pamięci i pochłonęła chwilę obecną. Po czym puste spojrzenie i słuch obojętny zwróciła Lucile ku sprawom zewnętrznym.

— Cieszę się, że panią widzę — mówiła Frona. — Bardzo chciałam zobaczyć panią jeszcze i — ależ proszę zdjąć ten ciężki płaszcz. Jakie wspaniałe futro, jaka misterna robota!

— Tak, przywiezione z Syberii. — „Prezent od St. Vincenta” o mały włos nie dodała Lucile, ale zamiast tego powiedziała tylko: — Syberyjczycy nie nauczyli się jeszcze skąpić swojej pracy.

Zanurzyła się w głęboki bujak, ruchem pełnym wrodzonego wdzięku, który nie uszedł baczności oka Frony. Lucile w milczeniu i z hardo odrzuconą głową słuchała słów pani domu i w miarę jak upływały minuty, dostrzegała wesoło, że tamta całym wysiłkiem podtrzymuje konwersację.

— Po co ona przyszła? — zapytała Frona samej siebie, gawędząc o futrach, pogodzie i rozmaitych różnościach.

— Jeżeli pani nie przemówi ani słowa, Lucile, to się doprawdy zdenerwuję! — cisnęła wreszcie z desperacją. — Czy stało się coś złego?

Lucile podeszła do lustra i wzięła stojącą pod nim maleńką ręczną miniaturę Frony.
— To pani? Ile lat miała pani wtedy?

— Szesnaście.

— Boginka, ale zimna, północna.

— Nasza krew rozgrzewa się późno — odparła Frona. — Niemniej...

— Niemniej jest dość gorąca — roześmiała się Lucile. — A ile lat ma pani teraz?

— Dwadzieścia.

— Dwadzieścia — powtórzyła przeciągle Lucile. — Dwadzieścia. — Usiadła znowu.

— Pani ma dwadzieścia lat. A ja dwadzieścia cztery.

— Bardzo mała różnica!

— Ale nasza krew rozgrzewa się wcześniej — rzuciła Lucile swój głuchy wyrzut, jakby poprzez przepaść, której nie mogły wypełnić owe cztery lata.

Frona z trudnością panowała nad rozdrażnieniem. Lucile znowu wstała, popatrzyła na miniaturę i znowu usiadła.

— Co pani myśli o miłości? — zapytała nagle, rozjaśniając twarz nieoczekiwanym uśmiechem.

— Miłość?... — zawahała się dziewczyna.

— Tak, miłość. Co pani wie o niej? Co pani o niej myśli?

Potok wyrazów różowych i rumianych uderzył na usta Frony, ale odsunęła je i odpowiedziała krótko:

— Miłość jest poświęceniem siebie.

— Doskonale, ofiarą. A potem cóż? Czy ofiara się opłaca?

— Tak. Zapewne. Któż w to wątpi? Oczy Lucile błysnęły rozbawieniem.

— Dlaczego się pani uśmiecha? — zapytała Frona.

— Proszę posłuchać! — Lucile wstała nagle, zarumieniona. — Mam dwadzieścia cztery lata. Nie potwór i nie dureń. Serce mam również. Krew czerwoną i gorącą. Kochałam. Nie pamiętam, żeby mi się odwdzięczono. Nie. Zawsze ja płaciłam sobą.

— Przez to samo została pani zapłacona — odrzekła gorąco Frona. — Strata była zyskiem. Choćby miłość była chybiona, jednak istniała miłość. Pani żyła, pani czuła — czegoż chcieć więcej?

— Dziecinna miłość — sarknęła Lucile.

— O, nie ma pani słuszności.

— Mam słuszność — nastawała Lucile. — Powiedziała pani, że pani wie i nie ma ślepych oczu ani zasłony na twarzy. Dotknąwszy czary zaledwie brzegiem warg, odgadła

pani smak napoju i zdecydowała, że smak ten jest dobry. Ba! Dziecinna miłość. I... ach, Frona, ja wiem! Pani jest bardzo kobieca, bardzo tolerancyjna, i nie zwraca uwagi na drobiazgi, ale... — smukłym palcem dotknęła czoła — to wszystko jest tu. To wyobraźnia, to mózg. Za dużo wahała pani pary tego napoju: poezji. Ale wypij do dna, przewróć kubek i wtedy powiedz, że smaczne! Nie, Boże broń! — zawołała namiętnie. — Istnieją dobre miłości. Pani mogłaby znaleźć prawdę, nie maskaradę — czystą, jasną miłość...

Frona swoistym ruchem — wspólnym ruchem ich obu — chwyciła rękę Lucile. — Pani dowodzi, że ja odczuwam fałszywie. Nie mam nic na swoją obronę. Pani ma fakty — ja tylko wyobrażenia. Żyłam tak mało, że nie mogę teoretycznie zarzucać kłamstwa pani, która żyła tak wiele.

— Jeśli czyjeś serce żyje wiele razy, wiele też razy umrzeć musi.

Lucile, z głębi swego cierpienia, mówiła bolesne słowa i Frona, objawszy ją ramionami, wyłkała na jej piersi serdeczne swe zrozumienie. Lucile zaś, rozpogodziwszy nerwowe zmarszczenie czoła, musnęła leciutkim, potajemnym, macierzyńskim pocałunkiem jasne włosy tamtej. Potem nagle brwi zmarszczyły się mocniej i wargi ostygły. Odsunęła od siebie Fronę.

— Pani ma zamiar poślubić Gregory St. Vincenta?

Frona była oszołomiona. Nowina liczyła dopiero dwa tygodnie i nikomu nie mówiono ani słówka.

— Skąd pani wie?

— Już mi pani odpowiedziała. — Lucile spojrzała prosto w otwartą twarz Frony i rosnącą na niej zuchwałą odporność; poczuła się niby wytrawny szermierz przed bezbronny przeciwnikiem. — Skąd ja wiem? — roześmiała się brutalnie. — Kiedy mężczyzna porzuca nagle kobiece ramiona, mając jeszcze wargi wilgotne od ostatnich pocałunków i usta otwarte po ostatnim kłamstwie.

— I ?...

— I zapomina do tych ramion powrócić...

— Tak? — Krew Welse'ów zawrzała nagle. Wilgotna mgła na oczach wyschła raptownie, niby od gorącego dotknięcia słońca. Spojrzenie błysnęło ostro. — Ach, więc oto jest przyczyna, która panią tu przyprowadziła! Mogłam się była domyślić, gdybym chciała słuchać plotek miejskich...

— Jeszcze nie za późno — skrzywiła wargi Lucile. — Wszystko zależy od pani.

— Nie wątpię. Ale zastanawiam się teraz, do czego pani zmierza? Czy ma pani zamiar opowiadać, jaki on był dla pani, co mówił i jak całował? Pozwoli pani powiedzieć sobie, że to zbytteczne. On Jest mężczyzną, my obie — kobietami.

— Nie — skłamała Lucile, połykając zdumienie. — Nie przypuszczam bynajmniej, że jego przeszłość zgorszy panią. Wiedziałam, że pani jest na to zbyt rozumna. Ale... ale czy wzięła pani pod uwagę — mnie?

Frona przez chwilę chwytła oddech. Potem nagle wyciągnęła ręce, jakby broniąc swego mężczyzny przed ramionami tej drugiej.

— Istny ojciec! — wykrzyknęła Lucile. — Ach, wy, niemożliwi Welse'owie! Ale St. Vincent nie jest wart pani, Frono Welse — ciągnęła dalej. — Mnie — tak. To nie jest człowiek dobry ani dużej miary. Jego miłość nie pasuje do twojej. Ba! On w ogóle nie zna miłości. W najlepszym razie mniejszą lub większą namiętność. Tego przecież pani nie chce, a nic innego on dać nie potrafi. Pani zaś? Cóż ofiaruje mu pani? Całą siebie? Karygodne marnotrawstwo. Ale złoto pani ojca...

— Dosyć! Nie chcę dalej słuchać. To niegodnie z pani strony — broniła się dziewczyna, po czym rzuciła nagle, z zuchwałą niekonsekwencją. — A cóż mu ofiaruje kobieta imieniem Lucile?

— Kilka chwil szału — brzmiała natychmiastowa odpowiedź. — Płomienny wybuch szczęścia i potem gorycz piekieł, na którą zresztą zasługuje zarówno on, jak ja. Równowaga zostaje w ten sposób utrzymana — i wszystko jest w porządku.

— Ale... ale...

— Bo w nim mieszka szatan — mówiła dalej — uroczy szatan, który mnie czaruje, a którego oby pani nigdy nie poznała. Frono! Pani nie ma w sobie szatana. Mój — napotyka tamtego. Nie waham się wyznać, że dla mnie cały ten romans jest tylko chwilową rozrywką. Nie ma nic stałego ani we mnie, ani w nim. W obojgu jest natomiast poczucie piękna. Równowaga zachowana.

Frona odchyliła się w fotelu i leniwie spoglądała na swego gościa. Lucile czekała na odpowiedź. Ale trwało milczenie.

— Więc? — zagadnęła wreszcie Lucile niskim, pełnym ciekawości głosem, wstając i powoli narzucając płaszcz.

— Więc nic! Czekam.

— Ja już skończyłam.

— Więc teraz pozwolę sobie stwierdzić, że nie rozumiem pani — sumowała chłodno Frona. — Nie mogę jakoś odnaleźć istotnej przyczyny pani słów. Coś fałszywego w nich

dźwięczało. Jednego jestem pewna: dla jakiejś niezrozumiałej przyczyny zdradziła dziś pani samą siebie. Proszę mnie nie pytać o wyjaśnienia, bo powiedziałam już, że nie wiem, co i dlaczego. Wiem tylko na pewno, że pani nie jest tą Lucile, którą spotkałam nad rzeką. Tamta była prawdziwa. Dzisiejsza jest jakaś obca. Nie znam jej. Czasem podobna jest do prawdziwej, ale rzadko. Ta dzisiejsza kłamała, kłamała mówiąc o mnie i kłamała mówiąc o sobie. To, co powiedziała o mężczyźnie, to najgorsze, jest tylko jej poglądem osobistym. Zresztą, może również skłamanym. Cóż pani na to?

— Że pani jest mądra dziewczyna, Frono. Że czasem ocenia pani rzeczywistość bardziej prawdziwie, niż sama przypuszcza, a jednak niekiedy jest pani również bardziej ślepa, niż pani myśli.

— Jest w pani coś, co mogłabym kochać, ale tak głęboko ukryte, że nie mogę do tego dotrzeć!

Wargi Lucile zadrżały na samej granicy jakichś słów. Ale tylko otuliła się w płaszcz i ruszyła ku drzwiom.

Frona odprowadziła ją sama aż do przedpokoju i How-ha mogła tylko dziwić się białemu człowiekowi, który sam stwarza prawo i sam je łamie.

Kiedy zamknęły się drzwi domu Welse'ów, Lucile splunęła w śnieg.

— Fe! St. Vincent! Splamiłam sobie wargi twoim imieniem.

I splunęła raz jeszcze.

— Wejść!

Na dźwięk tego słowa Matt Mc Carthy pociągnął za rzemyk u drzwi, wszedł i zamknął drzwi starannie za sobą.

— O! To pan! — St. Vincent spojrzął błędnie na gościa, po czym oprzytomniawszy wyciągnął rękę. — Witam, witam kochany panie Matt. Byłem myślą o tysiąc mil, kiedyś pan wszedł. Proszę siadać i rozgościć się. Tu ma pan tytoń pod ręką. Spróbuj pan i powiedz, czy dobry. — „Nic dziwnego, że był myślą o tysiąc mil” przemknęło przez głowę gościa, po ciemku bowiem wyminął był właśnie kobietę, jakoś bardzo podobną do Lucile. Głośno powiedział tylko: — Hm, tak, śniłeś pan sen na jawie, nic dziwnego.

— Dlaczegoż to? — zapytał wesoło korespondent.

— Dlatego że spotkałem tu niedaleko Lucile, a pięty jej mokasynów wskazywały na pański domek. Złe języki mówią, że dziewczynka zawsze na zawołanie — zachichotał Matt.

— To właśnie najgorsze — odpowiedział szczerze. — Mężczyzna pobawi się przez chwilę, a kobieta wymaga, żeby to trwało całą wieczność.

— Trudno pozbyć się starej miłości, hę?

— Właśnie. Pan rozumie. Musiał pan mieć niemałe doświadczenie za dawnych dobrych czasów.

— Dawnych dobrych czasów? Raczy pan zauważyć, że i dzisiaj jeszcze nie nadaję się do lamusa.

— Tak, tak, naturalnie. Można to od razu wyczytać w oczach. Gorące serce i błyszczące oczy, Matt! — Poklepał gościa po ramieniu, śmiejąc się kordialnie.

— Ale gdzie mi tam do pana, Vincent. Z pana to prawdziwy pożeracz serc. Ileż musiało być pocałunków, ile dramatów! Ale, panie St. Vincent, czy znał pan kiedy prawdziwą miłość?

— Co pan przez to rozumie?

— Prawdziwą, prawdziwą... no, to znaczy... czy był pan kiedykolwiek ojcem?

St. Vincent zaprzeczył ruchem głowy.

— Ja również nie. Ale czy zna pan pomimo to miłość ojcowską?

— Nie. Kaczej nie.

— A ja znam. I oto jest właśnie prawdziwa miłość. Gdyby kiedykolwiek mężczyzna wykarmił dziecię, czułby chyba to samo co ja. To było dziecko, dziewczynka, teraz jest kobietą i o ile to możliwe, kocham ją więcej, niż jej rodzony ojciec. Niestety, prócz niej kochałem jedną tylko kobietę, ale ta była żoną innego. Nigdy nikomu nie pisałem o tym ani słówka, nawet jej samej. Ale już umarła, świeć Panie nad jej duszą.

Głowa pochyliła się na pierś, myśl pobiegła w przeszłość, ku jasnowłosej Saksonce, która niby promień słońca snuła się po drewnianym domku koło sklepu nad rzeką Dyea. Matt spojrzał nagle na St. Vincenta. Tamten wbił w podłogę zamysłone oczy i zdawał się nie słuchać.

— Krok do wariacji, panie St. Vincent. Dziennikarz ocknął się z wysiłkiem i dostrzegł świdrujące, maleńkie, niebieskie oczy Irlandczyka.

— Czy pan jest mężnym człowiekiem, St. Vincent?

Przez jedno mgnienie oka każdy z nich szperał w duszy drugiego. I wtedy Matt byłby przysiągł, że dostrzegł jakieś cienie czy drżenia w oczach tamtego.

Triumfalnym ciosem pięści wyrznął w stół.

— Na Boga! Nie!

Dziennikarz przysunął sobie tytoń i kręcić począł papierosa. Kręcił go starannie, powoli, uważnie zwijając wiotką bibułkę. Nie drgnęła mu ręka, ale zwolna, cichaczem fala rumieńca zalewała poczęła twarz od kołnierza koszuli poprzez policzki aż ku czołu.

— Doskonale. Przynajmniej nie będę sobie brudził rąk. Słuchaj no, Vincent. Dziecko, które stało się kobietą, śpi w Dawson dzisiejszej nocy. Bóg nam dopomóż — ale nigdy równie czystej głowy nie złożyliśmy na poduszkach. Vincent, tylko jedno słowo: Ty nie ośmielisz się sięgnąć po tę kobietę.

Szatan, o którym mówiła Lucile, począł się budzić — gniewny, zapalczywy, ślepy bies.

— Pan mi się nie podoba. Dlaczego — o tym zamilczę. Wystarczy fakt. Weź pan to pod uwagę i zapamiętaj: jeśli kiedykolwiek będziesz pan dość szalony, żeby ją poślubić, nie doczekasz końca tego przekłętą dnia i nie zobaczysz ślubnego łoża. Cóż, chłopcze, mógłbym cię rozkwasić na śmierć gołymi pięściami. Ale załatwię to bardziej elegancko. Już się nie bój. Obiecuję solennie.

— Ty świni irlandzka!

Bies wybuchnął i w tej samej chwili Matt Mc Carthy znalazł się tuż przed wycelowaną lufą rewolweru.

— Czy nabity? — zapytał. — Zapewne tak. Więc czemuż pan zwleka? Dalej go, podnieś kurek!

Palec dziennikarza, oparty na spuście, poruszył się; dźwięknął lekki, ostrzegawczy trzask.

— Teraz pociągnąć za spust. No, już! Alboż to można, z takimi latającymi oczami?

St. Vincent próbował odwrócić głowę w bok.

— Patrz na mnie, człowieku! — rozkazał Matt. — Patrz na mnie, kiedy strzelasz!

Mimo woli ruch głowy zastygł, oczy wróciły posłusznie ku oczom Irlandczyka.

— Już!...

St. Vincent zgrzytnął zębami i pociągnął za spust — a raczej przypuszczał, że pociągnął, jak ludzie czynią we śnie. Chciał, kazał sobie, ale drzenie duszy powstrzymało czyn.

— Cóż, paluszek sparaliżowany, hę? — roześmiał się zjadliwie Matt prosto w twarz swojej ofiary. — No, teraz lufę na bok, tak, teraz kureczek spuść. Powolutku... po cichutku... Uważnie... Głos rozplynał mu się w kołyszącym diminuendo.

Kiedy kurek spuszczonej został bezpiecznie, St. Vincent wypuścił z rąk rewolwer i z westchnieniem ulgi padł na krzesło. Próbował się wyprostować, ale tylko ciężko złożył głowę na stół, kryjąc twarz w bezsilne dłonie. Matt naciągnął rękawice, popatrzył przez chwilę litościwie i wyszedł cichutko, zamykając za sobą drzwi.

ROZDZIAŁ XVIII

Tam, gdzie ręce natury twarde są i szorstkie, ludzie rosną równie twardzi i szorstcy. Miękkość życia wyrasta tylko z bujnej ziemi i pod ciepłym słońcem. Mglisty i wilgotny klimat Wielkiej Brytanii pcha ludzi ku mocnym trunkom, różany Wschód nawiewa sny przepyszne jak kwiat lotosu. Ludzie Północy o szerokich barach i białej skórze, ogromni, mocni i okrutni, nie tają swego gniewu i uderzają żyłastą pięścią prosto w twarz wroga. Gibki południowiec, jedwabny w uśmiechu i leniwy w ruchach, czeka i rzecz swą czyni poza plecami, wdzięcznie, bez obrazy, kiedy nie patrzy nikt. Cele ich są jednakże — różne są drogi do celów. O drogach owych w wielkiej mierze rozstrzyga klimat. Obaj są grzesznikami, jak wszyscy synowie Ewy, lecz jeden grzeszy otwarcie; drugi — jak gdyby Bóg mógł nie widzieć — osłania zło swoje blaskiem fantastycznym, niby jakąś wspaniałą tajemnicę.

Tacy oto bywają synowie ziemi, kształtowani przez słońce, wiatry, krew ojcową i matczyne mleko. Każdy jest dziećciem mnogich sił, które nań napierają i urabiają w kształt przeznaczony. Mając jednak silne i wolne nogi, człowiek uciec może od jednych sił i wpaść w moc innych. Jeśli uciekać będzie ciągle, coraz to inne siły uderzać go będą w biegu, a kiedy umrze, będzie jednak kształtem naporu owych wszystkich mocy. Wystarczy zamienić noworodki w kołyskach i oto dziecię niewolnika nosić będzie porpurę iście po królewsku, infant zaś nauczy się żebrać tak pokornie i grzbiet uginać pod batem tak nisko, jak najnędrniejszy z poddanych jego ojca. Wygłodzony wykwintniś, trafiwszy na smaczną strawę, pożre ją z zacięciem świni z sąsiedniego chlewa, zaś epikurejczyk, znalazłszy się w lepiance Eskimosa, musi wychwalać tłuszcz wielorybi albo — umrzeć.

Tak też, na nowo odkrytej Północy, mroźnej, ponurej i grozy pełnej, ludzie odrzucili powolność Południa i wielką bitwę wydali naturze. Odrzucili też całą nieomal powłokę cywilizacji — wiele jej szaleństw, większość jej słabości i może nawet niektóre z jej cnót. Może. Zachowali jednak wszystkie wielkie tradycje rasy i raz wreszcie żyli szczerze, śmieli się uczciwie i patrzyli jeden drugiemu prosto w oczy.

Toteż nie jest dobrze, aby kobieta, urodzona na południe od pięćdziesiątego trzeciego stopnia i wychowana miękkimi rękoma, wędrowała samotnie na Północ. Trzeba na to nie lada odwagi i niemalej dobroduszości. Kobieta może być miękka, czuła i wrażliwa, mieć oczy pełne czystości i piękna, uszy zaś nawykłe do łagodnych słów — ale wtedy tylko wyjdzie bez szwanku i pojmie Północ do głębi, jeśli posiada światopogląd zdrowy, niezachwiany i dość szeroki, by rozumieć i przebaczać. Jeśli go nie posiada — usłyszy i zobaczy rzeczy, które przecierpi boleśnie i straci wiarę w mężczyznę — a jest to największe zło, jakie spotkać może kobietę. Należy ją więc strzec i chronić troskliwie i jest to zadanie mężczyzn, najbliższych z jej rodziny. Najlepiej byłoby wyszukać domek na jakimś wzgórzu ponad Dawson albo nawet po drugiej stronie Yukonu, na brzegu zachodnim. Niech kobieta nie pokazuje się w mieście bez poważnej opieki męskiej. Stok wzgórza wystarczy w zupełności dla swobody jej płuc i ruchu mięśni. Tam nie dosięgnie jej brutalny gwar życia mężczyzn, którzy walczą całym natężeniem sił.

Vance Corliss wytarł ostatni talerz blaszany i postawił na półce. Potem wyciągnął się na posłaniu i pogрузił w kontemplacji mchem porostej powały swojej chatki na Francuskim Wzgórzu. Chatka owa stała na ostatnim występie Wzgórza, ponad potokiem Eldorado, w pobliżu ludnego szlaku; jedyne okienko chaty spoglądało wesołym światełkiem na zapóźnionych podróżnych.

Kopnięte drzwi rozwarły się gwałtownie. Del Bishop wszedł schylony pod ciężarem drewna. Oddech zamarł mu na twarzy tak twardą skorupą, że kopacz na razie nie mógł przemówić słowa. Był to stan tak nieznośny, że Del czym prędzej pochylił twarz nad piecem. Zamróz stopniał i spłynął natychmiast, drobne strumyczki zatańczyły, sycząc na rozgrzanym do białości żelazie. Potem z brody sypać się poczęły kawałeczki lodu, poślizgały się przez chwilę po fajercie i powiały ku górze obłoczkami pary.

— Sprawdzacie doświadczalnie istnienie trzech stanów skupienia — zaśmiał się Vance, doskonale udając monotonne sapanie kopacza. — Oto macie stan stały, płynny i gazowy.

— T... t... to wszystko bardzo pięknie — splunął Del, walcząc z jakimś opornym soptem, który wreszcie zdarty został z górnej wargi i gniewnie ciśnięty na piec.

— Ile jest stopni, Del, jak myślicie? Z pięćdziesiąt?

— Pięćdziesiąt? — zapytał kopacz z niezmierną wzdrgardą, ocierając starannie twarz. — Rtęć zamarzała od paru godzin, a z każdą chwilą robi się coraz zimniej. Pięćdziesiąt? Postawię swoje nowe rękawice za pańskie stare mokasyny, że ani źdźbła mniej niż siedemdziesiąt,

— Tak przypuszczacie?...

— Idzie pan o zakład? Vance potwierdził uśmiechem.

— Ale Celsjusza czy Fahrenheita? — zapytał Del, nagle podejrzliwy.

— Och, jeśli aż tak bardzo pragniecie moich starych mokasynów — odciął Vance, dotknięty tym brakiem zaufania — możecie je sobie wziąć bez zakładu.

Del warknął coś i rzucił się na swoją ławę.

— Myślę, że pan żartuje, hę? — zagadnął po chwili, a nie otrzymawszy odpowiedzi, uznał milczenie za potwierdzenie. Ułożył się wygodniej i również z zapalem studiować począł powalę porośłą mchem.

Piętnaście minut tej rozrywki wystarczyło.

— Zagra pan jednego robra przed snem? — rzucił w stronę drugiej ławy.

— Zgoda — odrzekł Corliss, wstał, przeciągnął się, zdjął z półki lampkę naftową i postawił ją na stole.

— Myślicie, że nam starczy? — zagadnął, przyglądając się poziomowi nafty poprzez tanie szkło.

Bishop wyłożył na stół karty i oczyma zmierzył zawartość lampy.

— Zapomniałem nalać! Teraz za późno. Jutro naleję. No, ale tylko jednego robra.

Corliss wziął karty do rąk, lecz po chwili przerwał tasowanie.

— Mamy przed sobą dużą podróż, Del, za jakiś miesiąc, tak w połowie marca, ruszymy w górę rzeki Stuart do Mc Question. Potem w górę Mc Question, potem z powrotem z biegiem Mayo; stamtąd na przełaj do Mary May, skąd skręcimy ku potokowi Hendersona.

— Na rzece Indian?

— Nie — odrzekł Corliss, zaczynając rozdawać. — Akurat poniżej tego miejsca, gdzie rzeka Stuart wpada do Yukonu. A potem wrócimy do Dawson, zanim ruszą lody.

Oczy kopacza zalśniły. — Trzeba będzie żywo zbierać nogi, ale przechadzka niezła, co się zowie. Żyłka?

— Dostałem wiadomość od partii Parkera znad Mayo i Mc Pherson nad potokiem Hendersona też nie zasypia gruszek w popiele. Nie znacie go jeszcze. Od niego co prawda nie mam wiadomości, więc nie jestem pewien, czy tam jest co ciekawego, ale w każdym razie...

Bishop kiwał głową ze zrozumieniem. Corliss zaś odkrył atutową kartę. Przyjemna wizja pewnych „dwudziestu czterech” nęciła już oczy Bishopa, kiedy nagle gwar głosów rozległ się za drzwiami. Ktoś zastukał mocno.

— Wejść! — huknął kopacz — i nie robić gwałtu! Patrz no pan — mówił do Corlissa, pakując mu swoje karty pod sam nos — piętnaście — osiem — piętnaście — szesnaście i osiem będzie dwadzieścia cztery. Mam szczęście!

Corliss zerwał się nagle na równe nogi. Bishop obejrzał się pośpiesznie. Dwie kobiety i jeden mężczyzna włązili niezdarnie do izby i stanęli oślepieni światłem.

— Na głowę proroka! Cornell! — Kopacz chwycił rękę przybyłego i włożył go na środek izby. — Pamięta pan. Cornella, panie Corliss? Jake Cornell. Numer trzydzieści siedem i pół, na Eldorado.

— Jakżeż mógłbym zapomnieć? — odrzekł serdecznie inżynier, potrząsając dłonią gościa. — Ciężka to była noc, kiedy pan nas gościł zeszłej jesieni, ale za to befszytk jeleni udał się panu znakomicie.

Jake Cornell, owłosiony i trupio blady kiwał zawzięcie głową, stawiając na stół wcale okazałą butlę. Kiwał głową i dziko oglądał się na wszystkie strony. Dostrzegł piec, poczłapał ku niemu, podniósł fajerkę i wypluł porcję żółtego soku tytoniowego. Jeszcze krok i stał już obok Corlissa.

— Rzecz prosta, pamiętam doskonale — huczał, lód zaś małymi soplekami okraszał się z owłosionych szczęk. — Cholernie rad jestem, że pana widzę, fakt. — Nagle przypomniał sobie coś i poprawił się: — Wszyscy jesteśmy radzi, że pana widzimy, prawda, dziewczęta? Fakt.

Obejrzał się i skinął na towarzyszkę:

— Blanko, moja miła, oto pan Corliss... hm... bardzo mi... hm... przyjemnie, że mogę państwa zapoznać. Blanko, przezwiskiem Karibu. Tak jest, Karibu. — Bardzo miło. — Blanko śmiałym ruchem podała rękę, oglądając bacznie nowego znajomego.

Była to blondynka o wyrazistych, oryginalnych, niebrzydkich rysach twarzy, znużonej w tej chwili i osmaganej przez mróz.

Zachwycony światowością swych manier, Jake Cornell odchrząknął mocno i pchnął ku światłu drugą kobietę.

— Panie Corliss, oto Dziewica, zapoznaję państwa. Hm! — I w odpowiedzi na pytające spojrzenie inżyniera dodał: — Tak, tak, Dziewica. Tylko tyle: Dziewica.

Uśmiechnęła się i skinęła głową, ale nie podała ręki. „Panicz!” stwierdziła w myśli przyjrzawszy się inżynierowi, zaś ubogie doświadczenie towarzyskie podszeptało jej, że pośród „paniczów” podawanie ręki nie jest przyjęte.

Corliss pomanewrował chwilę swoją na wpół już wyciągniętą ku damie dłonią, potem skłonił się i popatrzył ciekawie. Dziewczyna była ładnym stworzeniem, o niskim czole,

czarnych włosach i ciemnej skórze. Postać miała niebrzydką i pomimo całej pospolitości wyrazu czarowała swą wybuchową żywością. Zdawała się, tryskać weselem; każdy jej drobny, szybki ruch był jakby oddźwiękiem gwałtownego tętna krwi.

— Niczego sobie stworzonko, hę? — zagadnął Jake Cornell, zauważywszy z zadowoleniem spojrzenie gospodarza.

— Ale nie dla psa kielbasa, Jake! — warknęła Dziewica, krzywiąc pogardliwie wargi na specjalny benefis Corlissa. — Uważani, że byłoby lepiej, żebyś się zajął biedną Blanką.

— Fakt, jesteśmy pół żywi ze zmęczenia — powiedział Jake. — A pod Blanką załamał się lód, tu zaraz, na ścieżce, o mały włos nie odmroziła nóg.

Blanka uśmiechała się, kiedy Corliss prowadził ją ku krzesłu stojącemu koło piecyka. Zaciśnięte usta nie okazały bólu, który znosiła niewątpliwie. Corliss odwrócił się, kiedy Dziewica ściągać poczęła obuwie swej koleżanki. Bishop zaś zakrzętnął się po izbie w poszukiwaniu jakichś ciepłych skarpetek i mokasynów.

— Wpadła tylko po tydki — wyjaśniał konfidentycznie Cornell. — Bo też ciemno, choć w gębę dać.

Corliss ruchem głowy wyraził, że podziela ten pogląd. — Zauważyliśmy wasze światło i... hm... no i przyszliśmy. Nie macie nam za złe?

— Ale cóż znowu —

— Nie przeszkadzamy zbyt?

Corliss upewnił, że nie, serdecznie klepiąc go po ramieniu, żeby siadł. Blanka wzdychała z ulgą. Mokre pończochy parowały już nad piecykiem, nogi gnieździły się w obszernym ciepłym papciów Dela. Vance chciał częstować tytoniem, ale Cornell wyciągnął z kieszeni garść cygar i podał kolejno.

— Piekielnie zła droga na tym kawałku — zauważył, rzucając wymowne spojrzenie w kierunku butli. — Lód podtopniał nad źródłami i nic człowiek nie wie, aż wpadnie. Jak się czujesz, Blanka? — zwrócił się do kobiety przy piecu.

— Nie bardzo... — odpowiedziała, wyciągając się leniwie i układając wygodnie nogi. — Chociaż nogi mam już trochę mniej sztywne.

Prosząc oczyma o zgodę gospodarza, Cornell odkorkował butlę i napełnił do połowy cztery małe kubki blaszane i jedną szklaneczkę od galarety owocowej.

— A co byście powiedzieli na poncz? Albo grog? Hę? — zawołała Dziewica. — Jest tu trochę soku cytrynowego? — Skoczyła ku Corlissowi. — Jest? Pycha! — Teraz czarne oczy znalazły Dela. — Ej! panie kucharzu! Dawaj pan miskę i nastawiaj kociołek. Dalej! Wszyscy do roboty! Jake częstuje, a ja kucharzę! Trochę cukru, panie Corliss? A gałka

muszkatołowa jest? To może cynamon? Świetnie. Zaraz będzie. Zwijaj się pan, panie kucharzu!

— No czyż nie brzoskwińka? — zwierzył się Cornell Vance'owi, wodząc słodkimi oczyma za kobietką, schyloną nad dymiącym napojem.

Ale Dziewica zaszczyciła swą uwagę Corlissa.

— Niech pan nie słucha, co on plecie — poradziła — on już tak, jak gotów. Co dwa kroki dudlił z butelki.

— Ależ moje kochanie — zaprotestował Jake.

— Żadne tam „kochanie” — burknęła. — Nie lubię ciebie.

— Czemu?

— A temu... — starannie rozlała poncz do kubków i zastanowiła się. — Temu, że żujesz tytoń. I temu, że jesteś kosmaty. Lubię tylko golonych bubków.

— Nie zwracaj uwagi na te głupstwa — ostrzegął król Fraction. — Ona tak umyślnie, żebym szalał z zazdrości.

— No już! — rozkazała ostro. — Dalej do picia! Toasty!

— Ale jakie? — krzyczała Blanka spod pieca. Wzniesione kubki zatrzymały się w pół drogi do ust.

— Zdrowie Królowej! — zawołała szybko Dziewica.

— I Billa! — przerwał Del Bishop. Znowu zawahały się kubki.

— Jakiego znów Billa? — zapytała podejrzliwie Dziewica.

— Mc Kinley.

Obdarzyła Dela uśmiechem. — Dziękuję, panie kucharzu, sprytny z was pasażer. Już? Pijem! Zdrowie Królowej — niech ją Bóg błogosławi — i Billa Mc Kinley.

— Do dna! — grzmiał Jake Cornell. Kubki pustyni dźwiękiem brzęknęły o stół.

Vance Corliss poczuł, że jest dość zaciekawiony i nawet nieźle się bawi. Wedle zdania Frony — rozmyślał ironicznie — to się nazywa „poznawanie życia”, „zwiększanie sumy doświadczeń”. Był to frazes Frony. Corliss obrócił go w mózgu kilka razy. Potem nagle przypomniał mu się fakt zaręczyn panny Welse z St. Vincentem. Wobec tego oczarował Dziewicę prośbą o jakąś piosenkę. Ale się upierała i zgodziła się wtedy dopiero, kiedy Bishop pofałszował ze dwadzieścia zwrotek „Płynącego obłoku”. Głos jej obejmował chyba półtorej oktawy. Poniżej przechodził przedziwne metamorfozy, powyżej zaś stawał się piskliwy. Pomimo to nader wzruszająco prześpiewała „Weź sobie swoje złoto”, co nawiało nawet wilgotną mgłą na oczy Cornella, który słuchał z zapartym tchem i przeżywał dawno niezaznane emocje.

Poklask był huczny, Bishop zaś natychmiast wznosił zdrowie Czarodziejki Srebrnego Dzwonka, na co Jake Cornell odpowiedział nieodzownym „Do dna!”

W dwie godziny później zastukała Frona Welse. Stukanie było ostre, natarczywe. Corliss skoczył ku drzwiom.

Frona krzyknęła cichutko i radośnie, zobaczywszy, że to on.

— O, to pan, Vance! Nie wiedziałam, że pan tu mieszka! — Podali sobie ręce. Corliss zabarykadował sobą wejście. Za jego plecami chichotała Dziewica i Jake Cornell grzmiał jakiś hulaszczy przyśpiew.

— O co chodzi? — pytał Vance. — Czy co się stało?

— Mógłby mnie pan zaprosić do izby, co prawda. — W głosie Frony brzmiał lekki wyrzut i lekki pośpiech. — Zapadłam się pod lód i nogi mi zamarzają.

— Byczo! — krzyczała tymczasem na jakiś temat Dziewica, tuż za plecami Vance'a; Bishop i Blanka pokładali się ze śmiechu, a Cornell bronił się przed czymś zawzięcie. Corliss miał wrażenie, że krew z całego ciała rzuciła mu się do twarzy. — Ależ nie może pani wejść, Frono, czyż pani nie słyszy, co tam się dzieje?

— Muszę wejść — nastawała. — Nogi mi marzną.

Z gestem rezygnacji ustąpił i zamknął drzwi za Froną. Wszedłszy do jasnej izby bezpośrednio z głębokiej ciemności, panienska zawahała się chwilę, ale zaraz potem rozejrzała się i zorientowała w położeniu. Powietrze było aż gęste od tytoniowego dymu; po świeżości nocy można było od razu dostać zawrotu głowy. Z misy stojącej na stole wznosił się wonny obłok pary. Dziewica, uciekając przed Cornellem, broniła się długą łyżeczką od musztardy, wobec czego nos jegomości zabarwił się cały na żółto. Blanka uciekła od pieca, żeby lepiej widzieć przedstawienie, zaś Del' Bishop z kubkiem przy ustach pokładał się ze śmiechu. Twarze płonęły.

Vance bezsilnie oparł się o drzwi. Cała sytuacja była tak niedorzeczna, tak niemożliwa. Przyszła mu nagle wariacka chęć śmiechu, ale skończyła się atakiem gwałtownego kaszlu. Frona jednak, czując przede wszystkim własną, najbardziej pilną sprawę — martwiejące nogi — ruszyła ku środkowi izby.

— Hallo, Del! — zawołała.

Śmiech zastygł na twarzy kopacza na dźwięk tego znajomego głosu. Powoli, niechętnie odwrócił głowę, żeby spotkać spojrzenie panny Welse. Zsunęła kaptur parki i twarz jej, zarysowana na tle ciemnego futra, różowa i jasna, była niby promień słońca w ciemności jakiejś nory. Znali ją wszyscy, któż bowiem nie znał córki Jakuba Welse'a? Dziewica z okrzykiem zdumienia cisnęła o ziemię łyżkę od musztardy. Cornell zaś,

wodząc półprzymkniętą dłoń po usmarowanym licu i ścierając malowidło, padł bezsilnie na najbliższe krzesło. Tylko Blanka zdołała zachować zimną krew i śmiała się cichutko.

Bishop wykrztusił: „Hallo!” Ale nie mógł przerwać milczenia, które rozpostarło się po tym okrzyku.

Frona wyczekała chwilę, po czym wymówiła po prostu: — Dobry wieczór wszystkim.

— Tędy proszę, tędy. — Vance oprzytomniał już i sadowił Fronę przy piecu, naprzeciw Blanki. — Niechaj pani prędko zdejmie obuwie, ale nie za blisko pieca, żeby nie przegrzać od razu. Poszukam czegoś dla pani między swoimi rzeczami.

— Trochę zimnej wody, proszę — odrzekła Frona. — Zaraz wyciągnie odmrożenie. Może Del przyniesie?

— Mam nadzieję, że nic niebezpiecznego?

— Nie. — Potrząsnęła głową i uśmiechnęła się, zdejmując tymczasem zlodowaciałe mokasyny — nie było czasu na nic więcej, prócz powierzchownego odmrożenia. Najwyżej skóra zejdzie.

W izbie panowała iście nieziemska cisza, przerywana tylko pluskiem wody, nalewanej przez Bishopa z wiadra do miski, i krzątaniem Corlissa, który grzebał w skrzyni, szukając dla Frony swoich najelegantszych mokasynów i najcieplejszych skarpetek.

Frona przerwała nagle zawzięte rozcieranie nóg i rozejrzała się po izbie.

— Czy dlatego mam mrozić wesolość państwa, że sama przemarzłam? — zaśmiała się. — Proszę się nie krępować.

Jake Cornell wyprostował grzbiet i odchrząknął, Dziewica miała minę więcej niż godną, ale Blanka podeszła i wzięła z rąk Frony prześcieradło.

— Przemoczyłam sobie nogi w tym samym miejscu, gdzie taki miękki lód — powiedziała klękając i trąc nogi Frony aż do czerwoności.

— Może pani jakoś potrafi to zużytkować. Proszę! — Corliss rzucił ku nim z daleka mokasyny domowe i parę wełnianych pończoch, które obie kobiety spróbowały zastosować, śmiejąc się półgłosem i zamieniając między sobą jakieś poufale spostrzeżenia.

— Ależ co u Boga Ojca robiła pani sama jedna na drodze późnym wieczorem? — zapytał Vance. W duchu dziwił się przytomności umysłu, z jaką panna Welse opanowała sytuację.

— Wiedziałam z góry, że pan mnie weźmie na cenzurowane — odrzekła Frona, pomagając Blance rozwiesić mokre obuwie nad piecem. — Byłam u pani Stanton. Ale przedtem musi pan wiedzieć, że ja i panna Mortimer bawimy od tygodnia u państwa

Peutly. Więc wracając do dzisiejszej przygody. Miałam zamiar wyjść od pani Stanton jeszcze za dnia, ale jej dziecko napiło się nafty, mąż wyjechał do Dawson i w ogóle sprawy stały tak kiepsko, że dopiero pół godziny temu upewniliśmy się, że dziecko będzie żyło. Pani Stanton nie chciała mnie puścić samej, ale czegoż właściwie miałabym się bać? Nie spodziewałam się tylko miękkiego lodu w taki mróz.

— Czym panie ratowały baka? — zapytał Del, postanowiwszy podtrzymać rozmowę, skoro już raz się zawiązała.

— Odwarem z tytoniu — odpowiedziała Frona, a kiedy śmiech ustał, dodała: — Musztardy nie było, więc nic lepszego nie mogłam wymyślić. Zresztą Matt Mc Carthy ratował mnie odwarem tytoniowym w Deya, kiedy miałam krup jako małe dziecko. Ale zdaje się, że państwo śpiewali, kiedy ja nadeszłam — poddała. — Proszę sobie nie przerywać.

— No więc Del. Proszę zaśpiewać „Obłok płynący”, jak zwykle śpiewacie, jadąc w dół rzeki.

— On to właśnie śpiewał — odrzekła Dziewica.

— Więc niech pani zaśpiewa. Pani na pewno umie.

Uśmiechnęła się prosto w oczy tamtej, wobec czego Dziewica zdobyła się na jakąś balladę morską, wykonaną ładniej niż przypuszczała sama. Skrępowanie, wywołane przybyciem Frony, rozproszyło się szybko; piosenki, toasty i prześmiewki posypały się znowu. Frona nie odmówiła nawet skosztowania ponczu, po koleżeńsku, ze szklanki od musztardy. Przyczyniła się też do ogólnej zabawy, prześpiewawszy dwie narodowe piosenki. Dla własnej rozrywki przyglądała się tymczasem, jak poncz bije do głowy Cornellowi i Dziewicy. Jedno więcej doświadczenie życiowe. — Frona byłaby mu nawet rada, gdyby nie współczucie dla Corlissa, który z wyraźnym wysiłkiem spełniał obowiązki gospodarza.

Corlissowi jednak niepotrzebne było współczucie. „Każda inna kobieta...” — mówił sam sobie co chwila, patrząc na Fronę i próbując wyobrazić sobie w podobnej sytuacji którąkolwiek z panien, spotykanych na herbatkach w domu matki. Jeszcze niedawno byłoby go zabolalo, że Blanka dotyka nóg Frony — dziś jednak wielbił w kochanej dziewczynie to, że pozwoliła, i czemuś nawet rozczulił się do Blanki. Może winien był alkohol — dość że Corliss gotów był w tej chwili uznać zmęczoną twarz Blanki za zupełnie ładną.

Frona włożyła swoje wyschnięte mokasyny, wstała i słuchała cierpliwie ostatniego, krztuszonego przez Cornella toastu.

— Zdrowie, hm... człowieka — jękał się Jake — który... hm... uczynił ten kraj... hm...

— Błogosławionym krajem! — dokończyła Dziewica.

— Racja, moja miła, hm... Zdrowie — Jakuba Welse'a!

— I córki Jakuba Welse'a! — krzyknęła Blanka.

— Pycha! Stojąc! Do dna!

— Zuch panienka, dobry towarzysz! — huczał Del. — Chciałabym uścisnąć rękę pani — powiedziała cichutko Blanka, podczas gdy tamci ryczeli.

Frona zsunęła rękawiczkę, którą już była wciągnęła i uścisk rąk był szczerzy i mocny.

— Nie — oświadczyła Corlissowi, który włożył czapę i zawiązywał właśnie nauszniki.

— Blanka mówi mi właśnie, że dom Peutly'ów będzie stąd o pół mili. Droga jest prosta. Nie chcę słyszeć o żadnym odprowadzaniu.

— Nie! — tym razem głos jej miał tyle stanowczości, że Corliss cisnął czapkę na ławę. — Dobranoc wszystkim! — zawołała z uśmiechem, przesunawszy spojrzeniem po całej gromadce.

Ale Corliss odprowadził ją do drzwi i wyszedł na śnieg.

Spojrzała ku niemu, nieco z dołu. Kaptur był jeszcze rozchylony i twarz jaśniała czarująco w świetle gwiazd.

— Ja... Frono... chciałbym...

— Proszę się nie bać — szepnęła — nikomu nie opowiem...

Dostrzegł drwiącą iskierkę w jej oczach, ale spróbował raz jeszcze.

— Chciałbym wytłumaczyć, jakim sposobem...

— Nie trzeba. Ja rozumiem. Muszę jednak wyznać, że nie zachwycam się zbytnio pańskim gustem.

— Frona! — wyraźne cierpienie w jego głosie dosięgło wreszcie dziewczyny.

— Ach, duży, niemądry dzieciaku — zaśmiała się. — Czyż ja nie wiem? Czy Blanka nie powiedziała mi, że wpadła pod lód?

Corliss schylił głowę. — Naprawdę, Frono, pani jest najbardziej konsekwentną kobietą, jaką spotkałem. Zresztą — tu wyprostował się nagle i dodał głosem pełnym władczej pewności: — Nie ostatni raz była pani u mnie.

Próbowała go powstrzymać, ale ciągnął dalej: — Ja czuję, ja wiem, że wszystko jeszcze się zmieni. Mówiąc pani własnymi słowami „nie wszystkie czynniki zostały wzięte pod uwagę”. Co do St. Vincenta... to nic, pani będzie moja. Nawet dziś, nawet w tej chwili nie byłoby za wcześnie!

Wyciągnął ku niej głodne ramiona, ale ona myślała szybciej, niż on się poruszał i śmiejąc się, umknęła jego uściskowi i pobiegła lekko wzdłuż szlaku.

— Wróć, Frona! Wróć! — wołał. — Ja cię — przepraszam! Ja bardzo żałuję...

— Wcale pan nie żałuje — dosłyszał z daleka — i ja bym żałowała, gdyby pan żałował. Dobranoc!

Patrzył, jak znikala w ciemności, wreszcie wrócił do izby. Najzupełniej zapomniał, co się tam działo i wszedłszy — zdumiał się.

Blanka popłakiwała czemuś cicho w kącie. Oczy miała mokre i świetliste i Corliss zobaczył, jak duża samotna łza spłynęła po policzku. Twarz Bishopa spoważniała. Dziewica oparła ramiona i głowę na stole, pośród przewróconych kubków i rozlanej wódki, Cornell zaś pochylił się nad dziewczyną, i kiwając głową, powtarzał bezmyślnie: — Zupełnie słusznie, moje kochanie, zupełnie słusznie.

Ale Dziewica była niepokieszona. — O Boże. Jak sobie pomyślę co jest, a co było! I nie moja wina! Nie moja wina, powiadam! — krzyknęła z nagłą zawziętością: — Jakem się urodziła, pytam? Kto był mój stary! Pijanica zatracony! A matka? Po ulicach chadzała! Kto dbał o mnie? Dobre słowo dał? Kto dbał, pytam?

Corliss zbuntował się nagle. — Przytrzymaj język! — huknął.

Dziewica podniosła głowę, rozpuszczone włosy osypały ramiona, niby węże Meduzy. — Kto ta panna? — warknęła. — Kochaneczka? Gołąbeczka? Hę?

Corliss skoczył ku niej dziko. Twarz miał białą, głos drżący z pasji.

Dziewica skuliła się i odruchowo zasłoniła twarz rękami.

— Nie bić mnie, panie! — skomlała — nie bić!

Corliss przeląkł się sam siebie i czekał, aż się opanuje. — No, teraz zbierać manatki i wychodzić jedno z drugim. Wszyscy. Już.

— Pan nie jest mężczyzną — warknęła Dziewica, przekonawszy się, że bicie nie grozi.

Ale Corliss osobiście poprowadził ją ku drzwiom i zdawał się nie słyszeć.

— Damy za drzwi wyrzuca! — pisnęła jeszcze, potykając się na progu.

— Bez obrazy — mruczał pokojowo Jake Cornell — bez obrazy.

— Dobranoc. Bardzo mi przykro — powiedział Corliss do wychodzącej Blanki, i uśmiechnął się pojednawczo.

— Paniczyk! Ot, co z pana za jeden! Paniczyk! Delikacik! — krzyknęła mu nad uchem Dziewica, kiedy zamykał drzwi.

Corliss popatrzył pustymi oczami na Dela i przeciągłym spojrzeniem objął nieład w izbie. Potem rzucił się na posłanie. Bishop oparł się łokciem o stół i pykał z fajeczki. Lampa zafilowała, mrugnęła i zgasła, ale Del siedział nadal spokojnie, znowu nabijając fajeczkę i nieskończenie długo trąc zapalkami o pudełko.

— Del? Nie śpicie? — zagadnął wreszcie Corliss.

Del mruknął:

— To było świństwo wyrzucać ich na mróz. Wstyd mi teraz.

— Zupełnie słusznie — zabrzmiało potwierdzenie. Cisza trwała dość długo. Del strząsnął popiołek i wstał.

— Śpi? — rzucił w ciemność.

Odpowiedzi nie było, więc cichutko podszedł do ławy i okrył inżyniera kocem.

ROZDZIAŁ XIX

— Co to wszystko ma znaczyć? — Corliss wyciągnął się leniwie i oparł nogi o brzeg stołu. Nie czuł zbytniego zaciekawienia, ale pułkownik Trethavay nie przestawał rozprawiać poważnie.

— Oto jest! Oto jest to odwieczne i zawsze młode pytanie, które człowiek rzuca w twarz wszechświata. — Pułkownik przerzucił kartki notesu. — Patrz pan — ciągnął, trzymając w palcach zgnieciony kawałek papieru, pokryty maszynowym pismem. — Przepisałem to sobie kiedyś. Proszę posłuchać. „Cóż za potwornym okazem jest człowiek, produkt rozkładu materii, to krzątający się w kółko, to otumaniony snem; zabija, rośnie, pożera, mnoży się; zarasta włosami, niby trawą, świeci oczyma — istny postrach dzieci. Biedna dusza, na tak krótko na ziemię posłana, ciśnięta pośród wszelkie trudy i nędze żywota, miotana pragnieniami tak niezmiernymi i tak niestałymi! Pochodzi z dzikości, dzikością jest otoczona, skazana na żywienie się życiem innych istot. Stworzenie nieskończenie naiwne, nieraz zachwycająco dzielne, czasami wzruszająco dobre. Zatrzymuje się nagle pośród drogi, żeby rozważyć zagadnienie dobra i zła, albo uprzytomnić sobie cechy boskości. Stworzenie, które potrafi rzucić się do walki o skórkę chleba, albo umrzeć dla idei!” — I jaki cel? I jaki koniec? — rzucił zapalczywie pułkownik, składając papier. — Jaki sens istnienia owego produktu rozkładu materii?

Corliss ziewnął w odpowiedzi. Cały dzień spędził w podróży i marzył teraz o ciepłym pośłaniu.

— Oto jestem ja, pułkownik Trethavay, niezbyt jeszcze stary i nieźle zakonserwowany, zajmuję jakie takie stanowisko w społeczeństwie, mam pokaźny rachunek w banku, nie potrzebuję zbytnio przemęczać się pracą. A jednak żyję ubogo, bez żadnych rozrywek i pracuję z zapałem, godnym młodzika. I po co? Mogę zjeść, wypalić i przespać tylko tyle, ile zjem, wypalę i prześpię, a w dodatku ten ogon ziemi, zwany Alaską, jest najgorszym miejscem na świecie, jeżeli chodzi o żywność, tytoń i łóżka.

— Właśnie natężenie życia podtrzymuje pana — wtrącił Corliss.

— Filozofia Frony — uśmiechnął się złośliwie pułkownik.

— I moja również, i pańska.

— I wszystkich „produktów rozkładu materii”...

— Materię tę ożywia jednak pasja, której pan nie bierze w rachubę. Pasja obowiązku, rasy, Boga!

— A jaka nagroda?

— Nagrodą jest każdy oddech. Motyl żyje godzinę.

— Nie czuję tej nagrody.

— Krew i pot! Krew i pot! Powiedział pan te słowa po bójce w gospodzie i wtedy miał pan zupełną słuszność.

— Filozofia Frony.

— I moja również, i pańska.

Pułkownik wzruszył ramionami i wyznał po chwili: — Myśl sobie pan, co chcesz, ale właściwie ja pesymistą nie jestem.

Wszyscy zostajemy nagrodzeni, a ja nawet więcej niż inni. Pytałem po co? I otóż powiem ci, że odpowiedź znalazłem: jeżeli ostateczny cel przerasta nasze zrozumienie, szukajmy chwilowego. Więcej nagród tu, zarazi.

— Nader hedonistycznie.

— I słusznie. Zajmę się tym niezwłocznie. Mógłbym zakupić żywności i koców dla dwadzieścioro. Ale jeść i spać mogę tylko za samego siebie. Czemuż by więc nie we dwoje?

Corliss zdjął nogi ze stołu i powstał. — Innymi słowy?

— Innymi słowy: mam zamiar ożenić się. Poruszyć trochę tutejsze społeczeństwo. Społeczeństwa lubią wstrząśnienia. Są one jedną z nagród za „rozkładowość materii”.

— Mógłbym myśleć tylko o jednej kobiecie dla pana... — spróbował Corliss znacząco, wyciągając rękę.

Trethavay potrząsnął z wolna podaną dłoń. — Jest to ta właśnie kobieta.

Corliss nie potrafił ukryć zdumienia.

— A St. Vincent?

— To pański problem, nie mój.

— A więc Lucile...

— Naturalnie, że nie. Zagrała pewną maleńką grę po mistrzowsku.

— Ja... ja nic nie rozumiem. — Corliss w osłupieniu zmarszczył brwi.

Trethavay skrzywił wargi uśmiechem wyższości. — Wcale nie trzeba, żebyś pan rozumiał. Zagadnienie polega na tym, czy zechcesz pan być moim drużbą?

— Rzecz prosta. Ale jaką długą drogę obrałeś pan w tym celu. Przeczy to zwykłej pana metodzie...

— Za to z nią poszło prędzej — oświadczył pułkownik, dumnie nastroszywszy wąsy.

Komendant Północno - Zachodniej Policji Konnej z mocy swego wysokiego urzędu ma prawo dawać śluby w razie nieobecności księdza, ma również prawo wymierzać sprawiedliwość.

Wobec tego pułkownik Trethavay złożył wizytę kapitanowi Aleksandrowi, po której ów zapisał sobie, że ranek dnia następnego ma zajęty. Po czym nowozameldowany narzeczony udał się do Frony. — Lucile nie pozwala sobie prosić — zapewnił ją na wstępie, ale — fakt jest, że Lucile nie zna tu żadnych pań, poza tym zaś on (pułkownik) wie doskonale, kogo pragnęłaby poprosić Lucile, gdyby się ośmieliła. Wobec tego on. czyni to na własną odpowiedzialność. Wie, że niespodziane przybycie Frony będzie dla Lucile wielką radością.

Frona była wstrząśnięta nagłością nowiny. Dopiero przed paru dniami Lucile błagała ją o St. Vincenta, a teraz już nowe sitko na kołeczku! Czuło się od razu, że gdzieś wstawiona została jakaś fałszywa przesłanka, ale teraz wszystko w ogóle wyglądało na fałsz.

Czyż możliwe, że Lucile jest po prostu interesowna? Myśli te opadły Fronę natychmiast i pułkownik śledził je trwożnie na jej twarzy. Czuła, że nie należy zwlekać z odpowiedzią, a jednak, na chwilę jeszcze, porwało ją uwielbienie dla odwagi tego mężczyzny. Wreszcie poszła za głosem serca — i zgodziła się.

A jednak sytuacja była naciągnięta, kiedy we czworo zebrali się nazajutrz z rana w prywatnym gabinecie kapitana Aleksandra. Jakiś chłód dzielił wszystkich. Lucile była bliska płaczu i okazywała wyraźne zmieszanie, zupełnie w niej niespodziewane. Frona, pomimo najszczerzych chęci, nie potrafiła zwyciężyć chłodu, który zapanował był między nimi obiema. To z kolei odbiło się na Corlissie i stworzyło pewną sztywność w jego sposobie bycia, nawet w stosunku do pułkownika.

Pułkownik zdawał się młodszy o dobre dwadzieścia lat, i różnica wieku obojga narzeczonych, która przedtem raziła Fronę, obecnie bynajmniej nie rzucała się w oczy, „Ten dobrze przeżył swoje lata” — pomyślała o pułkowniku i czemuś mimo woli, nieświadomie, zwróciła oczy ku Corlissowi. Wyglądał teraz 'również znacznie, 'młodziej. Od czasu ich ostatniego spotkania złożył swoje wąsy na ofiarę mrozom, toteż gładko

wygolona twarz, pełna bujności i zdrowia, wyglądała teraz zupełnie chłopięco; pomimo to nieosłonięta górna warga wyrażała siłę i stanowczość dotychczas ukrytą. Znać było na twarzy nową, niedawną dojrzałość. Spojrzenie, dotychczas łagodnie silne, było teraz silne jakąś twardością i ostrością, które rodzą się zawsze z walki i z szybkości decyzji. Jest to piętno woli, wyciśnięte na twarzach wszystkich ludzi czynu, niezależnie od tego, czy poganiają oni psy, żeglują po morzach, czy rządzą polityką państw.

Po zakończeniu krótkiego obrzędu Frona pocałowała Lucile. Ta ostatnia jednak poczuła od razu, że pocałunkowi temu czegoś brak, i oczy jej napełniły się łzami. Trethavay, który od początku czuł tę obcość, postarał się o chwilę rozmowy z Froną, podczas gdy kapitan i Corliss prawili uprzejmości pani Trethavay.

— O co chodzi, panno Frono? — zapytał prosto z mostu pułkownik. — Mam nadzieję, że pani nie przyszła wbrew woli. Żałuję bardzo, nie pani, nieszczerść bowiem nie jest godna współczucia, ale żałuję Lucile. Nie zasłużyła na to.

— Nieszczerść istniała z obu stron. — Głos Frony drżał. — Staralam się ukryć to, co czuję, ale nie potrafię udąć tego, czego nie czuję. Przykro mi bardzo — ale... jestem zawiedziona. Nie mogę tego tłumaczyć nikomu — zwłaszcza panu.

— Mówmy bez ogródek, panno Frono. Chodzi o St. Vincenta, prawda?

Skinęła głową.

— Przystąpmy wprost do rzeczy. 'Po pierwsze — spojrzał w bok i dostrzegł strwożone oczy Lucile. — Po pierwsze dopiero przed kilku dniami, Lucile zawracała pani głowę na temat St. Vincenta. Wobec czego — i właśnie po drugie — pani jest pewna, że moja żona bynajmniej mnie nie kocha. Czyli że szła za mnie dla stanowiska, majątku itd. Czyż nie tak?

— A czyż to mało? Och, zawiodłam się strasznie, pułkowniku, na niej, na panu, na sobie...

— Niech pani głupstw nie plecie! Zbyt panią lubię, żeby móc patrzeć spokojnie, jak pani samą siebie wystrychuje na dudka. Gra była zbyt szybka. I dlatego pani jej nie dostrzegła. Proszę posłuchać. Mówiąc pomiędzy nami, Lucile jest jedną z osób, które dopuszczone zostały od razu na Francuskie Wzgórze. Jej działka jest jedną z najlepszych. Dotychczas pewne jest co najmniej pół miliona. Na jej własne imię, bez żadnych współników. Czyby nie mogła wziąć pieniędzy, wyjechać dokąd zechce i zamieszkać wygodnie gdzieś na szerokim świecie? Mogłaby pani raczej przypuszczać, że ja żenię się dla interesu. Panno Frono, Lucile kocha mnie naprawdę i między nam i mówiąc, nie jestem jej wart. Mam nadzieję, że stanę się jej wart w przyszłości. Ale to nie

należy do rzeczy. Uważa pani, że uczucie Lucile dla mnie jest zbyt nagłe? Pozwoli sobie pani powiedzieć, że kochaliśmy się oboje od czasu, jak przyjechałem do Dawson. Co zaś do St. Vincenta? Ha! moja żona wbiła sobie w głowę, że ów jegomość nie jest wart małego palca pewnej panny Frony, więc próbowała doprowadzić do zerwania pomiędzy wami. Nigdy się pani nie dowie, jak nad tym pracowała. Mówiłem jej, że nie zna charakteru Welse'ów i później przyznała mi słuszność. Tak oto rzeczy stoją. Może pani uznać to lub odrzucić.

— A co pan sam myśli o panu St. Vincent?

— To nie ma żadnego znaczenia, ale powiem pani szczerze, że w całości popieram zdanie Lucile. Nie o to chodzi zresztą w tej chwili. Czy tamtą sprawę uważa pani za załatwioną?

Frona nie odpowiedziała, ale podeszła do czekającej na nich gromadki. Lucile spojrzała badawczo na twarz panny Welse. — Powiedział pani?

— Powiedział mi, że jestem niemądra i obawiam się, że miał rację. Nie mogę tego na razie wyrozumować, ale przyjmuję to na wiarę — dodała z uśmiechem.

Kapitan Aleksander w tej właśnie chwili przypomniał sobie jakąś tradycyjną anegdotę poślubną, poprowadził więc pana młodego aż pod piec. Corliss poszedł za nimi.

— Pierwszy raz kogoś kocham — mówiła Lucile do Frony. — A dla mnie znaczy to więcej niż dla większości kobiet. Sama się boję tego zamążpójścia. Wydaje mi się, że popełniam rzecz straszną. Ale kocham go, Frono, tak go kocham! — A kiedy anegdota została doszczętnie strawiona i panowie wrócili ku paniom, Lucile łkała cicho na ramieniu panny Welse: „Droga, kochana Frona!”

Wtedy właśnie (trudno było doprawdy o odpowiedniejszą chwilę) wtargnął do pokoju Jakub Welse w czapie i rękawicach.

— Oto macie nieproszonego gościa! — powiedział od progu. — Ceremonia skończona? Co? — wchłonął Fronę w otchłań swego potężnego futrzanego płaszcza. — Pułkowniku — prawicę! Przepraszam za swoje intruzostwo, ale wart pan jesteś gorzkiej wymówki, żeś mnie nie zaprosił. Hallo, Corliss! Kapitanowi moje uszanowanie!

— Czy zrobiłam co złego? — szepnęła nieznacznie Frona, zamknięta w uścisku ojcowskiego futra i skwapliwie szukająca jego ręki.

— Przyszedłem podtrzymać twoją grę — odszepnął. Ścisnęła jego dłoń aż do bólu.

— Więc, pułkowniku, nie wiem, jakie pan miał zamiary, wiem tylko, że musisz ich się wyrzec. U mnie w domu stół już nakryty, a w dodatku posiadam jedyną po tej stronie

kręgu polarnego skrzynkę szampana. Pan naturalnie z nami, panie Corliss, mam też nadzieję... — oczy mówiącego prześliznęły się po kapitanie Aleksandrze.

— Rzecz prosta — zabrzmiała błyskawicznie szybka odpowiedź, chociaż Wielkorządca Północo - Wschodu zdążył przewidzieć możliwe skutki tego nieoficjalnego posunięcia. — Pojazdy są?

Jakub Welse roześmiał się i uniósł nogę w potężnym mokasyńcu.

— Piechotę nie łaska? — Ale kapitan skwapliwie poskoczył ku drzwiom. — Sanki będą gotowe, zanim państwo się ubiorą. Troje sani i odświętne dzwonki!

W ten sposób orszak weselny państwa Trethaway był nader okazały i całe Dawson przecierało w zdumieniu oczy, widząc troje sani, mknących zuchwale główną ulicą miasta i prowadzonych przez policjantów w czerwonych mundurach. Po czym widzowie raz jeszcze przetarli oczy, przyjrawszy się dokładnie osobom jadącym.

— Będziemy sobie żyli cicho, na odludziu — mówiła Lucile do Frony. — Klondike nie jest całym światem, później będzie nam lepiej.

Ale Jakub Welse był innego zdania.

— Musimy dokończyć to, cośmy zaczęli — oświadczył kapitanowi, ten zaś stwierdził, że nie zwykł się cofać.

Pani Schoville pierwsza zaczęła miotać pioruny, pociągnęła za sobą inne damy i chronicznie udawała niezdrową.

Lucile bywała tylko u Frony. Ale Jakub Welse, który w ogóle rzadko kogokolwiek odwiedzał, bywał teraz często w domu pułkownika i nie tylko przychodził sam, ale zwykle przyproceedzał jeszcze kogoś ze znajomych. — Co robicie dziś wieczorem? — mawiał przy spotkaniu na ulicy. — Nic? No to chodźcie ze mną. — Czasem wypowiadał to z jagnięcą niewinnością, czasem z wyzywającym spojrzeniem spod krzaczastej brwi i rzadko udało się zdobyć wyśliznąć z jego rąk. Owi mężczyźni mieli żony, i w ten sposób rzucone zostały pierwsze ziarna niezgody w szeregi opozycji.

Zresztą w domu państwa Trethaway można było znaleźć coś więcej prócz cienkiej herbatki i nudnej rozmowy, toteż inżynierowie, korespondenci i nawet panowie próżniacy stale udeptywali ścieżkę w tamtą stronę, za przykładem tego, który pierwszy przetarł drogę. Z czasem domek pułkownika stał się prawdziwym ogniskiem życia towarzyskiego, podparty zaś finansowo i oficjalnie nie mógł również nie zyskać walorów społecznych.

Jedynym złym skutkiem tego układu stosunków był fakt, że życie pani Schoville i jej podobnych stało się nieznośnie nudne i zmusiło ją do utraty wiary w niektóre niezachwiane maksymy. Kapitan Aleksander, jako najwyższy urzędnik, był siłą w kraju,

zaś Jakub Welse reprezentował Spółkę Handlową — ktoś chciałby być w złych stosunkach z władzami albo ze Spółką? Toteż z czasem najwyżej pół tuzina opornych pozostało po tamtej stronie Rubikonu, i po prostu machnięto na nich ręką.

ROZDZIAŁ XX

Istna wędrówka ludów rozpoczęła się z miasta tej wiosny. Niektórzy wyruszyli dlatego, że już zdobyli sobie działki, inni dlatego, że działek nie zdobyli. Ci ostatni kupowali psy i po ostatnim lodzie śpieszyli do Dyea. Przypadkiem wyszło na jaw, że większość psów posiada Dave Harney.

— Wyjeżdżasz? — zapytał go Jakub Welse pewnego dnia, kiedy po raz pierwszy słońce przygrzało nieco w południe.

— Nie, nie kalkuluje mi się wyjazd. Zarabiam po trzy dolary na parze mokasynów, które skupiłem, nie mówiąc już o butach gumowych. Słuchaj Welse, nie rób ze mnie dumnia, przyznaj się, tego mnie nabrałeś na cukrze?

Jakub Welse uśmiechnął się.

— Nic nie szkodzi, jesteśmy skwitowani. Masz na składzie buty gumowe?

— Nie, wyprzedalem wszystkie jeszcze na jesieni. Dave zachichotał z cicha. — Ja jestem tym magnesem, który je poprzyciągał.

— Nie ty bynajmniej. Moi ludzie otrzymali specjalny rozkaz sprzedawania tylko po parze.

— Toteż moi ludzie nie żądali więcej. Para na człowieka, człowiek na parę — ale razem kilkaset par. Bo mój piasek sypali na twoją wagę. Kieliszeczek? I owszem. Mieszek na stół. Wołaj o rabat, oni tu dla mnie wszystko zrobią. Wyjeżdżać? Chyba jeszcze nie tego roku. Zbliża się czas płukania...

Odkrycie nad potokiem Hendersona, uczynione w połowie kwietnia, rokowało tak świetne nadzieje, że St. Vincent wyruszył w tamtą stronę, na razie nad rzekę Stuart. Wkrótce potem Jakub Welse, mając interesy w Gallagher Gulch i chcąc mieć na oku kopalnie miedzi rad Białą rzeką, ruszył w tym samym kierunku, zabierając ze sobą córkę; była to raczej wycieczka niż praca. Tymczasem Corliss i Bishop, którzy przez cały miesiąc podróżowali nad Mayo i w okolicy Mc Question, zawrócili nad lewą odnogę potoku Hendersona, gdzie leżał szereg działek wymagających nadzoru.

W maju wiosna podeszła już tak blisko, że jazda po rzekach stała się niebezpieczna. Po ostatnim kaszowatym lodzie inżynier z kopaczem zawędrowali w dół potoku, ku grupce wysp leżących poniżej ujścia rzeki Stewart. Rozłożyli tam swoją chwilową kwaterę główną, korzystając przeważnie z gościnności tych poszukiwaczy złota, którzy posiadają chaty. Corliss i Bishop ulokowali się na wysepce zwanej Rozdzielną (w tym bowiem punkcie dzieliły się zwykle partie przybyszów). Mieszkał tam sobie dość wygodnie Tommy Mc Pherson. W kilka dni później Jakub Welse i Frona przybyli ze swej hazardowej wycieczki nad Białą rzekę i rozbili namiot na wzgórzu, na górnym krańcu Rozdzielnej Wyspy.

Nieliczni nowicjusze, pierwsi zwiastuni wędrowni wiosennej, ścigali tu wyczerpani zimą i rozbijali szałas, czekając na ruszenie wód. Było też trochę takich, którzy wybierali się już do Stanów i teraz, zatrzymani przez wiosnę, budowali sobie łodzie na brzegu albo pertraktowali o łodzie z miejscowymi ludźmi. Pomędzy tymi ostatnimi znalazł się baron Courbertin.

— Ach! Cudowne! Zachwycające! Wspaniałe! — powitał spotkaną niespodzianie Fronę.

— Co mianowicie? — zapytała, podając mu rękę.

— Ach pani! Pani! — cisnął precz czapkę. — Zachwycony jestem!

— Przypuszczam, że... — zaczęła panna.

— Nie! Nie! — potrząsnął gwałtownie kędzierzawą czupryną. — Nie panią jestem zachwycony. Proszę no popatrzeć! — wskazał na czołno typu Peterborough, za które Mc Pherson zaśpiewał był właśnie potrójną cenę. — Co to za łódź! Prawdziwe cacko.

— Ach, łódź... — powtórzyła z leciutkim cieniem zawodu.

— Nie! Nie! Pardon! — tupnął gniewnie. — Nie tak. Nie pani. I nie łódź. Ale pani obietnica! Pewnego dnia, o ile pani pamięta, u pani Schoville, rozmawialiśmy o łódkach i pani obiecała...

— Że dam panu pierwszą lekcję wiosłowania?

— No, czyż nie cudownie! Proszę posłuchać! Nie słyszy pani? Jaki trzask! Jaki grzmot! Gdzieś w sercu Ziemi! Wkrótce ruszy kra. I jest łódź! i my się spotykamy! Pierwsza lekcja! Cudownie! Wspaniałe!

Następna wyspa za Rozdzielną zwana była wyspą ojca Roubeau. Pomędzy nimi obiema biegł wąski pas wody. Tutaj, przed samym już ruszeniem lodów, kiedy psy nieomal płynęły, przybył St. Vincent — ostatni człowiek, który w tym roku używał sani. Wszedł do chaty Johna Borga ponurego, milczącego jegomościa, który, nie lubił i unikał

ludzi. Nieszczęściem życia St. Vincenta było, że wszedł właśnie do tej a nie innej chaty, żeby przeczekać ruszenie kry.

— Można — odpowiedział zagadnięty Borg. — Rzućcie swoje koce do kąta. Bella zabierze drwa z zapasowej ławki. Tam możecie spać.

Dopiero wieczorem odezwał się po raz drugi. Oświadczył wtedy: — „Jesteście dorośli” i możecie sami sobie gotować. Jak kobieta pozdejmuje garnki, rozpalajcie dla siebie.

Kobieta, zwana Bellą, była zwinną indyjską dziewczyną, młodą i najładniejszą spośród tych, jakie kiedykolwiek spotkał St. Vincent. Zamiast zwykłej indyjskiej brudnej śniadości, Bella miała czystą, jasnobrązową skórę a rysy mniej ostre, szczęśliwiej rzeźbione, niż większość jej siostr.

Po wieczerzy Borg, oba łokcie oparłszy o stół i ciężkimi rękoma objawszy podbródek, siedział w milczeniu, pykając z fajeczki cuchnącym tytoniem Siwaszów i patrząc uparcie wprost przed siebie. Mogłoby to wyglądać na zamyślenie, gdyby oczy patrzyły łagodniej i mrugnęły od czasu do czasu. Ale tak jak było — wyglądało na upór i tępotę.

— Dawno jesteście na Alasce? — zagadnął St. Vincent, żeby jakoś zacząć rozmowę.

Borg zwrócił na mówiącego swoje chmurne, czarne oczy i zdawał się patrzeć na niego, ponad niego, poprzez niego i, wciąż patrząc, najzupełniej o jego istnieniu nie pamiętać. Jak gdyby zastanawiał się głęboko nad czymś bardzo ważnym i ciężkim.

— Chyba nad swoimi grzechami — zauważył w myśli korespondent, zwijając nerwowo papierosa. Kiedy papieros ów rozpylił się już w żółty dym po pokoju i St.

Vincent uważał, że pora skrócić drugi — Borg przemówił nagle.

— Piętnaście lat — wyrzekł i powrócił do swego dziwaczного zamyślenia.

Przez następne pół godziny St. Vincent obserwował owo nieprzeniknione zachowanie gospodarza i jego zastanawiającą powierzchowność. Głowę miał Borg ogromną ciężką i rozszerzoną u góry, podtrzymywaną przez masywny, byczy kark. Lepiona była z hojnej gliny pierwotności, cała nieskładna, bujna i surowa jak pierwotność. Włosy gęste i splecione, przetkane były gdzieniegdzie zwojami siwizny, to znów wiły się czarnymi, grubymi lokami, urągającymi starości. Twarde wąsy i broda, miejscami wyłysiałe, miejscami obficie krzaczaste, poplamione były gęsto siwizną. Szalały potwornie na jego twarzy i opadały aż na pierś, ale nie kryły czemuś zapadniętych głęboko policzków ani zaciśniętych ust. Były one wąskie, okrutne, ale przy tym jakieś beznamienne. Dziwnym zjawiskiem było czoło, podkreślające jeszcze potworność twarzy. Czoło to było

wysokie, szerokie, proste, doskonałego kształtu, za jakim kryje się zwykle nie -powszedni rozum.

Bella, zmywając naczynie i stawiając je na półkę, do której Borg odwrócony był tyłem, rzuciła mały, ciężki kubek. W izbie panowała zupełna cisza i nagły ostry dźwięk zabrzmiał nieoczekiwanie. Borg ryknął jak zwierzę, zerwał się z krzesła, kopnął je nogą i stał nieruchomo, z oczyma w słup i z wykrzywioną twarzą. Bella cisnęła w przestrzeń nieartykułowany przenikliwy wrzask trwogi i skuliła się u nóg swego pana. St. Vincent poczuł jak włosy stają mu dęba i zimny dreszcz, niby woda, spływa po krzyżu. Wtedy Borg podniósł krzesło i usiadł po dawnemu, z twarzą wspartą na dłoniach i zapatrzonymi tępo oczyma. Nie padło ani jedno słowo. Bella dalej zmywała naczynia, St. Vincent zaś drżącymi palcami zwił papierosa i zastanawiał się, czy to był sen.

Jakub Welse śmiał się, słuchając opowiadania korespondenta.

— To w sam raz do niego pasuje — powiedział. — -Bo jego obyczaje są równie dziwaczne, jak jego wygląd.

To zwierzę nietowarzystkie. Liczy więcej lat w tym kraju niż znajomych. Prawdę powiedziawszy nie ma chyba żadnego przyjaciela na Alasce, nawet pomiędzy Indianami, chociaż bardzo się z nimi zadaje. Nazywają go „Johny Mocna Głowa”, ale mogliby równie dobrze nazwać go „Johny Waligłowa”, bo temperament ma zapalczywy i mocne pięści. Oho, temperamencik! Kiedyś zaszło jakieś małe nieporozumienie pomiędzy nim a naszym agentem handlowym w Arctic City. Borg miał zresztą rację, ale bojkotował spółkę przez okrągły rok i jadał wyłącznie mięso. Spotkałem go kiedyś nad Tananą, wyjaśniłem nieporozumienie i zgodził się znów u nas kupować.

— Wziął sobie dziewczynę znad źródeł Białej — opowiadał dziennikarzowi Bill Brown. — Welse myśli, że pionieruje w tamtych stronach, tymczasem Borg mógłby mu dawać mapy tamtych okolic. Dawno już je przeszedł taro i z powrotem. Tak, człowieczysko dziwaczne. Nie chciałbym mieszkać w jego chacie.

St. Vincenta mało obchodziła dziwaczność Borga, całe dni bowiem spędzał w towarzystwie Frony i barona. Ale pewnego dnia, zresztą zupełnie niewinnie — oberwał. Dwaj Szwedzi, gnający wiewiórkę aż z drugiego końca wyspy Roubreau, zatrzymali się na chwilę, prosząc o zapalną i grzejąc się w wiosennym słońcu. St. Vincent i Borg dali im zapalną, przy czym Borg zamienił z przybyszami zaledwie kilka sylab. U drzwi chaty Bella prała bieliznę. Balia była niezdarną ciosaniną domową i, pełna wody, nie dawała się łatwo podnieść rękami kobiecym. St. Vincent dostrzegł wysiłki Belli i pośpieszył na pomoc.

Podniósłszy balię wspólnymi siłami, nieśli ją teraz razem, żeby wylać jak najdalej od chaty. St. Vincent pośliznął się na topniejącym śniegu i mydlana woda chlupnęła przez brzeg. Potem pośliznęła się Bella, wreszcie pośliznęli się oboje. Bella zachichotała z cicha, St. Vincent roześmiał się również. Wiosna tętniła w powietrzu, wiosna tętniła w ich krwi. Tak dobrze było żyć. Tylko serce zwarzone zimą nie uśmiecha się w taki dzień. Bella pośliznęła się znowu, próbowała wyprostować nogi, ale przechyliła się w stronę przeciwną — i nagle siadła w śnieg. Śmiejąc się wesoło, korespondent chwycił ręce kobiety, chcąc pomóc jej wstać. Sus, ryk — i Borg stał już przy nich. Ręce tamtych dwojga zostały rozerwane, mężczyzna odepchnięty precz, zachwiał się i omal nie upadł. Po czym powtórzyła się scena z chaty. Bella kuliała się i łaśiła u stóp pana, on zaś stał nad nią groźnie przez chwilę.

— Słuchaj no, ty — wycharczał wreszcie do St. Vincenta. — Spisz u mnie i gotujesz jeść. Dostyc. Od kobiety mi wara.

Życie potoczyło się dalej zwykłym trybem; St. Vincent obchodził Bellę z daleka i zdawał się nie zauważać jej istnienia. Ale Szwedzi wrócili na swój kraniec wyspy, śmiejąc się z tego drobnego wypadku, któremu sążone było nabrać z czasem poważnego znaczenia.

ROZDZIAŁ XXI

Wiosna, muskająca ziemię miękkimi, ciepłymi rękoma, nadeszła nagle jak cud, by trwać chwilę tylko i ustąpić miejsca wybuchowi pełnego, bujnie rozrosłego lata. Śnieg spłynął z rzek i dolin i trzymał się jeszcze tylko na północnych stokach wzgórz, pokrajanych przez lód. Lada dzień ruszyć miała kra. Rzeki i potoki pomrukiwały już groźnie. Słońce co dzień wcześniej wschodziło i dłużej zostawało na niebie. O trzeciej był teraz jasny dzień, a o dziewiątej wciąż jeszcze lekki półmrok. Wkrótce złociste koło opisane zostanie na niebie i głęboka północ stanie się równie jasna, jak wysokie południe. Wierzby i osiki wezbrały już dawno pąkami teraz zaś stroiły się świeżą, młodą zielonością. Sok krążył w pniach jodeł i sosen.

Matka natura wzniosła pierś westchnieniem przebudzenia i zakrzątnęła się koło swoich prac dorocznych. Świerszcze śpiewają po nocach w opustoszałych chatkach, przygrzane moskity wypelzają na słoneczko ze starych dziupli i szczelin skalnych, duże brzęczące nieszkodliwe stworzenia, które zrodziły się przed rokiem, całą zimę leżały zmarznięte w długim śnie i odrodzone teraz zostały, by przebrzeczć swe krótkie istnienie aż do powtórnej śmierci. Wszelkiego rodzaju pełzające i latające życie wyłania się z nagrzanego ziemi i śpieszy dojrzeć, rozmnożyć się i zginąć. Jeden łyk ciepłego, wonnego powietrza i znowu nieskończenie długi mróz — ach! wiedziano o tym dobrze i nie tracono czasu. Jaskółki nadwodne naprawiają swoje zeszłoroczne gniazda w glinianych stokach brzegów, rybitwy śpiewają na wyspach, strojnych w gaje. Dziecioty kują zawzięcie w pnie a w samej głębi lasu hałasuje kuropatwa radośnie i wzywa towarzyszkę.

Lecz w całym tym wiosennym pośpiechu Yukon nie brał udziału.

Na rozciągłości wielu tysięcy mil leżał zimny, martwy, bez uśmiechu. Dzikie kurki, lecąc z południa ogromnymi, chłostanymi przez wiatr stadami, szukały na próżno otwartych wód i odważnie parły dalej na północ. Od brzegu do brzegu zalegał dziki lód. Tu i ówdzie woda wytrysnęła na powierzchnię i sączyła się drobnymi strużkami, ale po

nocach zamarzała znowu. Stare podanie głosi, że kiedyś Yukon leżał pod lodem przez pełne trzy lata. W obliczu tej nieruchomej białości nie trudno jest w to podanie uwierzyć.

Tak więc czekało lato na otwarcie rzeki, zaś uparty Yukon zwlekał, przeciągał się zwolna i rozluźniał nieniechętnie swe twarde wiązania. Tu jakaś mała wyrwa głębiej wżerała się w lód, tam wytrysnęła kałużka i już nie zamarzała. Potem lód odrywać się począł od brzegu i od ładu na dobry jard. Ale wciąż jeszcze rzeka trzymała się mocno. Praca wiosny szła powoli i ludzie, przywykli panować nad naturą siłą swych karlich rąk, zdolni ujarzmić wodospady i wylaniać wodotryski, nie mogli nic poradzić, aby biliony ton lodu zechciały spłynąć do Morza Beringa.

Na Wyspie Rozdzielnej wszyscy gotowi byli do ruszenia wód. Komunikacja wodna była zawsze najwcześniej dostępna. Yukon zaś był jedyną drogą przecinającą cały kraj. Ci więc, którzy wybierali się przeciw prądowi, szykowali długie drażgi i objimali ich końce żelazem, ci zaś, którzy płynąć chcieli z prądem, obtykali łodzie konopiami i ciosali sobie zapasowe wiosła. Jakub Welse cieszył się i rozkoszował przymusowym odpoczynkiem, Frona zaś cieszyła się z nim razem, bo była szczęśliwa. Ale baro na Courbertina niecierpliwiła zwłoka. Gorąca krew burzyła się w nim od bezczynnego oczekiwania, a ciepłe słońce rozpalało mu wyobraźnię.

— Och! Och! Nigdy nie ruszy! Nigdy! — Stał na brzegu, wpatrzony w upartą skorupę i sytał grzecznie ubożonymi przekleństwami. — To zmowa, moja śliczna „La Bijou”! Prawdziwa zmowa przeciwko tobie! — pieścił lśniąca łódź, jak konia.

Frona i St. Vincent śmieli się i prawili mu kazania na temat cierpliwości, które baron starał się rzucać możliwie najgłębiej w otchłań zapomnienia. Nagle prześmiewki młodych przerwał Jakub Welse.

— Patrz no pan, Courbertin! Tam, na południe od cypla. Widzi pan? Coś się rusza.

— Tak. Pewnie pies.

— Zbyt powoli jak na psa. Frona, przynieś lornetkę. — Coubertin i St. Vincent skoczyli do namiotu i dziennikarz, wiedząc, gdzie co leży, triumfalnie wrócił z lornetką. Jakub Welse przyłożył szkła do oczu i długo spoglądał na rzekę. Od wyspy do drugiego brzegu była dobra mila i blask słońca nieznośnie przeszkadzał oczom.

— To człowiek. — Welse oddał szkła baronowi i rozgadał się błędnie gołymi oczyma. — I coś mu jest.

— Pełźnie! — krzyknął baron. — Człowiek pełźnie na rękach i kolanach! Patrzcie! Patrzcie! — drżącymi rękoma wpychał lornetkę Fronie.

Patrząc przez pustkę lśniącej bieli trudno było odróżnić ciemny przedmiot tak niewielki i odcięty słabo na równie ciemnym tle ziemi i zarośli. Ale Frona dostrzegła człowieka zupełnie dokładnie i nawet, przyzwyczajwszy oczy do natężenia, zdołała rozróżnić każde poruszenie, szczególnie wtedy, kiedy człowiek znalazł się na tle wyrwanej przez wiatr sosny. Frona patrzyła z trwogą. Dwukrotnie człowiek całym wysiłkiem próbował przerzucić się przez zwalony pień i za trzecim razem zdołał tylko podnieść pół ciała i rzucić się bezsilnie, twarzą w dół, w splątaną gęstwinię.

— Tak, to człowiek. — Frona oddała lornetkę dziennikarzowi. — Wlecze się bardzo słabo. Upadł właśnie po tej stronie pnia.

— Czy rusza się jeszcze? — zapytał Jakub Welse i w odpowiedzi na skinienie głowy patrzącego przyniósł swoją strzelbę z namiotu.

Sześć razy z rzędu wystrzelił szybko w powietrze.

— Ruszył się! — zawołał natychmiast po strzałach korespondent. — Pełźnie do brzegu. Ach! Nie, chwileczkę... Tak, leży i podnosi kapelusz na kij. Powiewa kapeluszem. (Jakub Welse wystrzelił jeszcze sześć razy). — Znowu powiewa. Teraz przesiał i leży spokojnie.

Wszyscy troje spojrzeli pytająco na Jakuba Welse'a. Ten wzruszył ramionami.

— Skądże ja mogę wiedzieć? Nie wiem nawet czy biały czy Indianin? Pewnie głód, a może rany.

— Ależ on może umrzeć! — błagała Frona, jak gdyby ojciec, który tylu rzeczy dokonał, poradzić mógł na wszystko.

— Nie możemy nic zrobić.

— Ach! Straszne! Okropne! — baron załamywał ręce. — Tuż przed nosem i nie można nic poradzić! Nie! — wykrzyknął z nagłym zacięciem. — Tak być nie może! Przejdę po lodzie!

Byłby ruszył natychmiast klusem z wyniosłego brzegu, gdyby Jakub Welse nie chwycił go za ramię.

— Nie tak gwałtownie, baronie. Nie trać pan głowy. — Ależ...

— Ależ nic. Tylko ten człowiek może przecież potrzebować żywności albo lekarstwa, prawda? Poczekaj pan chwilę. Spróbujemy razem.

— Liczcie panowie i na mnie — dorzucił skwapliwie St. Vincent i oczy Frony zabłyśły.

Podczas gdy pakowała w namiocie tobolek z żywnością, mężczyźni zaopatrzyli się w lekką linkę, długości około siedemdziesięciu stóp. Jakub Welse i St. Vincent uwiązali się do obu końców, baron zaś pośrodku. Uważając też niesienie żywności za swój

obowiązek, umocował sobie tobolek rzemieniem do szerokich pleców. Frona patrzyła na wyprawę z wysokiego brzegu. Pierwsze sto jardów przeszli gładko, ale jak tylko minęli pas tęgiego lodu, Frona spostrzegła natychmiast różnicę szybkości. Ojciec prowadził odważnie, próbując drogę kijem i ciągle zmieniając kierunek.

St. Vincent, idący na końcu wyciągniętej liny, zapadł się pierwszy, lecz długi kij trzymany poziomo zatrzymał się o brzegi otworu, więc głowa człowieka pozostała ponad wodą. Nurt rwał jednak ostro i dwaj towarzysze wydobyli dziennikarza dopiero po tęgiej walce z żywiołem. Frona widziała jak naradzali się we trzech przez parę minut i jak baron gestykulował zapalczywie, po czym St. Vincent odwiązał się i zawrócił ku brzegowi.

— Br-r-r — dygotał wdrapując się na brzeg. — Niepodobieństwo!

— Ale czemuż tamci nie wracają? — zapytała Frona z leciutkim niezadowoleniem w głosie.

— Chcą jeszcze raz spróbować. Ten Courbertin, to szalona głowa, jak pani wiadomo.

— A mój ojciec jest uparta głowa — odrzekła z uśmiechem. — Ale czy nie zmieniliby pan ubrania? W namiocie są zapasowe rzeczy.

— O, nie. — Położył się na ziemi obok siedzącej Frony. — Na słońcu ciepło.

Przez całą godzinę wpatrywali się w dwóch mężczyzn, którzy stali się teraz już tylko czarnymi punktami w oddali, zdoławszy dobrnąć aż do środka rzeki, a równocześnie posunąć się o dobrą milę w górę. Frona nie obejmowała lornetki od oczu, chociaż tamci dwaj często ginęli z pola widzenia, poza lodowymi wzgórzami. — To brzydko z ich strony — poskarżył się St. Vincent. — Powiedzieli mi, że jaszczynie tylko trochę spróbują. Nie byłbym zawrócił. A jednak nie uda im się. Zupełna niepodobieństwo.

— Tak... Nie... Tak! Zawracają! — krzyknęła. — Ale słuchaj! Co to?

Głuchy huk, niby daleki grzmot, wszczął się jakby pod lodem. Frona skoczyła na równe nogi. — Gregory! Przecież rzeka nie może ruszyć teraz!

— Nie, nie; na pewno nie. Słuchaj, już jest cicho. Huk idący z góry ucichł gdzieś w dole rzeki.

— Ależ jeszcze! Jeszcze!

Drugi grzmot, głośniejszy i bardziej groźny, warknął gdzieś w pobliżu i uciszył od razu rybitwy i wiewiórki. Podobny był do łomotu pociągu na rozwidleniu szyn. Trzeci grzmot, jeszcze straszliwszy i bardziej przeciągły, zerwał się w górze rzeki i przewalił w dół.

— Ach, czemuż się nie pośpieszą!

Dwa czarne punkty stały nieruchomo; ludzie naradzali się widocznie. Frona pośpiesznie przesuwiała lornetką wzdłuż Yukonu. Chociaż rozległ się jeszcze jeden grzmot, nie dostrzegła żadnego poruszenia na rzece. Lód leżał jak skamieniały. Rybitwy zakrzyczyły znowu, wiewiórki zatrajkotały wesoło.

— Nie bój się, Frona. — St. Vincent objął ją opiekuńczym ramieniem. — Jeżeli istnieje jakieś niebezpieczeństwo, oni wiedzą o nim lepiej niż my i pośpieszą.

— Nigdy nie widziałam, jak pęka lód na dużej rzece — wyznała Frona, zdecydowana już na cierpliwe czekanie.

Grzmoty zrywały się i cichły co pewien czas, ale żadnego ruchu nie było widać na Yukonie. Dwaj ludzie ostrożnie, badając lód dragami, wracali k u brzegowi. Kiedy doszli wreszcie, ociekali wodą i dygotali na całym ciele.

— Nareszcie! — Frona chwyciła obie ręce ojca. — Myślałam już, że nigdy nie wrócicie.

— Dobrze. Dobrze. Leć i dawaj obiad — śmiał się Jakub Welse. — Nie było żadnego niebezpieczeństwa.

— Cóż znaczył ten huk?

— Rzeka Stuart otworzyła się i grzmotnęła lodem pod lód Yukonu. Słyszeliśmy nawet tarcie kry.

— Ach! To było straszne, straszne! — wołał baron — a ten biedny człowiek! Nie będziemy mogli go uratować!

— Może będziemy mogli. Po obiedzie spróbujemy posłać psy. Spiesz się, Frona.

Ale próba posłania psów nie udała się. Jakub Welse powyberał leaderów jako najrozumniejszych, przywiązał im paczki z żywnością do grzbietu i gnać począł precz od brzegu. Psy nie mogły pojąć, czego od nich żądano. Jak tylko próbowały wrócić, odpędzano je kijami, kamieniami i wymyślaniami. To tylko bałamuciło zwierzęta; wpadały do wody, wyciągały spod lodu zmarznięte łapy i, żałośnie skomlać, rzucały się ku brzegowi.

— Niech no tylko trochę odbiegną od brzegu, zaraz zrozumieją, o co chodzi, i sprawa będzie załatwiona. Ach ty! Będziesz mi zawracał? Wal naprzód. Chook! Miriam! Chook! Niechby choć jeden ruszył.

Wreszcie udało się Welsowi zmusić Miriam, lidera zaprzęgu Frony, do ruszenia tym śladem, który zostawili obaj z baronem. Pies biegł odważnie, wpijał pazury w miękki lód, zapadał co chwila i nieraz nawet płynął; kiedy jednak dotarł do miejsca, skąd zawrócili byli obaj ludzie — usiadł bezradnie i nie chciał iść dalej. Potem zaczął wracać do brzegu

na ukos i wylądował na bezludnej, nieco powyżej leżącej wysepce; w godzinę potem przydreptał do obozu, ale bez paczki z żywnością. Dwa pozostałe psy, odbiegłszy kilkanaście kroków od brzegu, pogodziły się prędko, pożartły sobie nawzajem uwiązane przez ludzi ładunki; wobec tego na brzegu uznano próbę za chybioną i odwołano psy.

Przez całe popołudnie grzmoty powtarzały się coraz częściej, o zmroku stały się nieustanne nad ranem jednak ucichły zupełnie. Rzeka podniosła się o osiem stóp i w wielu miejscach woda płynęła po lodzie. Tworzyły się szczeliny i pęknięcia, coraz większe i coraz liczniejsze.

— Dolne warstwy lodu utknęły między wysepkami — tłumaczył Jakub Welse. — To spowodowało podniesienie poziomu wody. Poza tym utworzył się zator przy ujściu rzeki Stuart i tam kra się cofa. Kiedy ten zator się przełamie, część lodu pójdzie na dno i z kolei posunie dolne warstwy.

— A potem? A potem? — dopytywał się baron.

— „La Bijou” popłynie raz jeszcze.

O świcie poszukano znowu oczyma leżącego człowieka. Nie wstał, ale w odpowiedzi na strzał słabo poruszył kapeluszem na lasce.

— Nic nie poradzimy, dopóki nie spłyną lody, baronie, a wtedy — pośpieszna wyprawa na „Bijou”! Panie St. Vincent, przyniósłbyś pan lepiej tutaj swoją pościel i spał z nami tej nocy. Potrzebne nam będą trzy wiosła. Myślę, że można zabrać też Mc Phersona.

— Nie warto, żebym się tu przenosił — odrzekł skwapliwie korespondent. — Cieśnina między wyspami jest jeszcze zupełnie twarda, stawię się o świcie.

— A ja? Czemuż nie ja? — zapytał baron.

Frona zaśmiała się. — Nie widzieliśmy pana jeszcze nawet na pierwszej lekcji wiosłowania, baronie.

— A jutro to się na pewno nie uda — 'dodał Jakub Welse. — Jeśli ruszy; ruszy gwałtownie. St. Vincent, Mc Pherson i ja stanowić będziemy załogę. Bardzo żałuję, baronie. Zostań pan z nami jeszcze rok, to się pan wtedy przydasz. Ale baron był niepokieszony i burczał pod nosem dobre pół godziny.

ROZDZIAŁ XXII

— Wstawać, śpiochy! Wstać!

Frona wyskoczyła spod futer na pierwsze wołanie Dela Bishopa; zanim jednak zdołała narzucić sukienkę i wśliznąć bosc nogi w mokasyny, ojciec jej, śpiący za zasłoną z koca, rozchylił już poły namiotu i wyskoczył na dwór.

Rzeka ruszyła. W chłodnym, szarym półmroku widać było jak kra trze o brzeg, miejscami nawet góruje nad brzegiem wślizgując się na ląd. O sto jardów od stojącej Frony biała płaszczyzna rzeki odcinała się pod szarym niebem. Słychać było po ciemku, jak rozpadliny tryskają wodą. Zewsząd dochodził stłumiony szelest kry.

— Kiedy popłynie? — spytała Frona Dela.

— Dla naszej przyjemności ani o chwilę wcześniej. Proszę patrzeć! — wskazał nogą strumień, który wyrwał się spod lodu i pełznął ku nim. — Co dziesięć minut podnosi się o jedną stopę.

— Niebezpieczeństwo? — mruknął. — Ani krztyny. Wszystko w porządku. Tamte wysepki — wskazał ręką w dół rzeki — nie wytrzymają parcia. Jeśli nie paszczą od razu lodu, to zmiecie je, zrówna z powierzchnią Yukonu. Na pe! Ale trzeba iść. Tam u nas gorzej, bo niżej. W chatach woda stoi na piętnaście cali i Mc Pherson z Corlissem tarabanią wszystkie rzeczy na ławki.

— Powiedźcie, żeby Mc Pherson był gotów, jak zawołam — huknął Jakub Welse w ślad za Delem. — St. Vincent powinien teraz właśnie przejść cieśniną — dodał w stronę Frony.

Baron dygotał z zimna, bo wybiegł na bosaka.

— Za dziesięć trzecia — wyjąkał, spojrzawszy na zegarek.

— Niech no pan lepiej pójdzie do swego namiotu i włoży mokasyny, zdąży pan jeszcze — radziła Frona.

— Co? i mam opuścić widowisko? Przenigdy. Nagle gdzieś w nieokreślonym punkcie rozległ się trzask i ucichł. Lód ruszył. Powoli, bardzo powoli sunął w dół rzeki. Nie było chaosu, grzmotów, zmagania żywiołów, po prostu tylko milczący szeroki nurt spokojnej bieli, porządny, niezmacony odpływ lodu, ubitego teraz tak mocno, że żadna strużka wody nie trysnęła na powierzchnię. Woda istniała gdzieś w głębi. Ale w to istnienie można było tylko wierzyć. Było to jakieś ciche tarcie, głuchy pomruk, tak stłumiony, że ledwie dosłyszalny.

— Ach! Gdzież jest widowisko? To zwyczajne naciąganie!

Baron groził rzece pięściami, a Jakub Welse zmarszczył krzaczaste brwi, żeby ukryć drwiący uśmieszek oczu.

— Ha, ha! Kpię sobie z tej „potęgi”! Daję jej po nosie! Patrzcie!

Rzuciwszy to wyzwanie, baron Courbertin skoczył na krę, która właśnie cichutko sunęła tuż u jego nóg. Stało się to tak niespodziewanie, że kiedy Jakub Welse chciał chwycić szaleńca za ramię, owego ramienia nie było już w pobliżu.

Kra nabierała rozpędu, szelest przechodził w głuchy grzmot. Kołysząc się wdzięcznie, niby jeździec cyrkowy, Francuz sunął na lodzie wzdłuż brzegu. Jechał tak z pięćdziesiąt stóp, chociaż rumak stawał się co chwila groźniejszy. Wreszcie skoczył lekko na ląd. Wrócił do towarzystwa roześmiany, ale połknąć musiał kilka najbardziej wyborowych słówek, jakie Jakub Welse wyłonić zdołał z najbardziej męskiego rozdziału swego słownika.

— Za cóż to? Za co? — pytał baron, dotknięty do żywego.

— Za co? — gestykulował z wściekłością Jakub Welse, wskazując szybki nurt sunący już wzdłuż brzegu.

Ogromna kra wtoczyła swój dziób w łożysko rzeki o jakieś trzydzieści stóp poniżej i zatrzymawszy się parła wstecz. Cały miękki lód, sunący za nią połamał się natychmiast i nastroszył jak papier. Wtedy uparta kra przewróciła się zupełnie i stanęła zamulonym dziobem ku niebu. Inne kry parły na nią dalej i zator lodowy rósł ku tyłowi. Wreszcie pięćdziesięciostopowy zwał lodu i mułu stanął dęba i roztrzaskał się, runąwszy na twardszą jeszcze powierzchnię. Odłamki lodu padły u nóg widzów stojących na brzegu. Schwytany ze wszystkich stron w chaos, ciśnień, zator rozpadł się w kawałki i znikł.

— Boże! — wymówił baron z szacunkiem i zgrozą. Frona chwyciła ojca i barona za rękę. Lód mknął teraz z gorączkową szybkością. Gdzieś poniżej ciężki odłam lodowy uderzył w brzeg i ziemia zadrżała pod nogami ludzi. Wkrótce po nim drugi sięgnął już głębiej w ląd, aż ludzie odskoczyli przerażeni, zagarnął dobrą tonę ziemi, stanął dęba i runął. Potem trzeci sięgał na brzeg niby olbrzymia ręka, zerwał trzy nieostrożne sosny i uniósł precz.

Wstał dzień. Pęd białej masy rwał teraz całym łożyskiem Yukonu. Wezbrane wody górnego biegu cisnęły w dół i szybkość nurtu stała się oszałamiająca. Brzeg na całej długości orany był i szarpany, wyspa drżała aż do podstaw.

— O, wspaniałe, wspaniałe! — wołała Frona do obu mężczyzn. — Tak wyglądają „drwiny”, baronie?

— Ach! — potrząsnął głową — głupstwo palnałem. Osioł jestem. Ależ to cudowne! Patrzcie!

Wskazał w dół rzeki na grupkę wysepek, które barykadowały zakręt. W tym miejscu nurt szeroki na milę rozdzielił się po kilku łóżykach; co było łatwe dla wody, ale trudniejsze dla ubitego lodu.

Wysepki zanurzyły puszyste głowy w mroźny nurt i wyrzuciły kry wysoko w powietrze. Ale kra cisnęła po krze i zgromadziły się wsparte o wysepki, nasuwając się, naskakując, piętrząc, garbiąc. Coraz więcej lodu napierało z tyłu, aż białe góry wzniosły się i rozpadły pośród drzew.

— Doskonałe miejsce na wielki zator — powiedział Jakub Welse. — Przynieś lornetkę, Frona. — Patrzył długo i uważnie. — Rośnie, rozszerza się. Kra po krze. Każda na swoje miejsce...

— Ale woda opada! — krzyknęła Frona.

Lód opadł sześć stóp od szczytu brzegu; baron zaznaczył to miejsce kołkiem.

— Nasz człowieczyna wciąż tam leży, ale się nie rusza.

Dzień był już zupełnie jasny. Słońce wschodziło na północo-wschodzie. Wszyscy po kolei obejrzelili rzekę przez lornetkę.

— Patrzcie! Czy to nie nadzwyczajne! — Courbertin wskazał na swój znak wodny. — Lód opadł jeszcze o stopę. Kiepsko! Kiepsko! Mój zator! Już nie będzie zatoru!

Jakub Welse popatrzał mu poważnie w oczy.

— Ach, więc będzie? — zapytał baron, nie tracąc nadziei.

Frona spojrzała pytająco na ojca.

— Zatory nie zawsze są przyjemną rzeczą — odrzekł z krótkim uśmiechem. — Wszystko zależy od tego, gdzie się zrobią i gdzie my wtedy będziemy.

— Ależ rzeka! Patrzcie! Opada. Widać.

— Jeszcze na zator nie za późno. — Spojrzał przez lornetkę na barykadę wysepek i dostrzegł, że góry lodowe rosną i dotykają już jedna drugiej. — Idź pan do namiotu, baronie, i włóż moje mokasyny, które stoją przy piecyku. Idź. Nic pan nie opuścisz. A ty, Frona, rozpal ogień i zagotuj kawę. Zdażymy.

W pół godziny później, chociaż woda opadła jeszcze niżej, dostrzegli równie wielkie góry lodowe na wysepkach.

— No, teraz zaczyna się przedstawienie. Przetrzyj pan oczy, gorący Galijczyku. Tam, lewy kanał! Zaczyna się.

Courbertin dostrzegł, że lewa cieśnina została jak gdyby zamknięta, zaś wielka biała bariera wzniosła się i posuwać poczęła od wysepki do wysepki. Pęd lodu w pobliżu widzów zmniejszył się i wreszcie ustał zupełnie. Natychmiast woda poczęła się podnosić. Poziom rósł tak szybko, jakby woda sięgnąć miała nieba, bez żadnych przeszkód. Jak o świcie, kry tarły o brzeg i wsuwały się na ląd poprzez szczyt brzegu. Mulista woda pełzła naprzód.

— Mon Dieu! Coś niedobrze!

— Za to wspaniale, barwnie — drwiła Frona. — Tymczasem przemoczył pan nogi.

Cofnął się z wody w samą porę, bo spora gruda lodu łupnęła w to właśnie miejsce, na którym stał przed chwilą. Wznoszące się wody podnosiły lód, który wkrótce utworzył na brzegu ścianę sięgającą wysokości piersi człowieka.

— Wszystko opadnie, jak tylko zator się przerwie. Patrzcie, teraz podnosi się już wolniej. Widocznie przerwało się.

Frona skierowała lornetkę na białą barykadę pośród wysepek.

— Nie, nie przerwało się — zaprzeczyła.

— Ale woda nie leci już jak koń wyścigowy.

— Ale i nie stoi.

Baron przez chwilę nic nie rozumiał. Potem nagle rozjaśniła mu się twarz.

— Aha! Już wiem! Gdzieś w górze zrobił się drugi zator. Pysznie wykombinowałem, co?

Frona złapała jego gestykującą rękę.

— Słuchaj pan, a jeśli górny zator pęknie, a dolny nie pęknie? Co wtedy?

Baron popatrzył na nią przeciągle jakby nabierając rozpędu. Zaczerwienił się, odetchnął głęboko, wyprostował ramiona i odrzucił głowę wstecz. Wyciągniętą ręką zakreślił szerokie półkole, włączające wyspę, na której stali.

— Wtedy? Wtedy pani, ja, namiot, łódki, chaty, drzewa, wszystko, nawet „La Bijou” — puf! i ani słychu! Wszystko pójdzie do licha.

Frona pokiwała głową.

— Bardzo kiepsko — odrzekła.

— Kiepsko? Pardon. Wspaniale!

— Nie, baronie, nie to. Ale to, że pan nie jest Anglikiem. Rasa mogłaby być dumna z pana.

— A pani, Frono, mogłaby kwitnąć pośród Francuzek.

— Aha, znowu! Bukieciki sobie przypinają jedno drugiemu! — Del Bishop uśmiechnął się złośliwie i znikł tak szybko, jak się był zjawił. — Pośpieszcie się lepiej. Tam w chacie na dole są chorzy. Pomoc potrzebna. A nie marudźcie! — rzucił przez ramię, znikając za drzewami. Rzeka wznosiła się ciągle, chociaż wolniej, ale zeszedłszy z góry, wszyscy troje brodzić już musieli po kolana w wodzie. Rozglądając się pomiędzy drzewami dostrzegli łódź, którą widocznie wciągnięto tu w jesieni. Trzech nowicjuszy dotarło po lodzie aż do tego miejsca, a teraz rozłożyło się obozem w owej łodzi, wraz z namiotem, sankami i psami. Łódź stała niebezpiecznie blisko do lodowej gardzieli, która grzmiała, ryczała i o kilka kroków dalej omiatała brzeg.

— Wyłażcie stamtąd, kiepskie wariaty! — huknął Jakub Welse przechodząc.

Del Bishop krzyknął im był: „Zabierajcie się, pies wam mordę lizał!” — więc nie zrozumieli. Jeden zwrócił ku idącym przerażoną twarz. Drugi leżał tępo na bocznej ławeczce, jakby zupełnie wyczerpany z sił. Trzeci, o twarzy biurowego urzędniczyny, kiwał się w tył i w przód i zawodził monotonicznie: „Mój Boże! Mój Boże!”

Baron stanął i potrząsnął porządnie żółtodzioba. —

— Do licha! — zawołał. — W nogi, człowieku, a nie żadne „mój Boże!” Oprzytomnijcie! Nuże! Ruszcie się! Precz od brzegu! Do lasu, na drzewo, aby dalej! Nuże! Spróbował go ruszyć, ale żółtodziób uderzył go z całych sił i trzymał się uparcie.

— Jak tu sobie człek wzbogaca język! — zwierzył się baron dumnie Fronie, kiedy odbiegli kawałek drogi.

— „Nuże!” soczyste słówko i doskonale pasuje.

— Niech no pan popodróżuje z Delem — roześmiała się panna. — Od razu powiększy się panu słownik w dwójnasób.

Wyszli na polanę, gdzie tuż koło rzeki stała chata. Na jej płaskim, ubitym z gliny dachu, leżeli dwaj chorzy,

owinięci w koce. Corliss i Jakub Welse brodzili tymczasem po izbie, wyciągając toboły z odzieżą i wszelki ekwipunek. Przeciętą głębokość wody wynosiła parę stóp, ale w chacie wykopany był dół dla utrzymania ciepła, tam więc woda sięgała po pas.

— Tytoń! Żeby tytoń nie zamókł! — wołał słabym głosem jeden z chorych.

— Do diabła z tytoniem! — odpowiedział drugi. — Łapcie no mąkę i cukier!

— Bo uważa pani, Bill nie pali — tłumaczył Fronie pierwszy. — Ja jednak bardzo proszę, uważajcie łaskawie na tytoń! — błagał.

— Masz. Cicho siedź. — Del rzucił mu woreczek z tytoniem, i chory przytulił go mocno, jakby zawierał samo złoto.

— Czy mogłabym wam w czymś pomóc?— pytała Frona w stronę dachu.

— Nic. Szkorbut. Nic nie pomoże, tylko kraina bogów i surowe kartofle. Ale co pani tu robi? Proszę wracać na górę.

Nagle z trzaskiem i jękiem zachwiała się lodowa góra. Kra wyglądająca na dobre pięćdziesiąt ton runęła w otchłań, oblała ludzi lodową falą i zatrzymała się tuż u drzwi chatki. Mniejsza kra zaczepiła o wystające dyle narożne. Chata zachwiała się. Courbertin i Welse byli wewnątrz.

— Apres vous — usłyszała Frona słowa barona i zaraz potem krótki, rozbawiony śmiech ojca. Uprzejmy Francuz wyszedł ostatni, przeciskając się pomiędzy krą a ścianą.

— Słyszysz, Bill, jeśli dolny zator strzyma, już po nas — wołał amator tytoniu do towarzysza.

— Żebyś wiedział — zabrzmiała odpowiedź... — Poniżej Nulato widziałem, jak zmiotł wyspę Bixbre, czyściutko, niegorzej niż moja stara podłogę w kuchni.

Mężczyźni zeszli się w miejscu, gdzie stała Frona.

— Tak na nic. Trzeba ich przenieść do pańskiej chaty, Corliss. — To powiedziawszy, Jakub Welse wdrapał się na dach i patrzeć począł na białą barykadę.

— Gdzie Mac Pherson? — zapytał.

— Od godziny skamieniał na jakimś drzewie. Jakub Welse powiewał ramieniem.

— Pęka! Pęka! Rusza.

— Tym razem nie będzie czyściutkiej podłogi, Bill, nie ubliżając twojej starej — krzyknął amator tytoniu.

— Aha — odparł flegmatyczny Bill.

Cała rzeka zdawała się zbierać w sobie i ruszać biegiem. Od nacisku wód, wał lodowy pękł w stu miejscach n raz. Zewsząd dochodził trzask łamanych drzew.

Corliss i Bishop podnieśli Billa i ruszyli ku chacie Mc Phersona, zaś Jakub Welse i baron brali właśnie drugiego chorego, kiedy nagle ogromny blok lodu palnął w ścianę i w oka mgnieniu rozwalił chatynę. Frona dostrzegła zbliżającą się katastrofę o parę sekund wcześniej i krzyknęła ostrzegawczo, ale już tęgą więźnię drzewną runęło jak domek z kart. Courbertina i chorego wyrzuciło poza ruiny i cisnęło o ziemię, lecz ojca zagarnęło w głąb i zasypało drzewem. Skoczyła ku niemu. Nie wstawał. Chwyliła go i poczęła ciągnąć ku sobie, żeby nie dać jego ustom zachłysnąć się wodą, ale pomimo największych wysiłków zdołała tylko trochę unieść jego głowę. Wtedy Frona szukać zaczęła dokoła rękami tego, co uwięziło ojca. Okazało się, że prawe ramię ścisnęły i trzymają dwa bale. Nie mogła ich poruszyć, ale wpakowała pomiędzy nie małą krokiewkę, która runęła z

dachu, razem z gałęzmi i mchem. Okazało się jednak, że dźwignia jest za słaba, bo pękła natychmiast, jak tylko Frona napała na nią całym ciężarem ciała. Skróciła więc dźwignię i podszedłszy bliżej napierała na nią ostrożnie powoli. Wreszcie, zwolna rozeszły się bale i Jakub Welse wynurzył obłoconą twarz. Odetchnął głęboko parę razy i wybuchnął:

— Ależ to smaczne, niech lichy porwie! — a potem, obejrawszy się wokół dodał spokojnie: — Frona, Del Bishop jest nader prawdomównym człowiekiem.

— Czemu? — spytała zdziwiona.

— Bo powiedział, że ty nadasz się w sam raz do tego kraju.

Ucałował ją i oboje wypluwać poczęli szlam, śmiejąc się radośnie. Courbertin wylazł spod rogu rozwalonej chaty.

— Nigdy nie widziałem podobnego jegomościa! — wołał wesóło. — Istny wariat! Spokoju nie daje. Łeb ma rozbity i tytoń przepadł. Głównie żałuje tytoniu.

Okazało się jednak, że ów łeb nie jest rozbity, tylko skóra zdarta na jakieś pięć centymetrów.

— Teraz musicie czekać, aż tamci wrócą. Ja już nieść nie mogę. — Jakub Welse wskazał swoje prawe ramię, zwisające nieruchomo. — Ale nic wielkiego, kość nie złamana, zwichnięcie.

Nagle baron dostrzegł coś bardzo ciekawego. Patrzył, patrzył, aż wreszcie wskazał na nogę Frony.

— Ach! woda odpłynęła, ale zostawiła cenną perelkę!...

Znoszone mokasyny panienki rozmokły w wodzie do reszty i maleńki, biały paluszek wyjrzał ciekawie na świat boży. — W takim razie jestem naprawdę bogata, baronie; bo mam jeszcze dziewięć.

— Któż by się ośmielił przeczyć? Któż by śmiać? — wołał z zapalem Francuz.

— Cóż za zabawny, przemiły, głupiutki chłopak!

— Całuję rączki. — I klęknął rycersko prosto w błoto. Frona odebrała mu ręce, ale chwyciła go za kędzierzawą czuprynę i potrząsała jego głową naprzód i w tył.

— Co mam z nim począć, ojczy?

Jakub Welse wzruszył ramionami i roześmiał się; Frona pochyliła ku sobie twarz chłopaka i pocałowała go w same usta. Ale Jakub Welse wiedział dobrze, że do niego należała właściwie ta wylewna radość.

Rzeka obniżywszy się do swego zimowego poziomu, pchała jeszcze całe zwały lodu. Uchodząc jednak z brzegu, pozostawiła na nich dwudziestostopową ścianę luźnej kry. Bloki lodowe rozrzucone zostały pośród stojących i przewróconych drzew, niby olbrzymie

plwociny jakiegoś potwora Północy. Słońce nie próżnowało, góry lodowe topniały, ciekły z nich mętne strużki, zmywały muł, aż kry załśniły niby stosy diamentów, srebrnie i błękitnie. Sunęły jedna za drugą po pochyłości brzegu, zбивały się w niebezpieczne zwały i raz po raz w szary nurt, padały z pluskiem i hukiem tęczowe wieże i olśniewające minarety. W jednym z czystych już miejsc brzegu leżała „La Bijou”, nad nią zaś stali chwilowi mieszkańcy Wyspy Rozdzielnej, prócz nowicjuszy i chorych.

— Tak, tak, przyjacielu, dwóch będzie dość. — Tommy Mc Pherson obrzucił spojrzeniem zgromadzonych, czekając potwierdzenia. — Jak się wpakujemy we trzech, to fiknie, ani chybi.

— Albo walimy całą parą, albo wcale — odrzekł Corliss. — Potrzebni są trzej ludzie, Tommy, wiesz o tym doskonale.

— Te, te, starczy dwóch, powiadam.

— Boję się, że będziemy musieli ograniczyć się do dwóch.

Szkot-Kanadyjczyk nie krył swej radości.

— Na pewno uda się doskonale we dwóch.

— Ale jednym z tych dwóch będziesz ty, Tommy — ciągnął nieubłagany Corliss.

— No! Przecież ludzi jest dość beze mnie.

— Nie. Nie ma. Courbertin nie ma pojęcia o wiosłowaniu. St. Vincent widocznie nie może przedostać się przez cieśninę. Ramię pana Welsa wyklucza go zupełnie. Pozostajemy my dwaj, Tommy.

— Nie chcę tu robić inkwizycji, ale ten oto syn Adama też nie ułomek. Wiosłem robić umie. — Szkot nie lubił kąśliwego kopacza, ale znał doskonale jego ambicję i próbował ratować siebie, wysuwając tamtego.

Del Bishop wystąpił na środek małego koła i popatrzał każdemu z obecnych prosto w oczy.

— Czy jest ktoś, kto powie, że jestem tchórz? — zapytał bez wstępów. Znowu spojrzął wszystkim w oczy. — Kto powie, że kiedykolwiek postąpiłem nie po męsku? — Znowu obejrzał krąg ludzi. — Pięknie. Nienawidzę wody, ale nigdy się jej nie bałem. Nie umiem pływać, ale na tamtym brzegu bywałem częściej, niż mogę zapamiętać. Nie umiem ruszyć wiosła, żeby nie leżeć na dnie łodzi. Co do sterowania — cóż, ludzie świadomi rzeczy upewniają, że kompas ma trzydzieści dwie podziałki, ale jeśli ja steruję, podziałek bywa co najmniej jeszcze drugie tyle. I tak samo jak nie ulega wątpliwości, że Bóg stworzył jabłka, tak samo pewną jest rzeczą, że ja na wodzie nie odróżniam łokcia od kolana. Przewróciłem prawie każdą łódkę, z którą miałem do czynienia. Z dwóch wyleciałem od

razu. Wyrzuciło mnie jak żółwia do kanionu i wyniosło na brzeg dopiero poniżej Białego Konia. We dwóch wiosłować mogę tylko z jednym na świecie człowiekiem, a tym człowiekiem jestem ja sam. Ale, panowie, jeśli taki jest rozkaz, zajmuję miejsce w „La Bijou” i wloką ją aż do samego piekła, jeżeli przedtem nie rozbije się po drodze. Baron Courbertin objął kopacza i zawołał:

— Bóg na pewno stworzył jabłka i ty jesteś na pewno prawdziwym mężczyzną!

Twarz Mc Phersona zbladła. W słowach szukać począł ucieczki od milczenia, które zapanowało.

— Nie przeczę, że wiosłować umiem i nie będę twierdził, że mam pecha. Ale jeżeli wyruszymy, ten górny zator akurat nas dopędzi. Poczekajmy. Jeszcze za wcześnie. Niech się trochę rzeka oczyści, powiadam.

— Tak nie można, Tommy — strofował Jakub Welse — nie wykręcisz się sianem.

— Ależ nic podobnego! Nie chcę się kłócić...

— Doskonale — podchwycił Corliss — jedziemy.

— Nic podobnego. Ja...

— Cicho tam! — huknął Del, którego matka natura obdarzyła potężnymi płucami i grzmącym głosem. Po tym okrzyku Szkot upadł na duchu i zamilkł.

— Słuchajcie! Słuchajcie — pośród drzew zabrzmiał kontrastowo dźwięczny sopran Frony, niby najczystsze srebro. — Patrzcie! Patrzcie! Otwarta woda! Czysta woda! Poczekajcie chwileczkę. Ja z wami!

O trzy mile w górę rzeki, tam gdzie Yukon wyginał się w łuk wspaniały, dostrzec było można smugę czystej wody. Wydawało się to zjawiskiem niewiarogodnym, zaraz po granitowej zimie. Mc Pherson, nie pozwoliwszy rozpaść swej wyobraźni, spróbował raz jeszcze cofania.

— Poczekajmy trochę, poczekajmy trochę — protestował, kiedy Del ułapił go za kołnierz. — Zapomniałem fajkę w chacie.

— Poczekasz tu z nami, bratku — wykrzywił się Del. — Dałbym ci pociągnąć z mojej, gdyby twoja własna nie wystawała ci z kieszeni.

— Właściwie... myślałem o tytoniu.

— To weź se stąd. — Del wetknął swój woreczek w roztrzęsione ręce Mc Phersona. — Zwlóklbyś lepiej kurtkę, żeby oszczędzić. Już! Pomogę ci. A mówiąc na ucho, Tommy, jeśli nie zachowasz się jak mężczyzna, nic ci nie pomogę przy żyłce. Żebyś wiedział!

Corliss zdjął wierzchnią flanelową koszulę, żeby mieć swobodniejsze ruchy. Jak tylko podeszła Frona, nie uległo wątpliwości, że ona wybiera się również. Żakietu nie było. Spódniczka z ciemnego sukna kończyła się tuż za kolanami.

— To w sam raz — wyraził swe uznanie Del.

Jakub Welse spojrzał niespokojnie na córkę. Podszedł do niej. Próbowła właśnie, które wiośło najlepiej pasuje do ręki.

— Ty chyba nie?... — zaczął. Skinęła głową.

— Pani dobra dziewczyna — wtrącił Mc Pherson. — Ależ ja mam żonę w domu, nie mówiąc już o trzech dzieciakach.

— Gotowe! — Corliss podniósł dziób łodzi i obejrzał się.

Woda gwałtownym nurtem pędziła za odpływającym polem kry. Courbertin podtrzymywał rufę na stromym brzegu, Del popychał ociągającego się Mc Phersona. Płaska kra, zanurzająca się w wodę przy każdym nieuważnym kroku, służyła za przystań.

— Na dziób, Tommy!

Szkot coś odburknął, ale poczuł ciężki oddech Dela tuż za uchem — i usłuchał; Frona zrównoważyła jego ciężar, wśliznąwszy się na rufę.

— Umiem sterować — zapewniła Corlissa, który teraz dopiero pojął, że Frona jedzie.

Rzucił okiem na Jakuba Welse'a, jakby pytając o pozwolenie. Otrzymał je.

— Od razu w górę! Od razu sterować pod prąd — radził niecierpliwie Del. — Pani, słoneczko jasne!

ROZDZIAŁ XXIII

„La Bijou” była doskonałym wyrazem piękna i delikatności duszy budowniczego łodzi. Lekka jak skorupka jaja i równie krucha, jej półcalowa skórka nie broniła przed uderzeniem takiej nawet bryłki lodu, jak ludzka głowa. Chociaż większa kra już spłynęła, nie można było znaleźć czystej drogi, rzeka bowiem pełna była rozproszonych odłamków, które zwały się z brzegów. Wtedy to natychmiast nabrał Corliss zaufania do Frony, jako do sternika, widząc jak umiejętnie lawiruje między płynącymi bryłami.

Widok był wspaniały; rzeka pędziła czarnym nurtem w ramie brzegów z kryształu, górą zielona puszcza pięła się w błękitne niebo letnie, spienione bielą obłoków; a ponad wszystkim, niby pożłota, gorący blask słońca. Widok był wspaniały, a jednak myśl Corlissa odbiegła czemuś do nieodzownych herbatek matki, wytwornych dywanów, tresowanej służby angielskiej i kanarków śpiewających pośród strojnych okien. Czy matka potrafiłaby zrozumieć? I kiedy pomyślał o kobiecie siedzącej tuż za nim i czuł każdy ruch jej wiosła w górę — w dół, w górę — w dół raz — dwa — raz — dwa — ujrzał w pamięci długi szereg kobiet z salonu matki: blade, mgliste zjawy karykatury rasy, zaludniające ziemię teraz i po wszystkie wieki.

„La Bijou” wyminęła bryłę, śmignęła w wąziutki kanał pośród kry i wypadła na czystą wodę w chwili, gdy poza nią zamknęły się dwie ściany lodowe. Tommy jęknął.

— Pysznie zrobione! — zachęcał Corliss.

— Zwariowana kobieta! — sarknął znów Tommy. — Czemuż nie mogła poczekać chwileczkę.

Frona dosłyszała i odpowiedziała zuchwałym śmiechem. Vance zaryzykował krótkie spojrzenie przez ramię. Uśmiech jej był czarujący. Czapeczka zsunęła się na tył głowy, a rozwiane włosy, lśniące w słońcu, ujmowały twarz w ramę jasnego złota, jak niegdyś w Dyea.

— Zaśpiewałabym sobie chętnie, tylko że trzeba oszczędzać każdy oddech! Na przykład „Pieśń miecza” albo „Psalm kotwicy”.

— Albo „pierwszy psalm” — odrzekł Corliss. — „Moją była kobieta, w ciemności znalazł ją”... — zanucił znacząco.

Frona błyskawicznym ruchem zanurzyła wiosło z przeciwnej strony, żeby umknąć przed nasuwającą się tęgą bryłą. Zdawała się nie słyszeć słów mężczyzny.

— Mogłabym tak jechać bez końca.

— Ja również — potwierdził gorąco Corliss. Nie raczyła tego zauważyć. Po chwili wyrzekła:

— Vance, cieszę się, że jesteśmy przyjaciółmi, wie pan o tym?

— Nie z mojej winy jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— Pan gubi rytm, szanowny panie — zganiała; Corliss w milczeniu pochylił się nad wiosłami.

„La Bijou” kierowana była pod kątem czterdziestu pięciu stopni do prądu, w rezultacie czego szła pod kątem prostym do łożyska rzeki. W ten sposób uderzyć miała o drugi brzeg akurat naprzeciwko miejsca startu. Stamtąd można już będzie przeć pod prąd, który przy brzegu jest znacznie słabszy. Ale od człowieka, czekającego pomocy, dzielić jeszcze będzie jadących dobra mila szarpanego brzegu i ze sto jardów skał, wyrastających prostopadle z wartkiej wody.

— No, teraz zwolnić trochę — poradził Corliss, kiedy wśliznęli się w zatoczkę i przeciw prąd uniósł ich lekko wzdłuż ściany nadbrzeżnego lodu.

— Kto by to pomyślał, że jest połowa maja? — Frona objęła spojrzeniem ciężko nawisłe bryły lodu. — Czy panu wydaje się to wiarogodne, Vance?

Potrząsnął głową.

— Mnie również nie — mówiła dziewczyna. — Wiem, że ja, Frona, siedzę tu we własnej osobie w tej oto skorupie i wiosłuję z dwoma mężczyznami, ile tylko mam sił. Rok pański 1892, Alaska, Yukon; woda, a tu lód; ramiona mam zmęczone, serce wali, pot kapie z czoła — a przecież to wszystko wydaje się snem. Pomyśleć tylko! Rok temu byłam w Paryżu! — Wciągnęła głęboko oddech i spojrzała poprzez rzekę na brzeg, od którego odbili. Widniał tam namiot Jakuba Welse'a, jak biała chusteczka rozwieszona pośród głębokiej zieleni lasów. — Nie wierzę, że istnieje takie miejsce na ziemi, że istnieje... Paryż! Nie, Paryża nie ma.

— A ja siedziałem w Londynie rok temu — rozmyślał głośno Corliss. — Ale od tego czasu przeszedłem do następnego wcielenia. Londyn? Nie istnieje żaden Londyn. To nie podobna. Jakim sposobem może być tylu ludzi na świecie? Świat jest tutaj i wiemy dobrze, że mieszka na nim bardzo mało ludzi, inaczej nie mogłoby być tyle wody, ziemi i

lodu. Tommy, pewien jestem, marzy w tej chwili czule o pewnym zakątku, zwanym Toronto. Myli się. Toronto istnieje tylko w jego mózgu, jako wspomnienie z poprzedniego życia. Tommy tak nie myśli, rzecz prosta. Tommy nie filozofuje i nie...

— Szoruj no! — ryknął wściekle Tommy. — Przez to gadanie jeszcze nam bochen na łeb zleci.

Życie Północy jest krótkie i pośpieszne. Spełnienie depce po piętach przepowiedni. Jakieś drzenie ostrzegawcze westchnęło w powietrzu — zakołysała się tęczowa ściana. Trzy wiosła zagarnęły wodę jednym ruchem. „La Bijou” wychynęła spoza ściany. Szczeliny rozwierały się za szczelinami i tysiąc zamarzłych ton runęło w wodę w ślad za łodzią. Woda chlusnęła w górę i w bok szalonym, zwichrzonym kołem, łódka zaś walcząc z całych sił, żeby wyrwać się z leja, wpadła dziobem pod sztywno nawisłą falę i wychynęła na równą toń, na pół pełna wody.

— A co, nie mówiłem! Wariaty! Gaduły!

— Cicho siedź i wyczerpuj wodę! — odbił ostro Corliss. — Bo nie będziesz miał przyjemności nawymyślać nam potem.

Kiwnął ku Fronie i ona skinęła w odpowiedzi. Potem roześmiali się oboje cichutko, jak dzieci podczas niezwykłej eskapady, która wygląda groźnie, a udaje się jakoś nieźle.

Kryjąc się lękliwie pod cieniem nawisłego lodowca, „La Bijou” śmigła bezszmerem w górę ostatniej zatoczki przed meta. Występ brzegu wyrastał groźnie z toni — potworna bryła nagiej skały, poszarpana przez stulecia, nienawidząca rzeki, co ją kąsa od wieków, nienawidząca deszczu, co ryje jej ponure oblicze niewidzialnymi zmarszczkami, słońca, co odmawia pieśczoły, odmawia młodej żyjącej zieleni, która skryłaby kamienną nagość. Rzeka całą mocą ciskała się o skalną ścianę, toczyła z nią nieustanną walkę i odrzucała potem nurt na środek łożyska. Przez całą długość ściany biły o nią twarde fale, tworząc w każdej rozpadlinie mnogie a niewidzialne wiry.

— Już! Wprost! Na całego!

Był to ostatni rozkaz, jaki cisnąć zdołał Corliss. W łoskocie fal, w jaki wpadli teraz, głos ludzki był niby ćwierkanie świerszcza podczas trzęsienia ziemi. „La Bijou” jednym susem przeskoczyła zatoczkę i szusnęła w lodową gęstwę. Raz-dwa, raz-dwa, rytmicznie pracowały wiosła. Woda szalała, rwąc we wszystkie strony naraz, bijąc o łódź, dygocąc, kołując. Czólno miotało się niespokojnie, ale Frona przytrzymywała je ręką ze stali. W odległości jarda wyszczerzyła się ku jadącym rozpadlina skalna. „La Bijou” skoczyła naprzód, ale woda rzuciła się pod nią wstecz. Łódź nie mogła się posunąć. Ciskało ją to w

rozpadlinę, to precz; pół jarda naprzód, tyleż w tył. Rozpadlina szydziła z wysiłku człowieka.

Pięć minut — jak pięć oddzielnych wieczności — i szczelina została minięta. Dziesięć minut — i już dzieliło ich od niej ze sto stóp. Raz-dwa, raz-dwa, aż zmieszały się w oczach niebo, ziemia i woda. Cała świadomość zestrzeliła się na jednej cienkiej linii — na smudze piany, ujętej z jednej strony przez groźne skały, z drugiej przez grzmiące wody. Owa wąziutka linia zawarła w sobie wszystko. Gdzieś poniżej istniał początek rzeczy; gdzieś powyżej, poza grzmotem fal — istniał rzeczy koniec; o ten to koniec toczyli walkę.

I wciąż stalową dłonią prowadziła Frona skorupkę jaja. Co zdobyto, to trzymano i walczone o więcej, cal po calu, raz-dwa, raz-dwa. Wszystko byłoby dobrze, gdyby nie słabość duszy Mc Phersona. Bryła lodu wessana przez prąd pod łódź, urosła mu nagle pod wiosłem twarda, otoczona pianą, przewaliła się poprzez grzbiet wiosła i znikła w otchłani. Wtedy nagle Tommy zobaczył samego siebie: włosy na fali, ręce chwytające pustkę, nogi wyprostowane ciągnące w dół, na dno. Patrzył i patrzył szeroko rozwartymi oczyma, i ręka zatruta wizją odmówiła posłuszeństwa, wiosło zwisło bezsilnie. Natychmiast dawna rozpadlina wyszczerzyła im się prosto w twarz, a po paru sekundach odniosło ich aż poza ścianę skalną i wessało łagodnie w zatoczkę.

Frona leżała, odrzuciwszy w tył głowę i cichutko łkała pośród gorących promieni słońca. Na dnie łódki rozciągnął się- zdyszany Corliss. Na dziobie, półżywy, bezwładny, łykający powietrze siedział Szkot. Głowę położył na kolanach. „La Bijou” otarła się cicho o lód przybrzeżny i stanęła. Tęczowa ściana wznosiła się nad nimi, niby jasny stos; słońce, odbite w niezliczonych soczewkach, stroiło ją w przepych klejnotów. Srebrne strużki spływały z kryształowych stoków i w tej przejasnej otchłani zdawały się roztopiać — zasłona po zasłonie — wszelkie tajemnice życia, śmierci i walki śmiertelnej. Jakaś oddal bladolśniącego lazuru, roztulająca się niby senne widzenie, obiecywała tam, w owym wielkim chłodnym sercu, wieczny odpoczynek, wieczne ukojenie, nieskończoną, niezmaconą ciszę.

Najwyższa wieżyczka lodowa, delikatnie rzeźbiona, o dwadzieścia stóp ponad wodą wzniesiona, chwiała się tu i tam, łagodnie, niby pszenica w przejrzystym powietrzu lata. Corliss spoglądał na nią niezmaconymi oczyma. Pragnął leżeć tak bez końca, na skraju jakiejś tajemnicy, leżeć i pić wonne powietrze głębokimi łykami. Nie pragnął nic ponadto. Derwisz, wirujący na pięcie aż do zupełnego oszołomienia, potrafi przeniknąć treść wszechrzeczy i wiedzieć, że Bóg jest jeden — tak też i człowiek, zapamiętawszy się u

wioseł, zdoła wdrzeć się poza zakreślone sobie granice i wznieść się ponad czas i przestrzeń. Tak czuł Corliss.

Stopniowo jednak krew zwolniła swoje szalone tętno, powietrze przestało być wonnym nektarem. Konkretność rzeczy osaczyła go na nowo.

— Musimy stąd wybrnąć — powiedział. Głos jego brzmiał ochryple, jak u pijanego, aż Corliss sam się przeraził. Wstał jednak ociężale, podniósł drżące wiosło i odbił łódź od brzegu.

— Tak, trzeba ruszyć, za wszelką cenę — odrzekła Frona głosem, który zdawał się brzmieć z odległości.

Tommy podniósł głowę i obejrzał się dookoła.

— Rzucić do licha ten interes!

— Do wiosła! — powtórzył Corliss. — Co? Jeszcze raz?

— Aż wam serce pęknie, Tommy — dodała Frona. Raz jeszcze przecę poczęli wzdłuż wąskiej linii i raz jeszcze zniknął świat i została tylko smużka piany, grzmiąca fala i wyszczerzona rozpadlina. Parli jednak cał po calu i spokojne zalewisko pozdrowiało ich już z daleka, a tylko pełna nienawiści ściana skalna, której równą nienawiścią odpowiadały fale — dzieliła ich od celu. Lecz wtedy „La Bijou” skoczyła wstecz po wartkim nurcie — i znowu stali na miejscu. Raz-dwa, raz-dwa, przez całą nieskończoność czasu, napięcia i pracy, aż nawet linia piany znikła z oczu i walka straciła swoją treść. Dusze roztopiły się w rytmie wysiłku. Chyląc się i wznosząc, chyląc i wznosząc, ludzie przemienili się niby w wielkie wahadła, czas liczące. Przed nimi i za nimi lśniły wieczności, zaś pośród wieczności, chyląc się i wznosząc, chyląc i wznosząc, pulsował szeroka, rytmiczny ruch człowieczy. Wreszcie ludzie przestali być ludźmi, stali się samym ucieleśnionym rytmem. Prześliznęli się koło cierpkiej ściany skalnej, aż wiosła zgrzytnęły o kamień. Nie usłyszeli tego. Fortuna przeniosła ich nietkniętych między bryłami lodu. Nie dostrzegli tego. Nie czuli też uderzeń krajanych wiosłem fal, ani zimnych bryzgów piany, roszących twarz.

„La Bijou” spłynęła w nurt. Wiosła, pobłyskujące raz po raz w słońcu, skierowały ją pod powrotnym kątem do dawnego brzegu.

Kiedy wreszcie wszyscy troje odzyskali nieco przytomności i Wyspa Rozdzielna, niby kształt nowego życia, przykuła oczy — wrócili do dawnych, długich, łatwych pociągnięć wiosłem, które pozwalają oddychać normalnie i zwolna nabierać sił.

— Trzecia próba byłaby już niemożliwa — powiedział Corliss suchym, ochryłym szeptem.

Frona odpowiedziała:

— Tak, serca pękłyby nam na pewno.

Życie, błogie ognisko obozowe, spokojny odpoczynek w południowym cieniu wróciły znowu do świadomości Tommy Mc Phersona. Wróciło nawet błogostawione Torento, jego domy nieruchome, jego tłoczne ulice. Za każdym chwytem wiosła ulice te rozszerzały się, jak gdy by Tommy patrzył przez teleskop i dopasowywał sobie do oczu szkła zbliżające. Za każdym chwytem wiosła zbliżała się wyspa. Głowa Tommy pochylała się — ulice Torento wracały do życia. Głowa Tommy wznosiła się — i oto już Jakub Welse i dwaj jego towarzysze stali na brzegu o trzy długości łodzi.

— A co! Nie mówiłem? — huknął ku nim Tommy triumfalnie.

Ale Frona skierowała nagle łódź równolegle do brzegu i oto Tommy miał przed oczyma już tylko smugę wody. Płynęli pod prąd, w górę rzeki. Tommy opuścił jedno uderzenie, potem nagle wiosło jego uderzyło o dno.

— Podnieś wiosło! — Głos Corlissa zabrzmiał ostro i nieodwołalnie.

— Ani mi się śni. — Tommy odwrócił zbuntowaną twarz ku swemu prześladowcy i zgrzytnął zębami z wściekłości i rozpacz.

Prąd znosił czółno, Frona z trudnością trzymała je w miejscu. Corliss na kolanach podpełznął do Mc Phersona.

— Nie chcę ci dokuczać, Tommy — powiedział cichym, łagodnym głosem — więc... po prostu podnieś wiosło, bądź dobrym chłopcem.

— Nie! — W takim razie zabiję cię — ciągnął Corliss tym samym cichym beznamiętnym głosem, wysuwając powoli nóż myśliwski z pochwy.

— A ja wiosła nie podniosę — rzucił zuchwale Szkot, odsuwając się jednak przezornie.

Corliss delikatnie nacisnął nóż. Stalowe ostrze dotknęło pleców Mc Phersona, akurat naprzeciwko serca, przeszło zwolna koszulę i ukąsiło skórę. Nie zatrzymało się bynajmniej i nie przyśpieszyło, lecz równie powoli sunęło w głąb.

— Dostyc! Dostyc! Zostaw! — wrzasnął. — Jadę! Frona zbladła bardzo, ale oczy jej były twarde, twarde jak diamenty. Skinęła głową z uznaniem.

— Spróbujemy tym brzegiem, a potem od góry — krzyknęła do ojca. — Co? Nie słyszę. Tommy? O, tchórzy sobie troszkę. Nic poważnego.— Pozdrowiła wiosłem brzeg. — Wrócimy bardzo prędko, ojczulku, bardzo prędko!

Rzeka Stuart była już zupełnie oczyszczona z kry, podciągnęli się więc jej łożyskiem dobre ćwierć mili, zanim zdołali przeciąć ujście i dalej przeć w górę Yukonu. Ale kiedy byli już prawie naprzeciwko czekającego na drugim brzegu człowieka, stanęła im na drodze

nowa przeszkoda. O milę, w górze poszarpana wysepka przylgnęła rozpaczliwie do łożyska rzeki. Ogon ruiny wparł się w mieliznę, która przecinała rzekę aż prawie ku nieprzebytym wirom przeciwnego brzegu. Dalej dobre kilkaset tysięcy ton lodu wylądowało na owej mieliznie i wznosiło się niby połyskliwy, poszarpany mur.

— Trzeba będzie przenieść łódź — powiedział Corliss, kiedy Frona wysterowała ku środkowi rzeki.

„La Bijou” ruszyła przez węższe koryto ku mieliznie i szła małym wąwozem lodowym, gdzie ściany mniej były strome. Przybili ku wystającej krze, która, niepodtrzymywana zwiślała nad wodą na wysokości dobrych trzydziestu stóp. W jakiej odległości drugi jej kraniec wrastał w masę lodową — nie było widać. Wdrapali się na szczyt, ciągnąc za sobą czółno i spojrzeli w dół. Bryły lodu leżały powalone w potwornym, tytanicznym chaosie. Zwały gromadziły się jeden za drugim, niby piedestały pod nowe bryły zamarzałej bieli, połyskując w słońcu jak olbrzymie klejnoty.

— Dobrze miejsce na spacer — burknął Tommy — górny zator przerwie się lada chwila. Usiadł. — Ślicznie dziękuję. Nie mam zamiaru walić na jego spotkanie!

Frona i Corliss pięli się pod górę, niosąc łódź.

— Persowie pędzili swoich niewolników batami podczas bitwy — zauważyła dziewczyna, obejrawszy się na siedzącego. — Nie rozumiałam tego dotychczas. Czy to nie lepiej iść samemu?

Corliss kopnął buntownika, ten zaskamlał, ale musiał ruszyć naprzód. Łódź nie była ciężka, ale bardzo niewygodna do niesienia pod górę i po śliskim stoku, stromych schodach lodowych i ostrych zakrętach. Siły niosących słabły. Słońce przygrzewało nieznośnie. Biały blask raził oczy, pot zlewał skórę, płuca z trudnością chwytały oddech.

— O, Vance, czy pan wie...

— Co takiego? — Corliss startł pot z czoła i otrząsnął z ręki duże krople.

— Żałuję, że nie zjadłam więcej na śniadanie.

Odburknął coś życzliwie. Dotarli do środkowego wzgórza i zobaczyli całe koryto rzeki, już zupełnie czyste, poza nim leżącego człowieka i rozpaczliwe sygnały. W dole, idylliczna w swym cichym zazielenieniu leżała Wyspa Rozdzielna. Spojrzeli w górę rzeki, ku olbrzyiemu łukowi Yukonu, uśmiechniętemu szeroko i leniwie, jak gdyby niezdolny był pchnąć ku nim w każdej chwili straszliwy ładunek śmierci. U stóp patrzących lód wpadał w niewielką gardziel, poprzez którą słońce kładło szeroki cień.

— Dalej, Tommy, ruszajcie się — zachęcała Frona. — Jesteśmy na połowie drogi, a przecież pod nami woda.

— Dopiero teraz pani pomyślała o tej wodzie! — sarknął Tommy. — Nie wstyd to pani tak człowieka na śmierć ciągnąć?

— Obawiam się, Tommy, że macie jakiś wielki grzech na sumieniu — powiedziała Frona, kiwając głową ze zgorszeniem — skoro się tak bardzo boicie śmierci. — Westchnęła i podniosła swój koniec łodzi. — No tak, to zupełnie proste. Nie wiecie, jak należy umierać.

— Wcale nie chcę umrzeć! — przerwał z wściekłością.

— Ale dla wszystkich nadchodzi chwila, kiedy trzeba umrzeć, kiedy nie można uczynić już nic innego, tylko umrzeć. Może dziś jest właśnie taka chwila.

Tommy zsunął się ostrożnie ze śliskiego stoku, wysokości człowieka, na szeroki gzyms lodowy.

— Wszystko to bardzo pięknie — warknął ku górze — ale czy pani nie uważa, że mógłbym sam sobą rozporządzać? Wystarczy mi rozumu, żeby postępować według własnej woli!

— Bynajmniej. Ludzie silni zawsze rządzą takimi jak wy. Uczyli nawet, jak umierać, wiedli na śmierć i nawet gnali batami.

— Pyszenie to oboje robicie — odparł. — Ale muszę stwierdzić, że to niepiękne zajęcie.

— Dobrze mu pani powiedziała — zaśmiał się Corliss, kiedy Tommy zniknął z oczu, wyladowując na brzegu gardzieli skalnej..

— Kłótlive bydłę! Jeszcze się będzie spierać przed Sądem Ostatecznym.

— Gdzie nauczył się pan wiosłować? — zagadnęła Frona.

— Takie sobie ćwiczenia szkolne — odparł krótko. — No, czyż tu nie pięknie? Proszę spojrzeć!

Lód topniejący rozlał się w niewielki stawek na dnie gardzieli. Frona rozciągnęła się na ziemi jak długa i zanurzyła gorące wargi w jego świeżość. Kiedy tak leżała, podeszwy jej starganych mokasynów, a raczej podeszwy jej stóp (bo mokasyny i pończochy poszły w strzępy) wzniesione były nieco ku górze. Były bardzo białe i bardzo pocięte o lód. Gdziekolwiek skóra zdarta została porządnie, a jeden z palców krwawił uporczywie.

— Takie małe, takie ładne i niby delikatne — zachichotał obleśnie Tommy. — Nigdy bym nie uwierzył, że silnego mężczyznę mogą zaprowadzić aż do środka piekła.

— Sądząc z twego wyrzekania, prowadzą cię jednak dość prędko — odpowiedział Corliss ze złością.

— Czterdzieści mil na godzinę — odpalił Tommy i odszedł rad, że ma ostatnie słowo.

— Chwileczkę. Masz dwie koszule. Pożycz mi jedną. Twarz Szkota wyraziła zdumienie. Po chwili zrozumiał. Potrząsnął głową przecząco i odszedł.

Frona wstała z wysiłkiem. — O co chodzi? — zagadnęła.

— O nic. Proszę usiąść.

— Ależ o co chodzi?

Corliss przycisnęła rękoma jej ramiona, żeby usiadła. — Pani nogi. Nie można iść w ten sposób. Całe pocięte. O! — dotknął jednej podeszwy i pokazał zakrwawioną dłoń.

— Czemu pani nie powiedziała?

— Nie dokuczały... zbytnio.

— Proszę mi dać jedną spódniczkę — poprosił.

— Ja... — zawahała się — ja mam tylko jedną na sobie.

Obejrzał się bezradnie. Tommy zniknął pośród lodów.

— Trzeba iść — powiedziała Frona wstając. Corliss posadził ją znowu. — Ani kroku, zanim nie opatrzę nóg. No, niech pani zamknie oczy.

Zamknęła posłusznie, a kiedy je otworzyła, Corliss był nagi do pasa i porwaną w pasy koszulą bandażował jej stopy.

— Pani szła z tyłu, nic nie widziałem...

— Niechże się pan nie tłumaczy, proszę — przerwała. — Mogłam była powiedzieć sama.

— Wcale się nie tłumaczę. Ganię panią. No, druga. Wyżej!

Bliskość Frony doprowadzała go do szału. Leciutko dotknął wargami ten sam maleńki biały paluszek, który wygrał był pocałunek dla barona Courbertina.

Frona nie odsunęła się, ale spłonęła gwałtownie i zadrżała tak, jak raz już drżała była w życiu. — Pan wyzyskuje własną dobroć — powiedziała z wyrzutem.

— W takim razie mam prawo wyzyskiwać do woli.

— Nie, proszę nie.

— Czemu nie? Marynarze mają zwyczaj wypijania wszystkich butelek, kiedy okręt już tonie. Ponieważ zaś tu również zachodzi wypadek utraconej nadziei, więc czemużby nie, proszę pani?

— Ależ...

— Cóż za „ależ”, panno Skromnisiu?

— O! Na ten epitet nie zasłużyłam wcale, jak panu wiadomo. Gdyby... gdyby nie należało liczyć się jeszcze z kimś trzecim, cóż, wobec takich okoliczności...

Zawiązał mocno ostatni węzełek i postawił jej nogę na lodzie.

— W każdym razie, niech licho porwie St. Vincen-ta. Chodźmy!

— Powiedziałabym to samo, gdybym była na pana miejscu — roześmiała się, podnosząc swój koniec łódki. — Ależ jak pan się zmienił, Vance. Zupełnie inny człowiek niż na drodze z Dyea. Nawet może umie pan już kłąć, kto wie?

— Tak, jestem inny, za co dziękuję Bogu i pani. Myślę tylko, że jestem od pani uczciwszy: zawsze najpierw żyję, potem filozofuję na ten temat.

— To właśnie źle. Zbyt wiele wymaga pan w danych okolicznościach...

— Tylko mały paluszek.

— A, w takim razie dba pan o mnie iście po bratersku. Wobec tego, o ile tylko pan sobie życzy, może pan...

— Dosyć — przerwał ostro — proszę nie robić ze mnie ostatecznego durnia.

— ...pocałować wszystkie moje palce — zakończyła.

Mruknął, ale nie raczył odpowiedzieć. Praca natychmiast pochłonęła ich oddechy. Szli w milczeniu, aż doszli do ostatniego stopnia lodowych schodów. Czekał tam Mc Pherson nad samą wodą.

— Del nienawidzi St. Vincenta — zagadnęła wyzywająco. — Dlaczego?

— Tak, coś w tym rodzaju. — Obejrzał się ku niej ciekawie. — I wie pani? Del, gdzie tylko się ruszy, wlecze ze sobą jakąś starą książkę rosyjską, której nie umie przeczytać, ale którą pomimo to uważa za jakąś Nemezis St. Vincenta. I tak niezłomnie w to wierzy, Frono, że nawet ja zaczynam się na to łapać po trosze. Nie wiem, czy pani sama do mnie przyjdzie, czy ja do pani raz jeszcze, ale...

Frona puściła nagle swój koniec łódki i wybuchnęła śmiechem. Rumieniec żywej przykrości ukazał się na twarzy Corlissa.

— Gdybym był wiedział... — zaczął.

— Bajki! — śmiała się Frona. — Niech pan nie będzie dziecinny! A przede wszystkim niech pan nie będzie taki godny a uroczysty. To wcale do pana niepodobne: włosy w kołtun, nóż za pasem, pierś naga! Istny pirat, gotowy do walki. Wolno panu być złym, marszczyć się, kłąć, tylko na litość boską, nie robić godnej miny. Chciałabym mieć teraz swój aparat! Kiedyś, po latach, mogłabym mówić: „Przyjaciele, oto jest Corliss, znakomity podróżnik podbiegunowy, w chwili kończenia swej wielkiej wyprawy „poprzez ciemność Alaski”.

Corliss wskazał Fronę nielitościwym palcem i odrzekł poważnie: — Gdzie jest pani spódnica?

Dziewczyna mimo woli spojrzała w dół; stwierdzenie obecności jakichś takich strzępów ulżyło jej nieco, ale pomimo to oblała się rumieńcem.

— Wstydziliby się pan!

— Proszę, proszę bardzo bez tej godnej miny — roześmiał się. — Istotnie, to wcale do pani niepodobne. Gdybym teraz miał swój aparat...

— No, cicho... Idziemy — odrzekła. — Tommy czeka. Mam nadzieję, że za to słońce zdejmie panu z pleców caluteńką skórę — dodała mściwie, kiedy spuszczała łódź na wodę.

W dziesięć minut później pięli się po lodowej ścianie nadbrzeżnej, a potem wzdłuż poszarpanego brzegu, aż do miejsca, skąd wciąż jeszcze powiewał sygnał klęski. Koło niego rozciągnięty na ziemi leżał człowiek. Leżał nieruchomo, aż złękli się, że przybyli za późno. Po chwili jednak poruszył z lekka głowę i jęknął cicho. Odzież miał w strzępach, czarna poraniona noga sterczała z poszarpanych mokasynów. Ciało miał wychudzone, bez mięśni, kości zdawały się przebijać skórę. Kiedy Corliss wziął go za puls, chory otworzył oczy i popatrzał błędnym, szklanym wzrokiem. Frona zadrżała.

— Ależ to okropne — wyszeptał Mc Pherson, dotykając kościstego ramienia.

— Niech pani wraca do łodzi — poradził Corliss Fronie. — Tommy i ja zniemiemy go na dół.

Ale usta dziewczyny zacięły się uparcie. Chociaż przy jej pomocy zejście zostało znacznie ułatwione, chory jednak strząśł się porządnie, dopóki nie złożono go na dnie łodzi, strząśł się tak bardzo, że odzyskał iskrę przytomności. Otworzył oczy i szeptał ochryple: „Jakub Welse... depesze... ze Stanów”... Dotknął słabymi palcami otwartej koszuli; na wychudzonej piersi widać było ciemny rzemień, do którego zapewne przywiązany był woreczek z depeszami.

Na dziobie i na rufie dość było miejsca, ale siedzący pośrodku Corliss musiał wiosłować, mając między kolanami leżącego człowieka. „La Bijou” wesoło odbiła od brzegu. Płynęli z prądem — nareszcie — robota była łatwa.

Jaskrawo zaczerwienione ramiona i plecy Corlissa zwróciły uwagę Frony. — Moje życzenia spełniły się — powiedziała z satysfakcją, delikatnie dotykając opalonego ramienia. — Będziemy musieli smarować pana goldkremem, jak wrócimy.

— Jeszcze, jeszcze — zachęcał. — To piekielnie przyjemnie.

Plusnęła mu na rozgrzane plecy lodowatą wodą. Schwycił oddech i zadygotał. Tommy odwrócił się ku nim.

— Dobry uczynek spełniliśmy dzisiaj — zauważył z zadowoleniem. — Podać rękę bliźniemu w opresji, to rzecz chwalebna w oczach Boga.

— A kto tchórzył — zaśmiała się Frona.

— Hm — rozmyślał — trochę się pogniewał, bez wątpienia, ale... — Urwał i skamieniał. Oczy w osłupiałym przerażeniu wpijały się w coś istniejącego poza plecami Frony. Powoli, niby we śnie, uroczyście, jak przystoi na wezwanie świętego imienia bożego, wybełkotał: — O Boże Wszechmogący!

Corliss i Frona obejrzeli się jednocześnie. Ściana lodowa wynurzała się spoza zakrętu. W chwili gdy patrzyli, prawy jej kraniec, nie mogąc zawrócić, uderzył o drugi brzeg i zostawił na nim łańcuch ogromnych brył.

— O Boże! O Boże! Jak myszy w pułapce! — Tommy bezsilnie pluskał wiosłem po wodzie.

— Zagarniać! — huknął mu Corliss nad uchem i „La Bijou” śmignęła natychmiast.

Frona sterowała poprzez nurt pod możliwie prostym kątem, wprost na Wyspą Rozdzielną; lecz kiedy mielizna, przez którą przenosili łódź, znikła nagle, zmieciona uderzeniem miliona ton, Corliss spojrział niespokojnie na dziewczynę. Uśmiechnęła się i kiwnęła głową, w tejże chwili zmieniając kurs.

— Tak, nie damy rady — wyszeptała, oglądając się na górę lodu, prącą w odległości kilkuset stóp. — Jedyna szansa — uciekać przed lodem wprost i oddalić się stopniowo.

Frona walczyła zazdrośnie o każdy cal ku brzegowi trzymając łódkę najukośniej, jak tylko śmiała, a jednocześnie utrzymując stałą odległość od płynącej za nimi góry.

— Nie mogę tak prędko — wykrztusił w jakiejś chwili Tommy, ale milczenie Corlissa i Frony było tak groźne, że nie ośmielił się puścić wiosła.

Na samym przodzie lodowej góry płynęła kra, grubości pięciu-sześciu stóp i rozległa na dobre parę akrów. Wyprzedzając ciężki zwał, rozcinała taflę wodną głęboką bruzdą i tworząc z obu stron jakby dwa szumne, burzliwe potoki, pełne wirów, jak bywa przy nagłym szybkim wylewie w wąskiej cieśninie. Tommy dostrzegł to i byłby do cna stracił przytomność, gdyby Corliss nie dźgał go wiosłem, pomiędzy jednym pociągnięciem a drugim.

— Odległość utrzymujemy — mówiła zdyszana Frona. — Ale trzeba jeszcze oszczędzić czas na wylądowanie!

— Jak tylko będzie dobre miejsce na brzegu, sterować wprost do lądu, zdążymy — poradził Corliss. — Ale jak tylko przybijemy, proszę skakać i uciekać!

- Wdrapywać się chyba. Dobrze, że spódnica krótka.

Odepchnięty przez skały lewego brzegu, łód parł ku prawemu. Ogromna kra na przodzie zmierzała prosto na to miejsce Rozdzielnej, skąd wyruszyli.

— Będziesz się oglądał, łeb rozwalę wiosłem — zagroził Corliss.

— Nie będę — jęknął Tommy.

Corliss jednak oglądał się, Frona również. Olbrzymia góra uderzyła o brzeg, wstrząsając łodem, jak przy trzęsieniu ziemi. Miękka wyspa zgnieciona została na rozciągłości dobrych pięćdziesięciu stóp. Kilkanaście sosen zakołysało się i runęło, a na tym miejscu wyrosła góra lodu, zapadła się i wyrosła raz jeszcze. Niedaleko, c kilkanaście stóp zaledwie od jadących, miotał się po brzegu Del Bishop. Poprzez ryk fal dosłyszeć zdołali jego stłumiony wrzask.

— Przybijać! Przybijać! — Nagle skorupa przybrzeżna pękła i Del odskoczył wstecz.

— W pierwszą szczelinę — wykrztusił Corliss.

Frona otworzyła usta, ale nie mogła mówić; kiwnęła tylko głową na znak, że słyszała. Szerokimi posunięciami śmignęli pod tęczową ścianę, szukając smugi otwartej wody. Ale wzdłuż całej Rozdzielnej pędzili na próżno. W ślad za pędem ich łodzi trzaskał druzgotany brzeg.

W chwili gdy przecinali ujście cieśniny, otaczającej wyspę Roubeau, znaleźli się akurat na wprost dużej szczeliny w lodzie przybrzeżnym. „La Bijou” skoczyła w nią całym pędem i połową swej długości wśliznęła się aż na ląd. Troje ludzi wyskoczyło jednocześnie, ale podczas gdy dwoje chwyciło łódź, żeby wciągnąć ją głębiej, Tommy pomyślał tylko o własnym ratunku. Byłoby mu się udało, gdyby nie to, że pośliznął się na stromym stoku i upadł. Wstając, pośliznął się raz jeszcze i rozciągnął znowu. Corliss, ciągnąc łódź za dziób, potknął się o leżącego. Tommy, wyciągnął ręce, uczeplił się rufy i próbował wstać. Corliss i Frona pracowali już resztkami siły dodatkowy balast natychmiast unieruchomił łódkę. Corliss obejrzał się i wrzasnął „puść!”, ale Tommy podniósł tylko ku niemu twarz zrozpaczoną, jak twarz tonącego i trzymał się uparcie. Za nimi coraz bliżej grzmiał lód. Zbliżały się pierwsze kry — nieunikniona klęska. Próbowali desperackim wysiłkiem wciągnąć łódź, ale ciężar dwu ludzi był zbyt wielki. Pośliznęli się i upadli na kolana. Chory usiadł nagle w łodzi i zarechotał dzikim śmiechem. „Krew na moim sumieniu!” — wykrzyknął i roześmiał się raz jeszcze.

Wyspa Roubeau zatrzęsała się od pierwszego uderzenia. Lód pękał pod nogami. Frona chwyciła wiosło i łupnęła Szkotą po palcach. W chwili gdy rozluźnił się chwyt, Corliss błyskawicznym ruchem podciągnął łódkę. Frona podparła od tyłu. Tęczowa ściana

zwinęła się jak pergamin i w chaotycznych zwojach tego pergaminu, niby pszczoła w fałdach wspaniałej srebrnej orchidei — zniknął Tommy.

Upadli bez tchu na ziemię. Ale potworna kra, oderwana od zatoru, zwisała nad nimi. Frona próbowała zerwać się, ale kolana ugięły się pod nią. Corlissowi pozostało odciągnąć spod groźby kry i łódź, i kobietę. Upadli wtedy raz jeszcze, tym razem już pod drzewami. Słońce śmiało się ku nim przez zielone igliwie, szczygły podśpiewywały w górze i rodzina świerszczów polnych bżykała wesoło w ciepłe słońeczka.

ROZDZIAŁ XXIV

Frona budziła się powoli, jakby z długiego snu. Leżała tam, gdzie była upadła, u nóg Corlissa, on zaś leżał na wznak, twarzą ku słońcu. Podpełzła ku niemu. Oddychał regularnie. Zamknięte oczy otworzyły się po chwili i spotkały oczy Frony. Uśmiechnął się, ona znowu zsunęła się wiotko na ziemię. Wtedy Corliss przewrócił się z wolna na bok. Popatrzyli jedno drugiemu prosto w oczy.

— Vance.

— Jestem.

Wyciągnęła ku niemu rękę. Jego palce zamknęły się na jej palcach. Dwie pary powiek drgnęły i zakryły oczy. Rzeka wciąż jeszcze grzmiała, ale jak gdyby już w nieskończonej dali. Trzask lodu dochodził do nich, niby odgłos dawno zapomnianego świata. Ogarnęła ich słodka senna ociężałość. Złote promienie spływały ku nim przez świeżą żywą zieleni i wszystko, co żyło na ciepłej ziemi, zdawało się śpiewać. Jakże błogi był spokój. Drzemali całe długie piętnaście minut. Potem zbudzili się znowu.

Frona usiadła. — Ja... bałam się... — zaczęła.

— Tylko nie pani!

— Że się będę bała — dokończyła, zbierając rozsypane po ramionach włosy.

— Proszę zostawić włosy jak są. Dzień dzisiejszy zasługuje na to.

Usłuchała, wstrząsnęła głową i aureola falistego złota otoczyła twarz.

— Tommy zginął — powiedział w zamyśleniu Corliss, już pełen wspomnień przebytej walki.

— Tak — odrzekła. — Uderzyłam go po palcach. To było straszne. Ale może ocaliliśmy lepszego człowieka, tego co leży w łodzi. Ach! Trzeba natychmiast zająć się nim! Hallo! Proszę spojrzeć! — Niedaleko, między drzewami przeświecały ściany dużej chaty.

— Nikogo nie widać! Pewnie pusta chata albo mieszkańcy wyszli. Niech pan się dowie o naszego chorego, Vance. Ja wyglądam trochę przyzwoicie]. Pójdę do tej chaty.

Obeszła dokoła budynek, bardzo duży, jak na okolice Yukonu. Front był od strony rzeki, drzwi otwarte. Dziewczyna przystanęła u tych drzwi, i nagle całe wnętrze chaty uderzyło w jej oczy zdumiewającym obrazem, zbiorowym obrazem, a może raczej całą serią obrazów. W pierwszej chwili uświadomiła sobie, że chatę zapełnia tłum mężczyzn i że cały ten tłum przejęty jest mocno jakąś wspólną, ważną sprawą. Frona zastukała, rozstąpiono się odruchowo, tworząc wąskie przejście, z obu stron gnące się pod naporem ciał. Na drugim końcu izby stały ławki we dwa rzędy. Na ławkach siedzieli poważni, zasępieni ludzie. Pomiędzy ławami, pod ścianą stał stół. Ten stół zdawał się być ośrodkiem zainteresowania. Fronie trudno było od razu przyzwyczaić oczy do półmroku izby, dostrzegła jednak brodatego Amerykanina, siedzącego za stołem i postukującego małym drewnianym młoteczką. Po drugiej stronie stołu siedział St. Vincent. Frona zdążyła natychmiast zauważyć zmęczenie i rozpacz na jego twarzy. Koło St. Vincenta, oparty o stół, stał wysoki blondyn w typie Skandynawczyka.

Człowiek z młotkiem podniósł prawą rękę i wyrzekł uroczyście: — Musicie święcie przysiąc, że to, co zeznacie przed sądem... — przerwał nagle i spojrzał groźnie na Skandynawczyka: — Czapkę zdjąć! — ryknął. Człowiek usłuchał natychmiast, a po sali przebiegł cichy śmiech.

Wtedy człowiek z młotkiem rozpoczął raz jeszcze: — Musicie święcie przysiąc, że to, co zeznacie przed sądem, jest prawdą, czystą prawdą i tylko prawdą. Tak wam dopomóż Bóg!

Szwed skinął głową i spuścił podniesioną rękę.

— Chwileczkę, panowie. — Frona szła wąskim przejściem; korytarz ludzi zamykał się tuż za nią.

St. Vincent skoczył na równe nogi i wyciągnął ramiona ku idącej. — Frono — krzyknął — ach, Frono, jestem niewinny!

Nagłość tych słów uderzyła ją jak cios. Przez chwilę, w mdłym półmroku widziała tylko kolisko białych twarzy i płonących oczu. — „Niewinny?” — pomyślała. — Cóż znowu za wina? — I patrząc na St. Vincenta, który wciąż jeszcze stał z wyciągniętymi ramionami, odczuła nieoczekiwanie jakby leciutki niesmak. „Niewinny!” Należałoby zachować się z nieco większą rezerwą. Należałoby poczekać na oskarżenie. Nie wiedziała, że oskarżenie — jedno z najcięższych — już padło.

— Przyjaciół więźnia — wyrzekł poważnie człowiek z młotkiem. — Niech tam kto poda krzesło.

— Chwileczkę. — Podeszła chwiejnie do stołu i oparła się ręką. — Nic nie rozumiem. To coś zupełnie nowego — nagle dostrzegła własne nogi, owinięte w brudne łachmany i uświadomiła sobie, że spódnica jest krótka i postrzępiona, nagie ramię wygląda z podartego rękawa, a włosy są rozpuszczone i potargane. Jeden policzek i jedna strona szyi pokryte były czymś czarnym. Otrzepała je ręką, błoto rozkruszyło się na podłodze.

— Będzie dobrze, będzie dobrze — powiedział przewodniczący, nie bez poczciwości w głosie. — Proszę siadać. My również nic nie rozumiemy. Ale proszę mi wierzyć, zebraliśmy się tutaj po to właśnie, żeby zrozumieć. Więc proszę usiąść.

Podniosła rękę. — Chwileczkę...

— Siadać! — zagrzmiął pan z młotkiem. — Sądowi nie wolno przeszkadzać.

Tłum zaczął sarkać, burzyć się, wyrażać niezadowolenie. Przewodniczący uderzył młotkiem w stół. Frona stała uparcie. Kiedy hałas ucichł, zwróciła się do jegomościa dzierżącego młotek:

— Panie przewodniczący! Przypuszczam, że to jest zgromadzenie kopaczy. — Jegomość skinął głową. — A więc, mając równy głos w sprawach dotyczących społeczeństwa kopaczy, proszę, żeby mnie wysłuchano. Muszę zakomunikować ważną wiadomość.

— Ale pani przerywa porządek dzienny, panno... hm...

— Welse! — dokończyło kilka głosów.

— Panno Welse — ciągnął przewodniczący, już z większym szacunkiem — z przykrością muszę poinformować panią, że pani zakłóca porządek zebrania. Najlepiej będzie, jeśli pani usiądzie.

— Me usiądę — odrzekła. — Proszę o głos poza porządkiem dziennym. Jeśli pan nie pozwoli, odwołam się do zgromadzenia.

Ogarnęła zebranych oczyma. Odezwały się głosy: „Ustąpić!” „Pozwolić!” Przewodniczący skinieniem głowy udzielił jej głosu.

— Panie przewodniczący, panowie! Nie wiem, jaką sprawę macie na porządku dziennym, ale wiem, że zakłócam ów porządek dla sprawy jeszcze ważniejszej. Tuż koło tej chaty leży człowiek, umierający z wycieńczenia. Przywieźliśmy go z tamtego brzegu. Nie mogliśmy dojechać do wyspy, gdzie mieszkamy. Człowiek, o którym mówię, potrzebuje natychmiastowej pomocy.

— Kilku tam koło drzwi niech pójdzie i zajmie się tym człowiekiem — zarządził przewodniczący. — A pan, doktorze Holiday, zajrzyj no do niego.

— Poproś o przerwę — szepnął St. Vincent.

Frona skinęła głową. — Panie przewodniczący, proszę o przerwę, zanim chory nie odzyska przytomności.

Okrzyki: „Nie trzeba przerwy!” „Walić dalej!” — powitały słowa Frony. Zebranie iść miało dalej.

— Gregory — szepnęła z uśmiechem i skinieniem głowy, siadając tuż obok — powiedz mi, co się stało.

Chwycił ją kurczowo za rękę.

— Nie wierz im, Frona. Oni chcą... — przełknął ślinę — oni chcą mnie zabić.

— Czemu? Uspokój się. Opowiedz mi.

— No więc, wczoraj wieczorem... — zaczął skwapliwie, ale przerwał, żeby wysłuchać przysięgi Skandynawczyka, który mówił z powolną rozwagą.

— Budzę się, otwieram szeroko oczy, podchodzę do drzwi. Słyszę jeszcze jeden strzał.

Przerwał mu jakiś człek tęgiej kompleksji i niecierpliwego temperamentu, odziany w brudną kurtę.

— Hę? — odpowiedział pytaniem świadek, zaskoczony i najwidoczniej z całych sił wyężdżający mózgowie.

— Jaka była wasza pierwsza myśl, kiedyście podeszli do drzwi?

— Aaaa... — westchnął z ulgą Szwed, rozjaśniając oblicze; niezmiernie zrozumienie dźwięczało w jego głosie. — Nie miałem mokasynów. Diabli chłód — pomyślałem. — Wyraz satysfakcji przeszedł nagle w naiwne zdumienie, kiedy ryk śmiechu powitał to oświadczenie. Ciągnął jednak z niezmaconą powagą. — Usłyszałem jeszcze jeden strzał i pobiegłem ścieżką...

W tej chwili Corliss przeciskał się przez tłum do Frony, więc nie dosłyszała dalszych słów Szweda.

— Co się tu dzieje? — pytał inżynier. — Coś poważnego? Czy mogę się na co przydać?

— Tak, tak — chwyciła z wdzięcznością jego rękę. — Niech pan przedostanie się jakoś na naszą wyspę i powie ojcu, żeby tu przybył. Proszę mu powiedzieć, że Gregory St. Vincent jest w niebezpieczeństwie, że oskarżony jest o... O co jesteś oskarżony, Gregory? — zapytała odwracając się ku tamtemu.

— O morderstwo.

— O morderstwo? — zdziwił się Corliss.

— Tak, tak, powiedz pan ojcu, że o morderstwo; że ja jestem tutaj, że potrzebuję jego pomocy. Niech mi przywiezie trochę ubrania. I, Vance — dodała, ściskając mocno jego rękę i spoglądając z ukosa, znacząco. — Mam nadzieję, że pan nie zechce korzystać z tych szans i postara się wykonać to, o co proszę.

— O, wszystko będzie załatwione. — Kiwnął głową przyjacielsko i przepychać się zaczął łokciami ku drzwiom.

— Kto ci pomaga w obronie? — zapytała Frona St. Vincenta.

Potrząsnął głową.

— Nikt. Chcieli mi dać jakiegoś adwokata, wyrzuconego ze Stanów, Billa Browna, odmówiłem, teraz on stanął przeciwko mnie. Tu prawo Lyncha, uważasz, i oni zupełnie poszaleli. Uwzięli się, że mnie powieszają.

— Chciałabym, żeby było dość czasu na obronę.

— Ależ, Frono, ja jestem niewinny! Ja...

— Ts... — uciszyła go dotknięciem ręki i całą uwagę zwróciła na to, co mówił świadek.

— ...Wił się jak piskorz, aleśmy go przyłapali. Ja i Pierre. Krzyczał i stał jak wkopany.

— Kto krzyczał? — przerwał prokurator.

— On. Ten facet tutaj. — Szwed wskazał palcem na St. Vincenta. — Zapaliłem światło. Lampka była rozbita, ale miałem świecę w kieszeni. To bardzo dobry zwyczaj nosić świecę w kieszeni — stwierdził poważnie. — Borg leżał martwy na ziemi. A kobieta powiedziała, że on to zrobił i umarła także.

— Że kto to zrobił?

Znowu oskarżycielski palec wskazał St. Vincenta.

— On. Ten facet tutaj.

— Powiedziała naprawdę? — wyszeptała Frona.

— Tak — odszepnął St. Vincent — powiedziała. Ale nie rozumiem dlaczego. Musiała być nieprzytomna.

Tłuszcioch w brudnej kurcie znowu zadał świadkowi kilka pytań, których Frona słuchała uważnie, ale które wyjaśniły niewiele.

— Macie prawo również zapytać świadka — uświadomił St. Vincenta przewodniczący. — Czy chcecie?

Dziennikarz potrząsnął głową.

— Pytajże — zachęcała Frona.

— Po co? — odparł beznadziejnie. — Jestem z góry skazany. Wyrok został wydany, zanim sąd się rozpoczął.

— Chwileczkę, proszę — ostry rozkaz Frony powstrzymał cofającego się świadka. — Czy wy sami nie wiecie, kto popełnił morderstwo? Osobiście nie widzieliście?

Szwed wytrzeszczył na nią wole oczy spośród ołowianej twarzy, jakby czekając na dalsze wyjaśnienia.

— Wy sami nie widzieliście? — zapytała raz jeszcze.

— O, tak. Ten tu facet. — Palec oskarżycielski naprzód. — Ona powiedziała, że to on.

Ogólny uśmiech powitał te słowa.

— Ale samiście nie widzieli? Na własne oczy?

— Słyszałem jakieś strzały.

— Ale nie widzieliście, kto strzelał?

— Ach, nie. Tylko ona powiedziała....

— Wystarczy. Dziękuję — odrzekła słodko Frona i Szwed cofnął się w tłum.

Przewodniczący zajrzał do swoich notatek. — Pierre La Flitche! — zawołał.

Smukły mężczyzna, gibki, piękny, śniadolicy wystąpił z tłumu i stanął przed stołem. Ciemnowłosy był i pełen wdzięku; szybkim wyrazistym spojrzeniem ogarnął wszystkich przez chwilę, zatrzymując na Fronie wzrok pełen uczciwego, nietajonego zachwytu. Uśmiechnęła się i leciutko skinęła mu głową, bo polubiła go od razu, jakby znała od dawna. On odpowiedział przyjaznym uśmiechem, przy czym gładka górna warga odsłoniła śmiałym wygięciem rząd pięknych zębów, nieskazitelnie białych.

W odpowiedzi na stereotypowe pytania stwierdził, że nosi nazwisko swego ojca, starego coureur du bois. Matka — tu wzruszył ramieniem i błysnął zębami — matka była tutejsza. Urodził się gdzieś w górach Barrens na wyprawie myśliwskiej, nie wie dokładnie gdzie. Ach, oni, towarzysze nazywają go „wygą”. Przyszedł tutaj, za czasów Jacka Mc Question, poprzez Skaliste, znad Wielkiego Niewolniczego.

Przewodniczący kazał mu mówić na temat, zastanowił się więc chwilę, jakby szukając najlepszego punktu wyjścia.

— Na wiosnę dobrze jest spać przy otwartych drzwiach — zaczął czystym, dźwięcznym głosem, nacechowanym lekkim akcentem przodków-Francuzów. — Tak właśnie spałem zeszłej nocy. A śpię jak kot. Liść spadnie, wiatr westchnie, moje uszy już szepczą, szepczą, szepczą całą noc. A więc, pierwszy strzał — klasnął głośno w palce — i już się zbudziłem i już jestem u drzwi.

— To nie był pierwszy strzał — pochylił się St. Vincent ku Fronie.

Skinęła głową, wpatrzona właśnie w La Flitcha, który umilkł uprzejmie i czekał.

— Jeszcze dwa wystrzały — zaczął znowu — jeden po drugim, prędko bum—bum, ot tak. „W chacie Borga”, powiedziałem sobie i pobiegłem ścieżką. Myślałem, że Borg zabił Bellę, co byłoby źle. Bella bardzo miła dziewczyna — wyznał z jednym ze swych nieodparty ch uśmiechów. — Ja lubię Bellę. Ja biegnę. A John biegnie ze swojej chaty, jak tłusta krowa z takim człapaniem po błocie. „Co się stało?” powiada. Ja na to: „Nie wiem”. Wtedy nagle coś wypada z ciemności bah! przewraca Johna, przewraca mnie. Łapiemy rękami: człowiek. Nieodziany. Biję się, wrywa się. Krzyczy: Och! och! och! ot tak. Trzymamy go mocno. Stoi. Wtedy ja mówię: „Wracaj, bratku, z nami”.

— Kto był ten człowiek?

La Flitche odwrócił głowę profilem do Frony i zatrzymał spojrzenie na dziennikarzu.

— Mówcie dalej.

— Tak? Człowiek nie chce wracać. Ale John i ja każemy mu; więc idzie.

— Czy coś mówił?

— Pytam go, co się stało, ale on beczy ot, tak: buhczesz — buh-czesz... ot, tak.

— Zauważyliście w nim coś szczególnego?

La Flitche podniósł zdumione brwi.

— Coś niezwykłego, coś niecodziennego?

— Och, qui, krew na rękach. — Nie zwracając uwagi na szmery w tłumie, mówił dalej, przy czym plastyczna gra twarzy i ruchów dodawała opowiadaniu walorów dramatycznych. — John zapala świecę, Bella jęczy, jak foka kosmata, kiedy dostanie kulą, ot, tak, kiedy dostanie kulą pod pletwy. A Borg leży w kącie. Podchodzę. Patrzę. Nie oddycha wcale.

Bella otwiera oczy, zaglądam w te oczy i wiem, że poznała mnie, La Flitche'a. „Kto to zrobił, Bella?” — pytam. A ona rzuca głową po ziemi i mówi tak powoli, tak cichutko: „On nie żyć?” Wiem, że myśli o Borgu. Odpowiadam „Tak”. Wtedy Bella unosi się trochę, podpira się jednym łokciem i patrzy dokoła prędko, prędko, a kiedy widzi St. Vincenta, przestaje szukać, tylko patrzy na niego ciągle. Potem wskazuje na niego palcem, ot tak. — La Flitche skierował na oskarżonego drżący palec.

I Bella mówi: „On, on, on”. Pytam jeszcze raz: „Bella, kto to zrobił?” Ona na to: „On, on, on to zrobił, St. Vin-cha”. A potem — tu głowa La Flitche'a opadła smutnie na pierś i podniosła się po krótkiej chwili; znowu błysnęły zęby. — Umarła.

Czerwony jegomość, Bill Brown, zadał metysowi szereg pytań, służących do wzmocnienia jego słów i do wykazania, że przed śmiercią Borga w chacie stoczona została straszliwa walka. Ciężki stół rozbito, ławki i krzesła rozłupano, przewrócono piecyk. — Nigdy nie widziałem czegoś podobnego — zakończył La Flitche opis zniszczenia. — Nie, nigdy!

Brown z ukłonem zaproponował Fronie dalsze badanie świadka, za co nagrodzony został ślicznym uśmiechem. Frona nie zaniedbała zjednania sobie życzliwości prokuratora. Grała na czas — czas, żeby ojciec zdążył przyjechać, czas, żeby St. Vincent zdążył opowiedzieć jej sam na sam, co mianowicie zdarzyło się naprawdę. Zadawała więc metysowi pytanie po pytaniu, niezliczone pytania. Dwukrotnie tylko wyjaśniły one coś istotnego.

— Mówił pan, panie La Flitche, o pierwszym strzale. Przecież ściany chaty są grube. Gdyby pańskie drzwi były zamknięte, czy usłyszałby pan ten pierwszy strzał? Jak pan przypuszcza?

Potrząsnął głową, chociaż jego ciemne oczy mówiły wyraźnie, że zgadł, co mianowicie ustalić pragnęła panna Welse.

— A gdyby drzwi Borga były zamknięte, czy słyszałby pan?

Znowu zaprzeczył ruchem głowy.

— Więc, panie La Flitche, skoro pan mówi „pierwszy strzał”, to mamy to zapewne rozumieć jako pierwszy usłyszany przez pana strzał.

Skinął, Frona zaś osiągnąwszy to, co chciała, nie wiedziała zupełnie, po co właściwie jest to potrzebne.

Znowu jednak zaczęła drugą upartą walkę o punkt bardziej istotny, chociaż czuła, że La Flitche widzi ją na wskroś.

— Powiada pan, że było bardzo ciemno, panie La Flitche?

— Ach, oui, bardzo ciemno.

— W jaki więc sposób poznał pan, że spotkał pan Johna?

— John biega bardzo hałaśliwie. Rozpoznam od razu ten hałas.

— Ale czy mógł go pan zobaczyć, kiedy był blisko?

— O, nie.

— A więc, panie La Flitche — zapytała triumfalnie — może zechce pan stwierdzić łaskawie, w jaki sposób dostrzegł pan krew na rękach pana St. Vincenta?

Wargi La Flitche'a, wygięły się w czarującym uśmiechu. Milczał przez chwilę. — W jaki sposób? Poczujęm ciepło krwi na jego rękach. A mój nos! He he, dym myśliwskiego

ogniska z daleka, z daleka, nora królicza, trop jelenia, który przebiegł niedawno — he, czyż wszystkiego tego nie pozna mój nos? — Tu la Flitche odrzucił głowę wstecz, wydał drgające nozdrza i wyraził twarzą uśpienie wszystkich zmysłów prócz węchu. Cała jego istota zdawała się ześrodkowywać w węchu. Wreszcie oczy otwały się z lekka i sennie spjrzały na dziewczynę. — Poczułem zapach krwi na jego rękach, ciepłej krwi, gorącej krwi na jego rękach...

— Prawda, prawda, on to potrafi — odezwał się jakiś głos z tłumu.

Frona była tak przekonana, że mimo woli spojrzała na ręce St. Vincenta. Rękawy jego flanelowej koszuli miały rdzawe plamy.

Kiedy La Flitche wrócił na swoje miejsce, Bill Brown podszedł do Frony i potrząsnął jej ręką.

— Nie chciałbym sam mieć lepszego adwokata — powiedział dobrodusznie, szukając w notesie nazwiska następnego świadka.

— Czy nie uważa pan jednakże, że jestem trochę pokrzywdzona — zapytała zniecierpliwiona. — Nie miałam czasu przygotować się do obrony. Nie wiem nic, prócz tego, co wywnioskowałam z zeznań dwóch pańskich świadków. Czy nie uważa pan, panie Brown — głos jej rozperlił się nagle na szereg drobnych nutek, pełnych perswazji — czy nie uważa pan, że byłoby wskazane odłożenie zebrania do jutra?...

— Hm — zastanowił się, spoglądając na zegarek. — To niezła myśl. Jest piąta, pora gotować kolację.

Podziękowała mu, jak umieją dziękować niektóre kobiety, bez słowa; prokurator jednak, zajrzawszy w jej twarz i oczy doznał większej i subtelniejszej radości, niż gdyby Frona dziękowała mu szeregiem miłych słów.

Stanął na swoim urzędowym miejscu i zwrócił się do sali: — Stosownie do porozumienia obrony z oskarżeniem oraz ze względu na spóźnioną porę, która uniemożliwi zakończenie sądu dzisiaj, hm... pozwalam sobie odłożyć zebranie niniejsze do jutra, do godziny ósmej z rana.

— Większość się zgadza — oświadczył przewodniczący, opuszczając swoje miejsce i biorąc się do rozpalania ognia, był bowiem współwłaścicielem chaty i kucharzem swojej partii.

ROZDZIAŁ XXV

Frona zwróciła się do St. Vincenta, jak tylko wyszedł ostatni kopacz. Dziennikarz chwycił ją za rękę kurczowo, jak tonący.

— Wierzaj mi, Frono. Obiecuj, że uwierzysz!

Dziewczyna splonęła. — Jesteś podniecony — wyrzekła. — Inaczej nie mówiłbyś w ten sposób. Zresztą, nie potępiam cię — złagodniała. — Położenie istotnie jest dość podniecające.

— Tak, wiem o tym aż zanadto dobrze — odrzekł gorzko. — Postępuję jak wariat, ale nie mam na to żadnej rady. Napięcie było zbyt straszne. Sama śmierć Borga była okropna, a tu jeszcze na domiar złego posądzają mnie o zabójstwo i wloką przed sąd całej hołoty! Przebaczone, Frono. Nie panuję nad sobą. Nie wątpię przecież, że ty mi uwierzysz!

— Więc opowiedz mi wszystko, Gregory.

— Przede wszystkim ta kobieta, Bella, kłamie. Musiała chyba być niespełna rozumu, kiedy wymawiała to zeznanie przedśmierne. Przecież tak walczyłem w obronie Borga i jej! Jedynym wytłumaczeniem...

— Zaczynaj od początku — przerwała. — Pamiętaj, że ja nie wiem nic.

Usiadł wygodniej na krześle, skręcił sobie papierosa i podjął na nowo całą historię ubiegłej nocy.

— Musiała być chyba pierwsza po północy, kiedy obudziło mnie światło lampki. Myślałem, że to Borg zapala. Zdziwiłem się, czego może szukać o tej porze i już miałem znowu zapaść w sen, kiedy nagle, sam nie wiem czemu, otworzyłem oczy. W chacie było dwóch obcych ludzi. Obaj mieli maski i klapy futrzanych czapek spuszczone na uszy, tak że nie widziałem zupełnie twarzy, prócz blasku oczu przez szparki masek.

Moją pierwszą myślą było: grozi jakieś niebezpieczeństwo. Przez kilka sekund leżałem bez ruchu i zastanawianiem się, co począć. Borg pożyczył był mój rewolwer, więc na razie zostałem właściwie bezbronny. Moja strzelba stała przy drzwiach. Zdecydowałem

dopaść strzelby. Ale wtedy dopiero zerwałem się, kiedy jeden z napastników pod-?' skoczył ku mnie, równocześnie strzelając z rewolweru. To był ów pierwszy strzał, którego nie słyszał La Flitche. Dopiero podczas szamotania, które nastąpiło potem, drzwi zostały otwarte, co umożliwiło tamtym słyszenie następnych trzech strzałów.

Mój skok z ławy był tak gwałtowny, że bandyta chybił. W następnej sekundzie zwarliśmy się całym ciałem i potoczyli po podłodze. Borg zerwał się już, toteż drugi napastnik rzucił się teraz na Borga i Bellę. I ten drugi właśnie popełnił oba morderstwa, bo pierwszego trzymałem ja. Oto masz prawdę. Ze zniszczenia chaty możesz sądzić o zawziętości mojej walki. Szamotaliśmy się tak straszliwie, że stół, ławki, półki, wszystko poszło w drzazgi.

Och, Frona, to było okropne! Borg walczy o życie, Bella pomaga mu, chociaż sama jest ranna i jęczy — a ja nie mogę nic poradzić. Chociaż co prawda po niezbyt długiej chwili zacząłem pokonywać tego, z którym walczyłem. Powaliłem go na plecy, przytrzymałem mu ramiona kolanami i dusiłem go już zwolna, kiedy nagle ten drugi, dokończywszy tamtych dwoje, rzucił się na mnie. Cóż mogłem zrobić? Dwóch na jednego! Cisnęli mnie w kąt i rzucili się do ucieczki. Wyznaję, że musiałem stracić głowę z kretesem, bo jakem tylko oprzytomniał, zerwałem się i pognałem za nimi — ale bez broni. Wtedy właśnie natknąłem się na Johna i La Flitcha i — i resztę wiesz. Tylko — podniósł zdumione brwi — nie mogę pojąć, dlaczego Bella zrzuciła na mnie winę?

Spojrzał błagalnie na Fronę, ona zaś, chociaż ścisnęła współczująco jego rękę, milczała, ważąc spokojnie "za" i „przeciw" tego, co usłyszała.

Wreszcie zwolna pokiwała głową. — Sprawa wygląda kiepsko. Trudno ich będzie przekonać.

— Ależ Frona, na Boga, ja jestem niewinny! Niewątpliwie nie byłem święty, ale ręce moje nie splamione są krwią!

— Pamiętaj jednak, Gregory — odpowiedziała spokojnie — że nie ja będę cię sądzić. Niestety, czynić to będzie zebranie kopaczy i zagadnienie polega na tym, jak ich przekonać o twojej niewinności? Dwie rzeczy obciążają cię bardzo: słowa przedśmierne Belli i krew na rękawie.

— Cała chata pełna była krwi — krzyknął z pasją St. Vincent, zrywając się na nogi. — Powiadam ci, pełna! Jakżeż mogłem się nie poplamić, walcząc tak wściekle o życie? Mogę dać ci słowo.

— Cicho, cicho, Gregory. Usiądź. Naprawdę jesteś zdenerwowany. Gdyby to ode mnie zależało, wiesz dobrze, że zostałbyś uniewinniony. Ale ci inni ludzie... wiesz przecie,

czym są rządy tłumu... jak zmusić tych ludzi, żeby cię wypuścili? Uważasz, nie ma żadnych świadków po twojej stronie. Słowa umarłej kobiety są bardziej ważne niż słowa żywego mężczyzny. Czy możesz wyjaśnić, dlaczego ta kobieta chciała umrzeć z kłamstwem na ustach? Czy miała przyczynę do nienawidzenia ciebie? Czy skrzywdziłeś kiedykolwiek ją albo jej męża? Potrząsnął głową.

— Istotnie, dla nas punkt ten jest niewyjaśniony. Ale tłum nie potrzebuje wyjaśnienia. Dla niego fakt jest oczywisty. Pozostaje nam obalić oczywistość. Czy zdołamy?

Dziennikarz pochylił się bezsilnie, przybity i zgnębiony. Siedział z zapadniętą piersią, podniesionymi ramionami, opuszczoną głową. — W takim razie istotnie jestem zgubiony.

— Nie, tak źle jeszcze nie jest. Nie powieszają cię. Możesz mi wierzyć.

— Ale cóż poradzimy? — zapytał rozpaczliwie. — Uzurpowali prawo i sami je wykonują.

— Po pierwsze, rzeka ruszyła. To jest najważniejsze. Gubernator i miejscowi sędziowie mogą przybyć lada dzień, wraz z oddziałem policji. Na pewno zatrzymają się tutaj. Poza tym możemy też sami coś niecoś poradzić. Rzeka jest już spławna i jeśli dojdzie do najgorszego — pozostanie nam ucieczka. Tego się będą najmniej spodziewali.

— Nie, nie; niemożliwe. Cóż pocznjemy we dwoje przeciwko nim wszystkim?

— Jest przecież jeszcze mój ojciec i baron Courbertin. Czterej zdecydowani na wszystko ludzie, działając zgodnie, mogą dokonać cudów, Gregory, kochany. Wierz mi, wszystko będzie dobrze.

Pocałowała go i pieszczotliwie przesunęła dłonią po włosach, ale niepokój i zmieszanie nie znikły z jego twarzy.

Jakub Welse przebył boczny kanał na kilka godzin przed zapadnięciem ciemności, przywożąc ze sobą Dela i barona. Corliss wrócił również. Podczas gdy Frona zmieniała suknie w jednej z najmniejszych chat, którą chętnie ustąpili jej właściciele - mężczyźni, Jakub Welse doglądał chorego listonosza. Depesze były bardzo ważne, tak ważne, że Jakub Welse zasępił się i chmurzył, ile razy odczytywał je na nowo; krył jednak niepokój przed Froną. St. Vincenta uwięziono w sąsiedniej chacie, ale Welsom pozwolono go zobaczyć.

— Sprawa wygląda kiepsko — powiedział Jakub Welse, kiedy rozchodzono się na noc. — Ale bądź pan pewien, St. Vincent, nie powieszają pana, dopóki ja mam jeszcze coś do powiedzenia w tym kraju. Pewien jestem, że pan nie zabiłeś Borga; oto moja ręka.

— Długi dzień — zauważył Corliss, odprowadzając Fronę do jej chaty.

— Jeszcze dłuższy będzie jutro — odpowiedziała zmęczonym głosem — taka już jestem senna.

— Pani jest dzielna mała kobietka. Jestem z pani dumny.

Była godzina dziesiąta. Corliss patrzył uporczywie w mglistym półmroku na widmowe zwały lodu, sunące po rzece. — A... a w tym obecnym zmartwieniu niech pani liczy na mnie... pod każdym względem.

— Pod każdym względem? — chwyciła go skwapliwie za słowo.

— Gdybym był bohaterem melodramatu, powiedziałbym zapewne: „Aż do śmierci!”, ponieważ jednak nie jestem, więc powtarzam tylko: „pod każdym względem”.

— Pan jest bardzo dobry dla mnie, Vance. Nigdy nie potrafię odplacić...

— Ts! Ts! Nie jestem na sprzedaż. Miłość jest służbą, o ile się nie mylę.

Popatrzyła na mówiącego długim spojrzeniem, lecz chociaż twarz jej wyrażała słodkie zdumienie, serce było zmacone, nie wiadomo czym. Wypadki dnia dzisiejszego i wszystkie przeżycia od chwili poznania Vance'a przesunęły się nagle w pamięci.

— Czy wierzy pan w bezmiłosną przyjaźń? — zapytała wreszcie. — Mam nadzieję, że te więzy łączące nas będą zawsze. — Jasna, niezmacona przyjaźń, prawdziwe koleżeństwo? — Lecz już w chwili gdy pytała, czuła, że słowa te nie wypowiadają do dna jej uczuć i pragnień. I kiedy Vance zaprzeczył ruchem głowy, Frona poczuła drobny, niepojęty dreszczyk radości.

— Koleżeństwo? Przecież pani wie, że ja panią kocham.

— Wiem — potwierdziła cichuteńko.

— Obawiam się, że pani pomimo swej inteligencji nader mało wie o duszy mężczyzny. Proszę mi wierzyć, jesteśmy ulepieni z innej gliny. Koleżeństwo? To znaczy: przyjść z chłodu nocy i ogrzać się u pani ogniska. Dobrze. Ale przyjść również, kiedy inny mężczyzna siedzi z panią przy tym ognisku? Nie. Przyjaźń wymaga, żebym cieszył się pani szczęściem, a przecież czyż pani przypuszcza choć na chwilę, że mógłbym widzieć panią, trzymającą w ramionach dziecko innego mężczyzny? — Dziecko, które mogłoby być moje? Że mógłbym znieść, żeby oczy tamtego patrzyły na mnie z oczu pani dziecka? Żeby śmiały się do mnie jego usta dziecinnymi ustami? Przypuszcza pani, że potrafiłbym się cieszyć pani radością? Nie, nie; miłości nie można nasycić przyjaźnią.

Położyła mu rękę na ramieniu.

— Czyż się mylę? — zapytał, zdumiony dziwnym, nowym wyrazem jej twarzy.

Frona płakała cicho.

— Pani jest przemęczona, znużona. Więc już, już, dobranoc. Proszę iść spać.

— Nie, proszę zostać, proszę jeszcze nie odchodzić — zatrzymała go przemocą. — Nie, nie, głupstwa gadam. Pan ma rację, jestem przemęczona. Ale proszę posłuchać, Vance. Jest jeszcze dużo do roboty. Trzeba zrobić plan na jutro. Niech pan wejdzie. Ojciec tu" jest i baron. Jeżeli stanie się to najgorsze, my czworo musimy dokonać wielkich rzeczy.

— Ryzykowne — zauważył Jakub Welse, kiedy Frona naszkicowała zwięźle swój plan działania i wyznaczyła każdemu rolę. — Ale kto wie, impreza może się udać, ponieważ nikt jej się nie będzie spodziewał.

— Coup d'etat! — określił baron Courbertin. — Wspaniale!

Ach! Już mi się ciepło robi na samą myśl! „Ręce do góry!” — krzyczę i robię zuchwałą twarz. A... a jeśli oni nie podniosą rąk do góry? — zapytał błagalnie Jakuba Welse'a.

— Wtedy strzelaj pan. Nigdy nie gadać na wiatr, kiedy się ma karabin w ręku, Courbertin. — Znaczący twierdzą, że to niezdrowo.

— Pan dopilnuje „La Bijou”, Vance — powiedziała Frona. — Ojciec przypuszcza, że jutro będzie już mało lodu, o ile gdzieś w dole nie stanie zator. Pan zrobi jedno tylko: będzie pan trzymał łódź w pogotowiu na rzece, akurat naprzeciwko drzwi. Nie będzie pan nic wiedział, dopóki pan nie zobaczy, że St. Vincent biegnie ku rzece. Wtedy do łódki go — i walić na Dawson. Teraz powiem już panu dobranoc, a może zarazem i do widzenia, bo nie wiem, czy zobaczymy się z rana.

— Trzymaj się pan lewej strony aż do zakrętu — poradził Jakub Welse. — Potem przetnij rzekę ku prawej stronie i pruj najszybszym nurtem. No, idź pan teraz i od razu spać. Do Dawson jest siedemdziesiąt mil i trzeba je będzie zrobić jednym tchem.

ROZDZIAŁ XXVI

Zebranie słuchało z szacunkiem, kiedy Jakub Welse wstał i oświadczył co następuje: Chociaż podobne zebrania spełniały z powodzeniem rolę sądów dawniej, kiedy prawo nie istniało w tym kraju, obecnie jednak są one przestarzałe i zbyt liczne, ponieważ prawo już istnieje. Rząd Królowej potrafił opanować położenie, toteż uzurpowanie praw rządu jest dobrowolnym cofaniem się do czasów ciemności, z których się na szczęście wyszło. Poza tym obiecał zebranych krótko i węzłowato, że o ile miałoby tu dzisiaj zajść coś poważnego, to on, Jakub Welse, weźmie osobisty i czynny udział w ściganiu przez władze każdego spośród tu obecnych. Na zakończenie wniósł o odstawienie więźnia do sądu krajowego i o zamknięcie zebrania. Przegłosowano go bez dyskusji.

— Widzisz — szepnął St. Vincent do Frony. — Nie ma nadziei.

— Ależ jest, jest. Posłuchaj! — opowiedziała mu pokrótce postanowienia minionego wieczoru.

Słuchał niedowierzająco, zbyt zdruzgotany, żeby móc dzielić jej entuzjazm. — To szaleństwo próbować ucieczki — odparł, kiedy skończyła mówić.

— Obawiam się, że nie próbować ucieczki... to powieszenie — odrzekła z cieniem humoru w głosie. — Chyba nie zechcesz poddać się bez walki?

— Ano, zapewne — odpowiedział głucho. Pierwszymi świadkami byli dwaj Szwedzi. — Przede wszystkim opowiedzieli incydent z balią, po którym to Borg napadł z furią na St. Vincenta. Chociaż wypadek ten był drobny i pospolity, stał się nagle poważny w świetle tego, co zaszło później. Dawał pole wyobraźni na bardzo szeroki i nader zwykły temat. Zdawało się, że więcej tu było niedomówień niż słów. Mężczyźni, synowie Ewy, zbyt dobrze znali życie, żeby nie zdać sobie sprawy, co znaczyć mógł ten drobny wypadek. Tłumaczenie było tylko jedno i zupełnie proste. Głowy kiwały znacząco podczas zeznań Szwedów, szeptane uwagi krążyły w tłumie.

Sześciu świadków zeznało kolejno i szybko, że zbadali dokładnie miejsce zbrodni i że starannie przeszukali całą wyspę. Wszyscy stwierdzali, że nie znaleziono

najmniejszego nawet śladu owych dwu ludzi, o których mówił więzień w swym początkowym zeznaniu.

Ku wielkiemu zdumieniu Frony jako świadek wystąpił nagle Del Bishop. Wiedziała, że nie lubił St. Vincen-ta, ale nie mogła sobie wyobrazić, co też Del wie o sprawie zbrodni.

Zaprzysięgłszy świadka, stwierdziwszy jego wiek i narodowość, Bill Brown zapytał o zawód.

— Wywiadowca złotych żył — wyznał dumnie Bishop, ogarniając zgromadzenie agresywnym spojrzeniem.

Stwierdzić należy, iż nader mała liczba kopaczy uznaje bezpośrednio szukanie żył złota, większość nie wierzy zupełnie w możliwość znalezienia złota metodą „żylnych” wywiadowców.

— Żylny wywiadowca! — zgrzytnął jakiś patriarcha w czerwonej koszuli, który na pewno przemył swoją pierwszą patelnię jeszcze w kalifornijskich kopalniach w połowie dziewiętnastego wieku.

— Jakbyś wiedział — potwierdził Del.

— Słuchaj no młodzieńcze — ciągnął interlokutor — może spróbujesz mi gadać, że udało ci się kiedykolwiek znaleźć choć okruszynę tym parszywym sposobem?

— Jakbyś wiedział.

— Nie wierzę! — odparł tamten z lekceważącym wzruszeniem ramion.

Del połknął ślinę i podrzucił głową jak żrebak.

— Panie przewodniczący, pozwolę sobie złożyć oświadczenie: Nie chcę obecnie naruszać powagi sądu, ale chcę tylko stwierdzić po prostu i wyraźnie, że po zebraniu rozbiję łeb każdemu, kto ma teraz zbyt dobry humor. Zrozumiane?

— Pan narusza porządek dzienny — odparł przewodniczący, stukając gwałtownie młoteczką w stół.

— I pański łeb również! — ryknął Del. — Ładnie pan pilnujesz swego porządku! Złote żyły nie mają nic do tego tu sądu, czemuś pan pozwolił o nich gadać? Już ja się panem zajmę po zebraniu, pomywaku ty jeden!

— Co takiego? Zajmiesz? — przewodniczący zaczerwienił się, cisnął precz młotek i skoczył na równe nogi.

Del na jego spotkanie, ale Bill Brown stał już pomiędzy nimi i próbował rozdzielić.

— Porządek, panowie, porządek — błagał. — Nie czas na nieodpowiednie wybryki. Pamiętajcie o obecności dam.

Obaj burknęli coś, ale się poddali. Bill Brown zapytał: — Panie Bishop, przypuszczamy, że pan zna dobrze podsądnego. Czy zechce pan łaskawie powiedzieć nam, co panu wiadomo w ogóle o jego charakterze?

Del uśmiechnął się z satysfacją: — Hm, przede wszystkim oskarżony posiada nader kłótlivy temperament...

— Dosyć! Ja nie pozwolę na coś podobnego! — St. Vincent skoczył na równe nogi, dygocząc z gniewu. — Nie będziecie tu babrać w ten sposób mojego życia! Sprowadziliście wariata, którego widzę po raz drugi w życiu, żeby opowiadał o moim charakterze!

Del Bishop zwrócił się ku niemu. — Nie znasz mnie? Nie znasz mnie, Gregory St. Vincent? Hę?

— Nie znam — odparł tamten chłodno. — Nie znam cię, mój człowieku.

— Tylko mi tu bez żadnych „człowieku”! — huknął Del gorąco.

Ale St. Vincent zlekceważył go i zwrócił się do tłumu:

— Widziałem tego jegomościa raz jeden w życiu, przez kilka chwil w Dawson.

— Przypomnisz sobie, bratku, zanim skończę — zgrzytnął Del. — Tymczasem siedź cicho i daj mi się wygadać. Przybyłem do tego kraju razem z oskarżonym ni mniej ni więcej tylko w osiemdziesiątym czwartym.

St. Vincent spojrzał na mówiącego z nagłym zainteresowaniem.

— Tek, tek, panie St. Vincent. Widzę, że pan zaczyna sobie przypominać. Nosilem wtedy brodę i nazywałem się Brown. Joe Brown.

Uśmiechnął się mściwie, dziennikarz zaś od razu przestał się interesować.

— Czy to prawda, Gregory? — szepnęła Frona.

— Zaczynam go poznawać... — wyjąkał powoli. — Sam nie wiem... Ale cóż za myśl! Tamten nie mógł nie umrzeć.

— Pan powiada w osiemdziesiątym czwartym, panie Bishop? — zachęcił Bill Brown.

— Tak, w osiemdziesiątym czwartym. On był korespondentem gazet; wybrał się w podróż naokoło świata przez Alaskę i Syberię. Ja uciekłem właśnie z Sitki, z pewnego statku wielorybniczego — dlatego przezwałem się Brown. St. Vincent najął mnie do pomocy w podróży za czterdzieści dolarów miesięcznie i utrzymanie. Tek. W krótkim czasie pokłócił się ze mną...

Śmieszek, zrodzony nie wiadomo w którym kącie izby, ale zarażający wszystkich po kolei, przywitał to oświadczenie. Uśmiechnęła się nawet Frona i Del. Tylko twarz więźnia pozostała nieruchoma.

— Pokłócił się również ze starym Andy w Dyea i z wodzem Chilcootów, George, i agentem handlowym w Pelly i tak wzdłuż całej drogi. Pakował nas obu z jednej awantury w drugą. Najwięcej było kłopotów z babami... Zawsze i wszędzie stroił miny do każdej.

— Panie przewodniczący, ja protestuję — Frona wstała, opanowana i spokojna. — Nie widzę potrzeby zastanawiania się nad sprawami miłosnymi pana St. Vincenta. Nie dotyczą one tematu. Poza tym wątpię, czy którykolwiek z zebranych jest tak niewinny, że uważa się za uprawnionego do ciskania kamieniem w bliźniego. Upraszam więc, żeby proces ograniczył się do rozważań rzeczowych.

Bil Brown wstał, uprzejmy i uśmiechnięty. uczynić. Chcemy wykazać całą niedojrzałość i lekkomyślność jego natury, co z czasem doprowadziło go do zbrodni i aż pod szubienicę. Chcemy dowieść, że człowiek ten jest kłamcą, zakamieniałym kłamcą, że nie można wierzyć ani jednemu jego słowu. Chcemy zebrać to wszystko, nitka po nitce, nitka po nitce, aż utka się z tych nitek linka wystarczająco długa i mocna, żeby powiesić jegomościa jeszcze przed zachodem słońca. Wobec tego upraszam usilnie pana przewodniczącego, żeby świadek zeznawać mógł bez przeszkód.

Przewodniczący poparł prokuratora. Odwołanie się Frony do zebranych pozostało bezskuteczne. Bil Brown skinął na Dela.

— Jakem powiedział — ciągnął Del — podsądny pakował nas obu w nieustające kłopoty. Co do mnie, ciągle, przez całe życie mam do czynienia z wodą i im więcej mnie ona prześladowuje, tym mniej umiem się z nią obchodzić. St. Vincent wiedział o tym dobrze. Sam jest wielki spryciarz do wiosł. Jednakże kazał mi walić łodzią przez Kanion Box, sam zaś poszedł sobie naokoło. Skutek: wywróciłem się, przepadło pół ekwipunku i cały tytoń — winę zwałił jegomość na mnie. Zaraz potem wplątał się w awanturę z plemieniem Sticków znad jeziora La Barge i o mały włos obaj nie wyciągnęliśmy kopyt.

— O co tam poszło? — poddał Bill Brown.

— O pewną babę, niczego sobie, która przyglądała mu się zbyt czule. Kiedyśmy się wplątali, powiedziałem mu kazanie o babach w ogóle, o Indiankach w szczególności. Obiecał, że się pohamuje. Potem była znów chryja z plemieniem Małego Łososia. Tym razem mój chlebodawca był sprytniejszy, wszystko ukrył przede mną, chociaż domyślałem się tego i owego. St. Vincent mówił, że szaman winien, tymczasem wszystko wskazywało, że znowu poszło o kieckę. Kiedym po ojcowsku przemówił mu da rozumu, wpadł w złość; musiałem wysadzić go na brzeg i przetrzepać. Wtedy spokorniał i dopiero rozzuchwiał się koło Jeleniej Rzeki, gdzie Siwasze łowili łososie. Ale cały czas miał ze mną na pieńku i gotów był podstawić mi nogę. Nie podejrzewałem go o to zresztą. Nie można mu nie

przyznać, że miał szczęście do bab. Wystarczyło, żeby gwizdnął — zbiegały się jak psy. Dziwne jakieś zdolności. Była między Siwaszami jedna kobieta, najładniejsza i najbardziej rozpustna. Ładniejszej nie widziałem — prócz Belli. Tek. Zapewne gwizdnął, bo jakoś dłużej niż należało popasał w obozie. Będąc amatorem kobiet...

— Wystarczy, panie Bishop — przerwał przewodniczący, który, obserwując bezskutecznie nieruchomą twarz Frony, spojrzął mimochodem na jej rękę. Drżenie tej ręki wyjawiało to, co ukryła twarz. — Wystarczy, panie Bishop. Dostyc już bab.

— Zechce pan łaskawie nie przerywać świadkowi — zauważyła słodko Frona. — To zeznanie wydaje się być ważne.

— Alboż pan wie, co ja teraz powiem? — rzucił Del zapalczywie w kierunku przewodniczącego. — Nie wie pan, hę? Więc siedź pan cicha. Ten kawałek przedstawienia ja prowadzę.

Bill Brown skoczył na równe nogi, chcąc przeszkodzić starciu, ale przewodniczący opanował się i Bishop ciągnął dalej.

— Dawno bym już skończył z babami, gdyby mi nie przerywano. Jakem rzekł, St. Vincent ciągle czekał chwili, kiedy będzie mógł się mnie pozbyć. Pewnego dnia, kiedym się niczego nie spodziewał, dzielił mnie przez łeb kolbą, zapakował Indiankę do łódki — i jazda. Wiecie wszyscy, czym był kraj Yukonu w 84-tym. Zostałem sam, bez ekwipunku, bez żywności o tysiące mil od białych ludzi. Wylazłem jakoś, mniejsza już o to, jak. On wykaraskał się również. Wszyscy słyszeliśmy o jego przygodach na Syberii. Dobra jest — chwilą pomilczał dla zwiększenia wrażenia. — Zdarzyło się, że i ja wiem o tym coś niecoś.

Włożył rękę do ogromnej kieszeni kurtki i wyciągnął zniszczony tom, oprawny w skórę i czcigodnie gruby.

— Dostałem tę książkę od kobiety Pete Whipple'a, Whipple'a z Eldorado. Dotyczy jej ciotecznego dziada, a może nawet ojca tego dziada, nie wiem dobrze. Jeżeli jest tu ktoś, kto umie czytać po rosyjsku, możemy zapoznać się z pewnymi szczegółami podróży pana St. Vincen-ta po Syberii. Jeżeli zaś nikt nie umie..

— Courbertin! On zna rosyjski! — krzyknął ktoś z tłumu.

Francuzowi dano przejście i popychano go naprzód, chociaż protestował.

— Zna pan język? — zapytał Del.

— Troszkę, bardzo słabo, zupełnie słabo — bronił się baron. — Dawno się uczyłem. Już zapomniałem.

— Czytaj pan, nie będziemy krytykować.

— Nie, ale...

— Czytaj pan! — rozkazał przewodniczący.

Del wepchnął książkę w ręce barona, otwierając na pożółkłej karcie tytułowej. — Całe miesiące szukałem kogoś, kto mi to przeczyta. Teraz mi się nie wykręćcie, Charley — oświadczył radośnie. — Walcie!

Courbertin zaczął niepewnie: „Dziennik ojca Yakontsk, zawierający krótki opis jego życia w klasztorze benedyktynów w Obidorsku, oraz szczegółowy opis jego niezwykłych przygód pośród Ludzi Jelenia we wschodniej Syberii.

Baron przestał, czekając na wskazówki.

— Powiedz nam pan, gdzie i kiedy drukowane? — rozkazał Del.

— W Warszawie 1807 roku.

Kopacz zwrócił się triumfalnie ku zgromadzonym.

— Słyszycie? Zapamiętajcie sobie! 1807. Baron rozpoczął czytanie pierwszego rozdziału.

— „Przyczyną wszystkiego był Tamerlan” — wymówił, układając mimo woli słowa swego przekładu w znajome mu dobrze frazesy.

Frona zbladła nagle i pozostała blada przez cały czas czytania. Raz jeden zdecydowała się spojrzeć ukradkiem na ojca i rada była, że patrzył wprost przed siebie. Czując równocześnie uparte spojrzenie St. Vincenta, nie zwracała na niego żadnej uwagi. Widzieć mógł tylko białą twarz, pozbawioną wszelkiego wyrazu.

— „Kiedy Tamerlan ogniem i mieczem pustoszył Azję Wschodnią — czytał bardzo powoli Courbertin — państwa zostały zburzone, miasta zrujnowane, narody rozproszone jak... jak gwiazdny pył. Pewne liczne plemię pędzone było poprzez kraj. — Uciekając przed pogromcami” nie, nie, „przed okrucieństwem pogromców, ci wygnańcy zapędzili się daleko na Syberię, kołując w stronę północną i wschodnią i zaludniając z czasem bieg Oceanu Północnego odnogą rasy mongolskiej”.

— Przerzuc pan kilka stron — poradził Bill Brown — i czytaj to tu, to tam. Nie mamy czasu do wieczora.

Courbertin usłuchał. — „Na brzegu mieszkali Eskimosi, łagodni i nieszkodliwi. Sami siebie przezywali „Oukilion”, czyli: Ludzie Morza. Kupiłem od nich psy i żywność. Podlegają oni jednak plemieniu Chow Chuen, które to plemię zamieszkuje wewnątrz kraju i zowie się Ludźmi Jelenia. Owi Chow Ceni są okrutni i dzicy. Kiedy oddaliłem się od brzegu, napadli na mnie, ograbili i wzięli do niewoli”. Przerzucił kilka stron. „Wywalczyłem sobie pośród nich wysokie stanowisko, ale to bynajmniej nie zbliżało mnie do wolności. Rozum mój był dla nich zbyt cenny, żeby mogli pozwolić mi odjechać. Stary

Pi-Une był wielkim wodzem i postanowiono, że zaślubić mam jego córkę, Iłswungę. Iłswunga była wstrętnym niechlujnym stworzeniem. Nie chciała się kapać i obyczajnie miała niedobre. Zaślubiłem Iłswungę, ale była mi żoną tylko z imienia. Poskarżyła się więc swemu ojcu, staremu PiUne, i gniewny był na mnie bardzo. Plemię poczęło buntować się przeciwko mnie, ostatecznie jednak doszedłem do jeszcze większej potęgi, dzięki własnemu sprytowi i przemyślności; Iłswunga nie skarżyła się już więcej, nauczyłem ją bowiem grać w karty i wielu innych rzeczy".

— Czy dosyć? — zapytał Courbertin.

— Tak, dosyć — odparł Bill Brown. — Proszę tylko raz jeszcze stwierdzić czas i miejsce wydania książki.

— Warszawa, 1807.

— Dosyć, baronie — podjął Del Bishop. — Teraz zastanówmy się dalej. — Zwrócił się do izby: — Panowie, słyszeliście wszyscy coś niecoś o syberyjskich przygodach oskarżonego. Zwróciliście zapewne uwagę na niezwykle ich podobieństwo do przygód mnicha Yakontsk sprzed stu laty. Wywnioskowaliście też zapewne, że jest w tym jakieś tęgie nabieranie gości. Za chwilę przedstawię wam coś, co jest więcej niż nabieraniem. Oskarżony dał mi w łeb nad Jelenią Rzeką w 88-mym. W jesieni 88-go przejeżdżał przez St. Michael, kierując się na Syberię. W 89-tym i 90-tym, jak sam twierdzi, przeżywał swoje niezwykle przygody na Syberii. W 91-szym wrócił do cywilizacji, odgrywając w San Francisco rolę bohatera - zdobywcy. Zobaczymy teraz, czy Francuz nie powie nam na ten temat czegoś ciekawego. Był pan w Japonii, baronie?

Courbertin, uważając na datę, wywnioskował już co należy i nie zdołał ukryć swego zdumienia. "Spojrzał błagalnie na Fronę, ale mu nie dopomogła.

— Byłem — wymówił wreszcie.

— Spotkał pan tam oskarżonego?

— Tak.

— W którym roku?

Głowy wyciągnęły się, chciwie czekając odpowiedzi.

— W 1889 — odrzekł niechętnie.

— Jakże to być może, baronie? — zapytał drwiąco Del. — Oskarżony przebywał wtedy na Syberii...

Courbertin wzruszył ramionami na znak, że to nie jego sprawa i opuścił miejsce świadka, wracając na swoją ławę.

Krótką, nieprzewidziana przerwa zapanowała na sali. Szeptano, naradzano się, kiwano głowami.

— To kłamstwo — szepnął St. Vincent, pochylając się ku Fronie. Nie raczyła dosłyszeć.

— Pozory są przeciwko mnie, ale mogę to wszystko wytłumaczyć.

Twarz Frony ani drgnęła. Przewodniczący zavezwał St. Vincenta do złożenia zeznania. Frona odwróciła się ku ojcu i łzy zakręciły jej się w oczach, kiedy poczuła jego rękę na swojej.

— Czy chcesz, żebyśmy stąd wyszli? — zapytał cicho i wahająco. Zaprzeczyła ruchem głowy. St. Vincent zaczął mówić. Opowiadał tę samą historię, którą raz już słyszała Frona, opowiadał tylko trochę bardziej szczegółowo. Zeznanie jego nie przeczyło w niczym słowom Johna i La Flitche'a. St. Vincent potwierdzał incydent z balią, spowodowany, jak wyjaśniał, przez prostą uprzejmość z jego strony i przez niewytłumaczony atak złości ze strony Borga. Stwierdzał, iż istotnie Bella zabita została z jego własnego rewolweru, ale rewolwer ten pożyczony został przez Borga na kilka dni przedtem i nie oddany. O oskarżeniu Belli nie mógł nic powiedzieć. Nie rozumie, czemu umarła z kłamstwem na ustach. Nigdy w najłżejszym stopniu nie zasłużył na jej wrogość, więc nawet nie można przypuszczać chęci zemsty. To było niepojęte. Co do zeznań Bishopa — nie warto ich w ogóle obalać. Była to cała tkanina fałszów, chytrze przeplecionych nitkami prawdy. Istotnie, człowiek ten wędrował z nim na Alaskę 1888, ale opowiadanie o wypadkach tej podróży jest podstępne i fałszywe. Co do zeznań barona zachodzi po prostu omyłka w latach. Oto wszystko.

Pytając oskarżonego raz jeszcze, Bill Brown wywłókł nagle nową a niespodzianą kwestię. Sądząc z opowiadania oskarżonego, przeżył on straszną walkę z dwoma tajemniczymi napastnikami. Jeżeli tak — pytał Brown — w jaki sposób wytłumaczy fakt, że z walki tej wyszedł zupełnie cało? Zwłoki bowiem Johna Borga pokryte są licznymi ranami. — Dlaczegoż podsądny nie odniósł żadnej rany?

St. Vincent nie wiedział, chociaż przyznawał, że czuje się bardzo pobity i chory. Zresztą, to nie ma znaczenia. Po prostu: nie zabił Borga ani jego żony. To jedno wie na pewno i stwierdza raz jeszcze.

Frona poprzedziła swoją mowę obrończą przekonującym rozważaniem na temat świętości ludzkiego życia, niebezpieczeństwa wiary w zeznania pośrednich świadków oraz na temat praw oskarżonego do względności sędziów, wobec tego, że istnieją wątpliwości co do winy. Potem zajęła się zeznaniami odrzucając zbyteczne szczegóły i

ograniczając się wyłącznie do faktów. Przede wszystkim zaprzeczała temu, jakoby dowiedziona została przyczyna zbrodni. Takie dowodzenie jest obrażą dla inteligencji słuchaczy, obrońca zaś żywi dostateczną wiarę w męską logikę i trzeźwe umysły zebranych i nie wątpi, że na tak powierzchownych argumentach nie zechcą opierać swego wyroku.

Z drugiej strony, zajmując się poszczególnymi punktami, stwierdzała, że bynajmniej dowiedzione nie została istnienie jakiejś zażyłości pomiędzy Bellą a oskarżonym, ani nawet staranie o tę zażyłość ze strony St. Vincenta. Wypadek z balią — jedyny fakt przytoczony — był śmiesznym drobiazgiem, dowodzącym tylko, jak zwykła kurtuazja gentlemana może być źle rozumiana przez męża brutala i szaleńca. Niechaj to sami rozważą. Nie są przecie szaleńcami.

Próbowano przedstawić oskarżonego jako człowieka kłótliwego i nie miłego w obcowaniu z ludźmi. Nie trzeba chyba dowodzić tego samego na temat Johna Borga. Wszyscy znali jego straszliwe napady gniewu. Jego nieznośny charakter był wprost przysłowiowy, odstręczał przyjaciół i przysparzał wrogów. Czyż nie jest rzeczą prawdopodobną, że owi dwaj zamaskowani napastnicy, to właśnie jedni z licznych wrogów? Jakie były bezpośrednie przyczyny napadu — nie wiadomo. Ale sędziowie nie wątpią chyba, że na Alasce mogło znaleźć się dwóch ludzi, którym zależało na pozbawieniu Johna Borga życia.

Świadkowie stwierdzili, że nie znaleziono żadnych śladów owych dwu ludzi; czemuż nie stwierdzili również, że nie znaleziono też śladów St. Vincenta, Pierra La Flitche'a i Szweda imieniem John? Stwierdzać tego nie trzeba, wszyscy bowiem wiedzą dobrze, że kroki biegnących trzech wymienionych ludzi nie pozostawiły śladów. Wszyscy znają stan dróg, twardych i ubitych, na których miękkie mokasyny nie mogą się odcisnąć. Wszyscy wiedzą również, że ponieważ lód nie spłynął, zabójcy nie zostawiliby śladów przechodząc z kontynentu na wyspę i z powrotem.

Na te słowa La Flitche pokiwał głową z uznaniem. Frona mówiła dalej.

Zasadniczą podstawę oskarżenia zrobiono z krwi na rękach St. Vincenta. O ile zebrani zechcą łaskawie przyjrzeć się mokasynom pana La Flitche'a, również dostrzegą na nich krew. Nie dowodzi to jednak bynajmniej, że pan La Flitche brał udział w przelewaniu owej krwi.

Pan Brown zwrócił uwagę na to, że oskarżony nie odniósł ran w straszliwej walce, jaka miała miejsce. Obrona dziękuje panu prokuratorowi za to spostrzeżenie. Zwłoki Johna Borga są podobno ciężko poranione. Borg był znacznie wyższy, cięższy i silniejszy

niż jest St. Vincent. Gdyby St. Vincent popełnił zabójstwo i co za tym idzie, walczył ze swą ofiarą tak zawzięcie, że aż ją poranił, jakim sposobem sam mógł wyjść cało? Punkt ten wart jest zastanowienia. Jeszcze jedno: czemu oskarżony biegł ścieżką? Nie można przypuścić, że po popełnieniu mordu nie szykowałby się do ucieczki, tylko pędził nieubrany w kierunku innych chat. Raczej przypuszczać by należało, iż gonił rzeczywistych morderców i po ciemku — wyczerpany, zdyszany i niewątpliwie nieco podniecony — pędził na oślep drogą.

Podsumowała swoje rozumowanie w mocno ugruntowane wnioski i kiedy skończyła, odpowiedział jej ogólny poklask. Pomimo to czuła tylko gniew i obrazę, wiedząc doskonale, że demonstracja uczciła raczej jej pleć niż jej słuszność i jej czyn.

Bill Brown rozpoczął mowę trochę niepewnie, badając czujnie nastrój tłumu. Wyzyskiwał każdą najdrobniejszą możliwość oskarżenia, tam zaś, gdzie brakło danych faktycznych, stwarzał misterne dogmaty lub nastroje. Dopomógł mu w tym niemało wrodzony humor, toteż dwaj tajemniczy zamaskowani ludzie rozwiali się jak bańki mydlane, którego to epitetu nie omieszkał zresztą użyć prokurator.

Nie mogli uciec z wyspy. Stan lodu na dwie, trzy godziny przed pęknięciem nie pozwoliłby na to. Więzień nie oskarża żadnego z mieszkańców wyspy, co do wszystkich zresztą, prócz samego więźnia, ustanowione zostało niewątpliwe alibi. Być może, iż więzień był podniecony, wpadając na oślep w ramiona La Flitche'a i Szweda. Należałoby jednak przypuścić, że mógł się już na Syberii przyzwyczaić do wszelkich przygód. Mniejsza o to zresztą. Faktem jest, że znajdował się w stanie niezwykłego podniecenia, graniczącego z histerią i że tak właśnie zachowałby się w podobnych okolicznościach morderca. Zdarza się to nieraz, że zbrodniarz ucieka na oślep z miejsca przestępstwa i wpada prosto w ręce sprawiedliwości.

W sprawie stosunków wzajemnych Borga, Belli i St. Vincenta prokurator odwoływał się gorąco do instynktu słuchaczy. Porzucił na chwilę rozumowanie faktyczne, przechodząc wyłącznie na płaszczyznę uczuciową. Twierdził, że dowody pośrednie nie gwarantują nigdy absolutnej słuszności. Ale to zbyt słabe. Wystarczy, żeby dowody te dały prawo do poważnych podejrzeń. W tym wypadku — dają.

— Ostatecznie — nie można pominąć ostatnich słów Belli. My sami nic nie wiemy bezpośrednio. Szukamy po ciemku, chwytamy wszystkie drobiazgi i probujemy z nich budować. Ale, panowie — przerwał, badając spojrzeniem twarze obecnych — Bella знаła prawdę. Jej pewność nie była pośrednia. Bella powiedziała prawdę konającym głosem, chwytając oddech ostatni, krwawiąc ze śmiertelnych ran. Z oczyma mgłą zaszłymi, gdy

śmierć dusiła już za gardło, Bella uniosła się z wysiłkiem i drżącym palcem wskazała na oskarżonego, szepcząc: „On to zrobił, on, on, St. Vincent”.

Palec prokuratora wciąż jeszcze sterczał ku więźniowi, kiedy St. Vincent wstał chwiejnie i oparł się o stół. Twarz miał starą, zszarzałą. Spojrzał dookoła w milczeniu. „Tchórz! Tchórz!” — szeptano w tłumie. Więzień oblizywał wargi i starał się przemówić. — Jest tak, jakem już mówił — wykrztusił wreszcie. — Nie zrobiłem tego. Klnę się Bogiem, nie zrobiłem tego! — Wlepił oczy w Szweda Johna i czekał, aż dojrzeje bezwładna myśl. — Nie zrobiłem tego... nie zrobiłem... ja... ja... tego nie zrobiłem...

Zdawał się pogrążyć w jakiejś oderwanej medytacji, wpatrzony czemuś uparcie w Szweda Johna. Frona pociągnęła go za rękę, żeby siadł. Jakiś głos krzyknął z tłumu: „Tajne głosowanie!”

Natychmiast zerwał się Bill Brown. — Nie! Protestuję! Głosowanie jawne! Jesteśmy mężczyznami i nie boimy się odpowiedzialności za swoje czyny!

Chór uznania powitał te słowa i zaczęło się jawne głosowanie. Wszyscy kolejno wywoływani po imieniu wymawiali jedno słowo: „Winien”. Baron Courbertin podszedł do Frony i coś jej szepnął. Kiwnęła głową z uśmiechem, po czym baron wycofał się, zajmując pozycję u drzwi. Głosował: „Nie winien”, kiedy go zapytano. To samo uczyniła Frona i Jakub Welse. Pierre La Flitche zawahał się przez chwilę, patrząc baczenie na Fronę i St. Vincenta, potem wyrzekł donośnie i śpiewnie: „Winien”.

Przewodniczący powstał. Jakub Welse przeszedł na drugą stronę stołu i odwrócił się tyłem do pieca. Courbertin, który czuwał ciągle, odsunął od ściany baryłkę z piklami i stanął na tej baryłce.

Przewodniczący odchrząknął i stuknął młotkiem o stół, prosząc o ciszę. — Panowie! — oświadczył — oskarżony...

— Ręce do góry! — skomenderował ostro Jakub Welse i w pół sekundy potem zabrzmiał śmiały okrzyk Courbertina:

— Ręce do góry, panowie!

Z obu stron zagrozili tłumowi rewolwerami. Wszystkie ręce zostały wzniesione, prawa ręka przewodniczącego wciąż jeszcze dzierżąc młotek. Nie było żadnego zamieszania. Każdy stał lub siedział w tym samym położeniu, w jakim zastała go komenda. Wszystkie spojrzenia, musnąwszy główne postacie, wracały ku Jakubowi Welse.

St. Vincent siedział jak skamieniały. Frona wciskała mu rewolwer w rękę, ale bezsilne palce nie potrafiły utrzymać broni.

— Chodź, Gregory — zachęcała szeptem Frona. — Spiesz się! Corliss czeka z łódką. Chodź!

Potrząsnęła nim i wreszcie ujął broń. Potem zaczęła popychać go i ciągnąć, żeby wstał. Zachowywał się jak człowiek w głębokim, ciężkim śnie. Twarz miał tępą, oczy lunatyka i trzął się jak w konwulsjach. Frona zrobiła jeden krok ku drzwiom pociągając za sobą chwiejącego się St. Vincenta. On również uczynił jeden krok, ale drżące kolana odmówiły nadal posłuszeństwa. W izbie panowała cisza. Słychać było tylko ciężkie oddechy męskie. Ktoś kaszlnął lekko i odchrząknął. Wszystkie oczy jakby ze zgorzeniem zwróciły się od razu na kaszlącego. Winowajca zmieszał się i przestąpił z nogi na nogę. Potem znowu zapanowała cisza i słyszeć było można oddechy.

St. Vincent zrobił jeszcze krok, ale palce osłabły mu nagle i rewolwer upadł hałaśliwie na podłogę. Nie spróbował podnieść broni. Frona pochyliła się skwapliwie, ale La Flichte postawił nogę na rewolwer. Spojrzała w górę. Ręce metysa pozostały wzniesione, oczy wpatrzone bezmyślnie w Jakuba Welse'a. Pchnęła leciutko nogę Pierra, ale mięśnie były twardo i uparcie napięte, jakby na przekór obojętnemu wyrazowi twarzy. St. Vincent popatrzał bezradnie w dół, jakby nic nie rozumiał. Zwłoka zwróciła uwagę Jakuba Welse'a. W chwili, gdy próbował dostrzec, o co chodzi, przewodniczący schwytał szansę. Zgiął nagle prawą rękę i cisnął młotkiem. Młotek gwizdnął w powietrzu i uderzył Jakuba Welse'a poniżej ucha. Ten runął, i padając pociągnął za spust. Rozległ się strzał. Szwed John jęknął i chwycił się za biodro.

Jednocześnie pokonano barona. Del Bishop, stojąc wciąż ze wzniesionymi rękami i niewinnie wpatrzonymi w przestrzeń oczyma, po prostu tylko kopnął baryłkę spod nóg Francuza i obalił go na ziemię. Kula rewolweru utkwiała tymczasem w suficie, nie czyniąc szkody. La Flitche chwycił Fronę w ramiona i trzymał mocno. St. Vincent, zbudzony nagle, poskoczył ku drzwiom, ale przewrócił się o podstawioną skwapliwie nogę metysa.

Przewodniczący uderzył pięścią w stół i dokończył przerwane zdanie. — Panowie, oskarżony uznany został za winnego.

ROZDZIAŁ XXVII

Frona skoczyła natychmiast do ojca. Już oprzytomniał i wstawał. Prowadzony pod rękę Courbertin miał twarz podrapaną, dłoń wywichniętą i nieposkromiony język. Chcąc nie dopuścić do dyskusji i zaoszczędzić czasu, Bill Brown zabrał głos.

— Panie przewodniczący, potępiając w zasadzie próbę uwolnienia więźnia i obalenia wyroku sądu, dokonaną przez Jakuba Welse'a. Fronę Welse i barona Courbertin, nie możemy jednak — w istniejących okolicznościach — nie sympatyzować z nimi. Uważam, że wałkowanie tego tematu jest zbyteczne. Wszyscy wiemy, jak sprawy stoją, i wszyscy w podobnej sytuacji postąpilibyśmy tak samo. Żeby więc zakończyć ten incydent, wnoszę o rozbrojenie trojga więźniów i wypuszczenie ich na wolność.

Wniosek został przyjęty i obaj mężczyźni zrewidowani w poszukiwaniu broni. Fronie tego oszczędzono, biorąc od niej słowo honoru, iż broni już nie posiada. Zebranie przeistoczyło się w trybunał egzekucyjny. Kopacze jeden za drugim wychodzili z chaty.

— Bardzo mi przykro, że zmuszony byłem to uczynić — powiedział przewodniczący pół przepraszająco, pół zuchwale.

Jakub Welse uśmiechnął się. — Trudno. Wykorzystaliście szansę. Nie mogę mieć pretensji. Żałuję tylko, że sam nie miałem podobnej możliwości.

Przed chatą rozlegały się podniecone okrzyki: „Ej tam! Puścić!” „Nastąp mu na palce, Tim!” „Rozerwać chwyt!” „Och! Ojej!” „Podważyć mu zęby!”

Frona ujrzała kłęb ludzi szcepionych nad St. Vincentem. Podbiegła. Rzucił się na ziemię i bronił się jak szaleniec, walcząc zębami i pazurami. Tim Dugan, krzepki Celt, wziął się z nim za bary i zęby St. Vincenta wpiły się w jego ramię.

— Wybij mu zęby, Tim! Wal!

— Jakżeż mu wybije, durniu jeden! Podważcie mu lepiej szczęki!

— Chwileczkę, panowie. — Rozstąpili się przed Froną, pozostawiając tylko szcepionych ze sobą Tima i St. Vincenta.

Frona przyklękała koło leżącego. — Puść, Gregory. Puść, proszę.

Podniósł ku niej oczy, zupełnie pozbawione ludzkiego wyrazu. Oddychał chrapliwie, gardło pełne miał drobnych charkotów, jak u konającego.

— To ja, Gregory. — Pieszczotliwie, kojąco gładziła jego czoło. — Czy nie rozumiesz? To ja, Frona. Puść, proszę.

Całe jego ciało zmiękło z wolna, wyraz uspokojenia wypłynął na twarz. Szczęki rozkurczyły się, ramię Celta zostało uwolnione.

— Posłuchaj mnie teraz, Gregory. Chociaż czeka cię śmierć...

— Nie mogę! Nie chcę! — jęknął. — Mówiłaś, że mam ci zaufać! Że wszystko będzie dobrze!

Frona pomyślała o sposobności ratunku, którą mu dała. Nie wyrzekła jednak ani słowa.

— Och, Frona! Frona! — załkał, chowając twarz w jej suknię.

— Bądźże wreszcie mężczyzną. To jedno ci jeszcze pozostaje.

— Wstawać! — skomenderował Tim Dugan. — Przykro mi, że pani przeszkadzam, panno Welse, -ale mamy odprowadzić skazanego. Brać go, chłopcy! Dalej! Za nogi, Blackey! Ty też, Johnson!

Ciało St. Vincenta zeszywniało na te słowa, błysk przytomności znikł z oczu, palce zacisnęły się spazmatycznie wokół palców Frony. Spojrzała prosząco na mężczyzn. Zawahali się.

— Pozwólcie mi porozmawiać z nim jedną minutę — wyrzekła błagalnie. — Tylko minutę.

— Nie wart jest tego — sarknął Dugan, odstępując wraz z konwojem. — Proszę mu się przyjrzeć.

— Wstyd i paskudztwo — zgodził się Blackey, rzucając okiem ku Fronie, szepcząc coś na ucho skazańcowi i gładzącej pieszczotliwie jego włosy.

Nie słyszeli, co mu powiedziała, ale zobaczyli, że wstaje i daje się prowadzić. Szedł, jak iść mógłby tylko umarły. Wyszędłszy na otwartą przestrzeń, spojrzał ze zdumieniem na szary, zmacony nurt Yukonu. Tłum zebrał się na brzegu, pod sosną. Chłopak, któremu kazano przerzucić przez konar grubą linkę, skończył właśnie swoją robotę i zsuwał się po pniu. Stanąwszy na ziemi, obejrzał swoje dłonie i podmuchał na nie. Tłum zarechotał śmiechem. Kilka psów wyszczerzyło kły i poczęło się żreć. Ludzie szczuli jak mogli. Psy zwały się w kłęb i potoczyły po drodze, ale kopnięto je na bok, żeby zrobić miejsce dla skazańca.

Corliss wbiegł po brzegu i podszedł do Frony. — Co się dzieje? — wyszeptał. — Skończone?

Próbowała odpowiedzieć, ale tylko przełknęła ślinę i skinęła głową.

— Tędy, Gregory, tędy. — Dotknęła jego ramienia i prowadziła go ku skrzyni pod linką.

Corliss, trzymając się tuż przy nich, obejrzał uważnie tłum, po czym zanurzył rękę do kieszeni kurtki.

— Czy nie można by jeszcze raz spróbować? — zapytał, kęsając niecierpliwie dolną wargę. — Co tylko pani każe, będzie zrobione, Frono. Dam sobie z nimi radę.

Spojrzała na mówiącego, zdając sobie sprawę, że miło jest na niego patrzeć. Nie wątpiła, że nie zawahałby się ani przez chwilę, wiedziała jednak, że żądać tego — nie byłoby uczciwie. St. Vincentowi dana było możliwość ucieczki, ale ją zmarnował. Niestuszne byłoby żądanie dla niego nowych ofiar.

— Nie, Vance. Już za późno. Nic nie można zrobić.

— Proszę mi chociaż pozwolić spróbować — nastawał.

— Nie; to nie nasza wina, że plan się nie udał, i... i... — oczy jej napelniły się łzami. — Proszę mnie o to nie pytać.

— W takim razie odprowadzę panią stąd. Pani nie może tu zostać.

— Muszę — odpowiedziała po prostu i odwróciła się do St. Vincenta, który stał jak we śnie.

Blackey zawiązał węzeł szubieniczny na końcu liny i zamierzał już zarzucić pętlę na szyi St. Vincenta.

— Pocałuj mnie, Gregory — wymówiła Frona, kładąc mu rękę na ramieniu.

Drgnął od dotknięcia, dostrzegł naokoło chciwe, świdrujące oczy tłumu i żółtą, świeżo zawiązaną pętlę w rękach kata. Podniósł gwałtownie ręce do góry, jakby chcąc odepchnąć pętlę i krzyknął:

— Nie! Nie! Pozwólcie mi wyznać wszystko! Pozwólcie mi powiedzieć prawdę, to mi uwierzycie!

Bill Brown i przewodniczący odsunęli Blackeya. Tłum zwarł się natychmiast. Rozległy się jakieś krzyki i protesty. „Nie! Zostawcie mnie!” — zabrzmiał jakiś piskliwy głos chłopięcy. — „Ja nie pójdę! Ja włożyłem na drzewo, ja przywiązywałem sznur, ja mam prawo zostać!” „Jesteś jeszcze smarkacz”, odpowiedział męski głos, „i taki widok nie dla ciebie”. „Nie dbam o to i nie jestem smarkaczem. Ja... ja jestem przyzwyczajony do takich rzeczy. Zresztą, włożyłem na drzewo. Proszę spojrzeć na moje ręce!” „Niech będzie, dajcie

mu spokój!" — uspokajały inne głosy. „Zostawcie go, Curley". „Samiście jeszcze od ziemi nie odrośli". Śmiech powitał te słowa i sprawa została zlikwidowana.

— Cicho tam! — zawołał przewodniczący, po czym zwrócił się do St. Vincenta. — No, gadaj pan, co masz gadać, tylko raz dwa, bo szkoda czasu.

— Wszyscy chcemy słyszeć! — wybuchły znowu głosy. — Niech włazi na skrzynię! Na skrzynię!

Skazańca podsadzono na skrzynię. Zaczął mówić skwapliwie, czym prędzej.

— Ja nie zabiłem, ale widziałem, jak zabijali. Nie dwóch było, tylko jeden. Ten zabił, i Bella mu pomogła.

Fala śmiechu zatopila te słowa.

— Nie tak prędko — ostrzegł Bil Brown. — Zechciej pan łaskawie wyjaśnić nam, w jaki sposób Bella pomagała zabijać samą siebie? Zaczynaj pan od początku.

— Tego wieczoru, przed spaniem, Borg założył jak zwykle sygnał...

— Jaki sygnał?

— On to tak nazywał. To mała patelnia przywiązana do rzemyka od drzwi. Nie można było wejść, nie narobiwszy hałasu. Zakładał ten swój sygnał co wieczór, jakby się czegoś bał, właśnie tego, co się stało, przypuszczam. Krytycznej nocy obudziłem się pod wrażeniem, że ktoś rusza się po izbie. Lampka paliła się maleńkim płomykiem i zobaczyłem, że Bella jest koło drzwi. Borg chrapał głośno. Bella bardzo ostrożnie zdejmowała sygnał. Potem otworzyła drzwi i jakiś Indianin wszedł po cichu. Nie miał maski, poznałbym go od razu, gdybym go spotkał, bo miał bliznę przez czoło i przez jedno oko, aż na policzek.

— Przypuszczam, żeś pan skoczył z ławy i narobił gwałtu?

— Nie — odrzucił St. Vincent, podnosząc wyzywająco głowę, jak gdyby chciał od razu przebrnąć przez najgorsze. — Leżałem i patrzyłem.

— Coś pan myślał?

— Ze Bella jest w zмовie z Indianinem i że Borg zostanie zamordowany. Zrozumiałem to od razu.

— I nic nie zrobiłeś?

— Nic. — Głos jego załamał się, spojrzenie pobiegło ku Fronie, która stała oparta o skrzynię, a raczej podtrzymując skrzynię. Frona nie zdawała się być przejęta. — Bella podeszła do mnie — ciągnął St. Vincent — ale zamknąłem oczy i oddychałem regularnie. Zbliżyła lampkę do mojej twarzy, ale udawałem śpiącego tak dobrze, że się dała oszukać. Potem posłyszałem, jak chrapnął ciężko, budząc się, potem jak krzyknął przerażony.

Wyrzależ spod koca. Indianin dźgał Borga nożem, Borg zaś bronil się gołymi rękoma, próbując chwycić napastnika za gardło. Kiedy chwycił wreszcie, Bella podpełzła z tyłu i zarzuciła ramiona na szyję męża, jak pętlę, kolanem zaś wparła się w jego krzyż i przy pomocy Indianina powaliła go na ziemię.

— A pan? Cóżeś robił?

— Patrzyłem.

— Miałeś rewolwer?

— Tak.

— Ten, któryś to niby pożyczyl Borgowi?

— Tak; ale patrzyłem.

— Czy John Borg wołał o pomoc?

— Tak.

— Proszę powtórzyć jego słowa.

— Wołał tak: „St. Vincent! Och, St. Vincent! O mój Boże! O St. Vincent, pomóż mi!”

— Skazaniec zadrzał na to wspomnienie i dodał— To było straszne.

— Spodziewam się — mruknał Brown. — A cóż pan?

— Patrzyłem — brzmiała zuchwała odpowiedź.

Tłum zaszemrał.

— Borg otrząsnął jednak ich oboje i stanął na nogi. Cisnął Bellę w kąt uderzeniem pięści i skoczył na Indianina. Zaczęli walczyć. Indianin zgubił nóż, Borg zaś walił tak okropnie, że sam odgłos jego razów wzbudzał przerażenie. Myślałem, że zabije go gołymi rękoma. Wtedy właśnie połamali wszystkie sprzęty. Tarzali się po ziemi, ryczeli i walczyli jak dzikie zwierzęta. Dziwiłem się, że pierś Indianina nie połamała się pod uderzeniami pięści Borga. Tymczasem Bella chwyciła rzucony nóż i dźgać poczęła Borga z tyłu. Borg miał zajęte ręce, więc nie mógł się bronić. Kopał tylko na wszystkie strony. Musiał jej chyba połamać nogi, bo upadła z krzykiem i więcej się już nie podniosła, chociaż próbowała. Potem Borg zwalił Indianina na piecyk, a sam runął na niego.

— Czy wołał jeszcze o pomoc?

— Błagał, żebym podszedł do niego.

— I?

— Patrzyłem. Wyrwał się z rąk Indianina i chwiejąc podszedł do mnie. Krwawił strasznie i musiał być bardzo wycieńczony. „Dajcie mi waszą strzelbę”, powiedział, „prędeż, dajcie”. Na oślepek poszukał rękami dokoła. Potem oprzytomniał widocznie, bo sięgnął poprzez mnie do olstrów wiszących na ścianie i wyciągnął pistolet. Indianin

podszedł znowu z nożem, ale Borg już się nie bronił. Sunąłnął i podniósł twarz Belli ku światłu. Ale sam miał twarz tak pokrwawioną, że nie mógł nic zobaczyć. Więc ocierać począł krew z oczu. Zdawało się, że zależy mu na tym, żeby sprawę załatwić porządnie. Przyłożył pistolet do piersi kobiety i wypalił.

Indianin wściekł się na ten widok i jeszcze mocniej począł kłuć nożem, wybijając jednocześnie Borgowi pistolet z ręki. Wtedy właśnie strącona została na ziemię półka z lampą. Dalej walczyli w ciemności, kilka razy wystrzelono, ale nie wiem już kto. Spełzłem z ławy, ale wpadli na mnie i zbili mnie z nóg, wprost na ciało Belli. Wtedy to właśnie zakrwawiłem sobie rękę. Kiedy wybiegłem z chaty, rozległo się jeszcze kilka strzałów. Biegając spotkałem La Flitche'a i Johna i... i resztę wiecie. Powiedziałem prawdę... przysięgam!

Spojrzał w dół ku Fronie. Wciąż jeszcze podparła skrzynię, ale twarz miała nieodgadnioną. St. Vincent spojrzał w tłum i zrozumiał, że mu nikt nie wierzy. Niektórzy śmieli się otwarcie.

— Dlaczego pan od razu nie powiedział tej historii? — zapytał Bill Brown.

— Dlatego... dlatego...

— No?

— Dlatego, że powinienem był pomóc.

Na te słowa wybuchnął głośniejszy śmiech. Bill Brown odwrócił się do zebranych.

— Panowie, słyszeliście tu rozmaite hocki-klocki. Ta historia jest jeszcze mniej prawdopodobna niż poprzednia. Podczas procesu sądowego wykazaliśmy, że człowiek ten jest kłamcą. Potwierdził to wasz wyrok. Nie spodziewaliśmy się, że więzień potwierdzi to sam, w sposób tak olśniewający. Potwierdził istotnie. Co myślicie teraz o nim? Częstoował nas kłamstwem po kłamstwie; dowiódł, że jest chronicznym kłamcą; czyż uwierzycie temu ostatniemu, najgorszemu z kłamstw? Panowie, mogę prosić jedynie o potwierdzenie wyroku. Tym zaś, którzy mają jeszcze wątpliwości — chociaż jest ich na pewno niewielu — odpowiem: dobrze, przypuśćmy, że to nowe opowiadanie jest prawdą; jeżeli jednak człowiek, którego mamy przed sobą, dzielił chleb i sól z Johnem Borgiem, sypiał pod jego dachem i leżał na jego ławie w chwili, gdy dokonywano morderstwa, jeżeli słuchał obojętnie wołania towarzysza o pomoc, jeżeli leżał na pościeli, spokojnie patrząc na jatki i sam instynkt męski nie poderwał go z miejsca — panowie, pozwólcie mi stwierdzić, że za to samo wart jest powieszenia. Tak czy inaczej będziemy mieli słuszność, potwierdziwszy wyrok. Więc jakże będzie, panowie?

— Na śmierć! Na stryczek z nim! Wieszać! — zakrzyczano ze wszystkich stron.

Nagle uwaga tłumu zwróciła się w inną stronę i nawet Blackey przerwał swoją oficjalną czynność.

Szeroka tratwa, z dwu stron popychana drągami, sunęła od strony Wypły Rozdzielnej, tuż przy brzegu. Kiedy zrównała się ze stojącym na wysokim brzegu tłumem, przód jej wpał się w ląd i podczas gdy tył, porwany przez prąd, zataczał odpowiedni krąg, ze środka ciśnięto na brzeg linę do cumowania i ochwycono nią pień drzewa, pod którym stał St. Vincent. Ładunek jeleniego mięsa, surowego i czerwonego przeświecał przez skąpe nakrycie z gałęzi. Z powodu owego bogactwa dwaj ludzie stojący na tratwie spoglądali dumnie na tych, którzy stali na brzegu.

— Chcemy to dowieźć do Dawson — wyjaśnił jeden z właścicieli skarbu. — Tylko że coś słonko za mocno przygrzewa.

— Nie — odpowiadał towarzysz na zapytanie rzucone z brzegu. — Nie chcemy zatrzymać się, żeby sprzedać. Mięso płacą w Dawson półtora dolara funt, więc walimy na gwałt do Dawson. Ale wara chcemy tu podrzucić parę kawałków człowieka, cośmy go podnieśli po drodze. — Odwrócił się i wskazał na stos zmiętych koców, pod którymi z trudnością domyślić się było można kształtów człowieka. — Znaleźliśmy go dzisiaj rano o jakie trzydzieści mil w górę rzeki Stuart.

— Trzeba by go opatrzyć i poleczyć — odezwał się drugi człowiek, — a my nie mamy czasu. Nie wydobyliśmy jeszcze z tego gościa ani słowa. Musiał się chyba zadawać z niedźwiedziem, czy kie lichu. Calutki połamany i pobity. Ran nie ma, ale wewnątrz cały na nic. Gdzieby go można położyć?

Frona, stojąc koło St. Vincenta, widziała jak chorego wniesiono na brzeg i poprzez tłum. Brązowa ręka zwisała z prymitywnych noszy, brązowa twarz wychyliła się spod koców. Niosący zatrzymali się niedaleko i radzili, gdzieby umieścić swój ciężar. Frona poczuła nagle gwałtowne szarpnięcie za ramię.

— Patrz! Patrz! — St. Vincent wychylił się naprzód na swojej skrzyni i dzikimi ruchami wskazywał na chorego. — Patrzcie! Ta blizna!

Indianin otworzył oczy i błysk rozpoznania zmaćił jego twarz.

— To on! To on! — krzyczał do tłumu St. Vincent, drżąc z podniecenia. — Wzywam was wszystkich na świadków! To jest człowiek, który zabił Johna Borga!

Tym razem śmiech nie powitał słów skazanego. Brzmiały tak poważnie, że aż groźnie. Bill Brown i przewodniczący próbowali rozmówić się z rannym, ale nie zdołali wydobyć ani słowa. Jakiś kopacz z Kolumbii Angielskiej ofiarował swoje usługi, ale jego narzecze Chinook na nic się nie przydało. Wtedy zawezwano La Flitche'a.

Piękny metys pochylił się nad leżącym i mówić począł tak gardłowo, jak mu tylko dziedzictwo po matce umożliwić mogło. Wszystkie narzecza zdawały się brzmieć jednakowo, a przecież wiadano, że próbował kilku. Nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi i przerwał, zniechęcony. Nagle, jakby coś sobie przypomniawszy, spróbował przemówić raz jeszcze. Natychmiast błysk zrozumienia pojawił się w oczach Indianina, wargi ułożyły się ku podobnym dźwiękom.

— To mowa Sticków znad Górnej Białki — wyjaśnił krótko La Flitche.

Potem, zmarszczywszy brwi i przerywając co chwila, żeby poszukać w pamięci zapomnianych słów, osaczył chorego pytaniami. Dla widzów wyglądało to jak pantomina; jakieś niezrozumiałe pomruki, gestykulacja rąk i gra twarzy, wyrażającej to zdumienie, to gniew, to zrozumienie.. Od czasu do czasu pasja namiętności odbijała się na twarzy Indianina, życzliwość zaś i współczucie w oczach metysa. Kilkakrotnie ruch lub spojrzenie kierowały się w stronę St. Vincenta i raz nawet szyderczy śmieszek wygiął zgodnie wargi obu mówiących.

— Tak? No dobrze, będzie dość — powiedział wreszcie La Flitche, kiedy głowa Indianina opadła w tył. — Ten człowiek mówił prawdziwe słowo. Przyszedł znad Białej Rzeki, nic nie rozumiał, tyle białych ludzi. Nie myślał, że tyle białych na ziemi. On prędko murze. Imię jego Gow.

— Dawno, trzy lata temu człowiek John Borg przyszedł do kraju człowieka Gow. Polował, przynosił do obozu dużo mięsa Dlatego lubiło go plemię Sticków znad Białki. Gow miał kobietę, Pisk-Ku. Jednego dnia John Borg zapakował swoje sanie do drogi. Przyszedł do Gow i powiedział: „Daj mi swoją żonę, Pisk-Ku. Dam ci za nią dużo towarów”. Ale Gow powiedział nie, Pisk-Ku jest dobra żona. Żadna kobieta nie szyje mokasynów tak dobrze. Ona najlepiej garbuje skórę jelenia i najlepiej wyprawia. On, Gow, lubi Pisk-Ku. John Borg powiedział, że nie dba o to; on chce mieć Pisk-Ku dla siebie. Potem walczyli skookum mocno i długo. A potem John Borg zabrał Pisk-Ku. Ona nie chciała, ale musiała iść. Borg nazwał ją „Bella” i dał jej dużo pięknych rzeczy, ale ona ciągle lubiła tylko Gow”. La Flitche wskazał na bliźnię biegnącą przez czoło i oczy Indianina. — To zrobił John Borg.

— Długi czas Gow był bliski śmierci. Potem wyzdrowiał cały, ale głowa chora. Nikogo nie poznawał. Ani matki, ani ojca, nikogo. Jakby małe dziecko, właśnie tak. Aż pewnego dnia coś pęc-pęc, klap-klap, i głowa od razu dobrze. Poznał ojca, poznał matkę, przypomniał Pisk-Ku, przypomniał wszystko. Ojciec powiedział. John Borg pojechał w dół rzeki. Wiosna, lód bardzo zły. Gow bardzo przestraszony, tyle białych ludzi. Jedzie tylko w

nocy. On, jak kot, widzi w nocy. Jakoś trafił do chaty Johna Borga. Sam nie wie jak, wiedział tylko, że to, co ma zrobić, jest dobre.

St. Vincent uściskał rękę Frony, ale otrząsnęła swoje palce z tego uścisku i cofnęła się o krok.

— Widzi, Pisk-Ku karmi psy. Mówi z nią. Tej nocy przychodzi. Ona otwiera drzwi. Potem wiecie, co zostało zrobione. St. Vincent nie zrobił nic. Borg zabił Bellę, Gow zabił Borga. Borg zabił Gow, bo Gow zaraz umrze. Ale Gow nie dba: Pisk-Ku nie żyje.

— Potem uciekał przez lód na drugi brzeg. Powiedziałem mu, że wy wszyscy mówicie, że przez taki lód nie można uciec. On śmieje się i mówi, że tak było, a co było, to jest możliwe. Bardzo trudno, ale przeszedł na drugi brzeg. On mocno chory we środku. Po pewnym czasie nie może iść; pełźnie.

Po długim czasie przypelza do rzeki Stuart. Dalej nie może, więc kładzie się, żeby umrzeć. Dwaj biali ludzie znajdują go i wiozą na to miejsce. Gow nie dba. Gow zaraz umrze.

La Flitche urwał. Nie odezwał się nikt. Wtedy dodał:

— Ja myślę, Gow — do licha — dobry człowiek. Frona podeszła do Jakuba Welse'a.

— Zabierz mnie stąd, ojcie — powiedziała. — Jestem bardzo zmęczona.

ROZDZIAŁ XXVIII

Następnego rana, Jakub Welse, pomimo swoich milionów, narąbał dzienną porcję drewna, zapalił cygaro i poszedł w głąb wyspy na poszukiwania barona Courbertina. Frona zmyła naczynie po śniadaniu, rozwiesiła odzież na słońcu i nakarmiła psy. Potem wyciągnęła podniszczony tomik Wordswortha z kuferka i usadowiła się wygodnie nad rzeką, na fotelu utworzonym przez dwa wyrwane pnie sosen. Ale nie czytała otwartej książki. Oczy biegły mimo woli poprzez rzekę, Vu cypłowi pod ścianą skalną, ku łukowi rzeki i redzie piasku, daleko wybiegłej w wodę. Wyścig ze śmiercią, walka i ocalenie żyły w niej niezmacone, jakby przed chwilą przebyte. Z niektórych tylko momentów pamięci ziała pustka zupełnego zapomnienia. Walka przy szczelinie skalnej nie dawała się wymierzyć, nie wiadomo było, jak długo trwała. Wyścig z lodową górą wzdłuż wyspy Roubeau miał miejsce na pewno, rozsądek stwierdzał to niezbicie, pamięć jednak nie zachowała żadnego szczegółu.

Nurt wspomnień porwał ją. Widziała Corlissa we wszystkich fazach trzech ostatnich dni, starannie jednak unikała myśli o innym mężczyźnie, którego imienia nie chciała nawet nazwać w myśli. Z imieniem tym związało się coś strasznego, czemu trzeba będzie spojrzeć w oczy prędzej czy później. Frona wolała jednak odsunąć jak najdalej tę chwilę nieuniknioną. Zmęczona była i obolała, zarówno na ciele jak na duszy. Czuła wstręt do wszelkiego czynu, do wszelkiego napięcia woli. Mniej przykro było myśleć już nawet o Tommy, o Tommy, który miał cierpki język i zgniłe serce; Frona zanotowała sobie w myśli, że żona i dzieci w dalekim Toronto nie powinny zostać zapomniane, kiedy Północ wypłaci Welsom swe dywidendy. Chrząst kroków po suchych gałęziach kazał dziewczynie podnieść oczy. Spotkała spojrzenie St. Vincenta.

— Jeszcze mi nie powinszowałaś ocalenia — przemówił z niezmaconym spokojem dziennikarz. — Wyobrażam sobie, że musiałaś być śmiertelnie zmęczona wczoraj. Sądzę po sobie. Ty miałaś w dodatku jeszcze tę wyprawę łodzią.

Spoglądał na Fronę lękliwie, próbując odgadnąć, co myśli i jak się zachowa.

— Jesteś bohaterką, Frona, prawdziwą bohaterką — zaczął po chwili z egzaltacją. — Nie tylko ocaliłaś tego posłańca z depeszami, ale ocaliłaś również i mnie starając się przewlec rozprawę sądową. Gdyby o jednego świadka mniej stawało, albo gdyby którykolwiek zeznawał krócej, byłbym już elegancko powieszony, zanim Gow pojawił się na widowni. Wspaniały chłop, ten Gow. Wielka szkoda, że umrze.

— Rada jestem, że mogłam trochę pomóc — odparła Frona, zastanawiając się, co też powiedzieć dalej.

— I doprawdy warto mi powinszować...

— Twój proces nie był czymś, czego by warto winszować — przemówiła nagle szybko Frona, spojrzawszy przez chwilę prosto i ostro w oczy stojącego. — Rada jestem, że skończył się tak a nie inaczej; ale niewątpliwie nie możesz oczekiwać moich powinszowań.

— A-a-a — przeciągnął St. Vincent. — Ot, do czego zmierzasz. — Uśmiechnął się dobrodusznie i chciał usiąść obok Frony, ale nie zrobiła dlań miejsca koło siebie, więc stał dalej. — Mogą wszystko wytłumaczyć. Jeżeli w ogóle były jakieś kobiety...

Frona zaciskała nerwowo palce, ale na te słowa parsknęła śmiechem.

— Kobiety? — zapytała. — Kobiety? — powtórzyła. — Nie bądź śmieszny, Gregory.

— Sądząc po sposobie, w jaki popierałaś mnie na sądzie, przypuszczać mogłem...

— Ach, nie rozumiesz — wyrzekła beznadziejnie. — Nic nie rozumiesz. Posłuchaj no, Gregory, i spróbuj zrozumieć to, co ci będę tłumaczyć. Twoja obecność sprawia mi przykrość. Twoje pocałunki mnie boją. Ich ślad wciąż jeszcze piecze moje policzki. Usta mam zbrudzone, nieczyste. Czemu? Czy z powodu tych tam kobiet, które mi zamierzasz „wyjaśnić”? Jakże mało rozumiesz! Czyż potrafisz ci wytłumaczyć, o co mi chodzi?

Od brzegu zabrzmiały jakieś męskie głosy i plusk fali. Frona spojrzała szybko i dostrzegła Dela Bishopa, pchającego łódź drągiem przeciw prądowi, oraz Corlissa, idącego brzegiem i pochylonego pod ciężarem liny holowniczej.

— Czyż potrafisz ci wytłumaczyć, Gregory St. Vincent? — powtórzyła panna Welse. — Czy potrafisz ci powiedzieć, dlaczego twoje pocałunki ubliżają mi? Dlatego, żeś złamał prawo chleba i strzechy. Dlatego, że dzieliłeś sól z człowiekiem drugim, a potem patrzyłaś spokojnie, jak człowiek ten walczył o życie z silniejszym wrogiem i nie dałaś mu pomocy. Czy wiesz, że wołałabym, żebyś był zginął w jego obronie; pamięć o tobie byłaby piękna i czysta. Ach, wołałabym raczej, żebyś go był sam zabił. Dowiodłoby to przynajmniej, że masz krew w żyłach.

— A, więc to jest to, co zowiesz miłością? — podjął wzgardliwie. Ukryty, zapalczywy szatan dawał znać o sobie. — Miłość od pięknej pogody, jak się okazuje. O, Boże, jakie gorzkie nauczki odbieramy my, mężczyźni.

— Przypuszczam, że cię już dostatecznie wykształcono — odparła. — Te właśnie inne kobiety...

— Cóż zamierzasz zrobić? — zapytał, nie zwracając uwagi na jej słowa. — Nie jestem człowiekiem, po którym łatwo jest przejść. Nie możesz porzucić mnie bezkarnie. Nie pozwolę na to, ostrzegam. Ośmieliłaś się uczynić w tym kraju takie rzeczy, które oczerniłyby cię, gdyby były ogólnie wiadome. Miałem uszy. Nie spałem. Nie łatwo ci będzie wytłumaczyć opinii wiele rzeczy, które sama uważałaś za niewinne.

Patrzała mu w oczy z uśmiechem chłodnej drwiny, pełnej jednak politowania. Ten uśmieszek spowodował wybuch.

— Tak, upadłem teraz nisko. Jestem kimś, kogo można zlekceważyć, porzucić, podeptać. Ale obiecuję ci, że ciebie również potrafię pociągnąć za sobą w dół. Ublizają ci moje pocałunki, hę? A jakże się panienska czuła w Szczęśliwym Obozie na drodze z Dyea?

Jakby w odpowiedzi, Corliss przeszedł koło nich, schylony pod liną. Frona skinęła mu głową na powitanie.

— Vance — zawołała — listonosz przyniósł ojcu ważne nowiny, tak ważne, że ojciec musi wyjechać do Stanów na czas pewien. Wyrusza dziś jeszcze, razem z baronem w „La Bijou”. Czy nie zechciałby pan odwieźć mnie do Dawson. Chciałabym jechać zaraz, dzisiaj. To on... on poddał mi tę myśl — dodała wstydliwie, wskazując na St. Vincenta.